

Almanach Łącki

*Rótnocznik pod patronatem
Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej
wydawnictwo historyczno-kulturalno-społeczne*

*Nr 32
Rok 2020*

Kolegium Redakcyjne

prof. Julian Dybiec - przewodniczący
prof. Barbara Wagner - z-ca przewodniczącego
prof. Bolesław Faron
ks. prałat Józef Trzópek
mgr Zbigniew Czepelak

Redakcja

Jadwiga Jastrzębska - redaktor
Paweł Szczodrowski - opracowanie graficzne
Jan Dziedzina - kontakty ze szkołami
Krystyna Faron - finanse
Zofia Mangel - korekta

Copyright by Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej
33-390 Łącko 512

Copyright by Jadwiga Jastrzębska

Almanach Łącki - półrocznik wydawany społecznym wysiłkiem autorów
i redakcji.

Druk i papier finansowany ze środków:



Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu



Urzędu Gminy w Łącku

prywatnych darczyńców i środków własnych TMZŁ

Egzemplarze archiwalne dostępne w: Bibliotece Narodowej w Warszawie, Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego, Miejskiej Bibliotece Publicznej im. J. Szujskiego w Nowym Sączu, Gminnej Bibliotece w Łącku (i jej filiach), Bibliotekach Szkół w Gminie Łącko, Towarzystwie Miłośników Ziemi Łąckiej, Miejsko-Gminnej Bibliotece w Starym Sączu, Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Krakowie, Bibliotece Uniwersytetu Wrocławskiego, Zakładzie Narodowym "Ossolineum", Centralnej Bibliotece PTTK, Centralnej Bibliotece Górskiej, Bibliotece KUL w Lublinie oraz u autorów artykułów i darczyńców.

Projekt okładki: Paweł Szczodrowski
Skład: Zbigniew Muzyk
Druk: Flexergis Sp. z o.o.
Nakład: 750 egzemplarzy

Redakcja Almanachu Łąckiego:
33-390 Łącko 512
tel. 723 042 795
e-mail: tmzl@elacko.pl

Nagroda im. ks. prof. Bolesława Kumora



Książka o Sądecczyźnie

NOMINACJA 2019

„Almanach Łącki” nr 30 i 31/2019

Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej

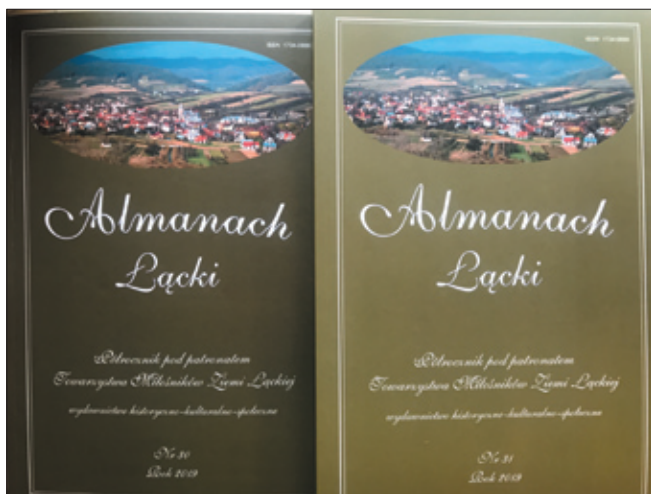


29.02.2020

„Almanach Łącki” doceniony!

Nagroda Literacka im. Ks. Prof. Bolesława Kumora. Sądeczanin 2019 roku.

Jadwiga Jastrzębska, Kolegium Redakcyjne, współtwórcy, autorzy, czytelnicy i sympatycy „Almanachu Łąckiego”, Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej, Wójt Gminy Łącko wraz z Radą Gminy i wszystkimi jej mieszkańcami mogą się czuć po piętnastu latach od powstania swojego wytrwale działającego i prężnie rozwijającego się lokalnego pisma i półrocznika docenieni! Drugie Sądeckie Targi Książki w Krynicy-Zdroju 29 lutego 2020 roku oraz Wielka Gala Sądeczan w Małopolskim Centrum Kultury „Sokół”, zorganizowana dzień później, w niedzielę 1 marca 2020 roku przyniosły „Almanachowi Łąckiemu” jedną z sześciu nominacji w VIII Konkursie o Nagrodę



im. Ks. Prof. Bolesława Kumora w kategorii „Książka o Sądeczynie”, a także Nominację dla Jadwigi Jastrzębskiej, Prezesa Zarządu Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej i Redaktora „Almanachu Łąckiego” w Plebiscycie o tytuł „Sądeczanie Roka 2019”.

Prestiżowe i utrwalone już w świadomości sądeczan konkursy organizowane są od lat przez Fundację Sądecką i działające

przy niej Społeczno-Kulturalne Towarzystwo „Sądeczanin”, założone przez Zygmunta Berdychowskiego. Ich celem jest uwiecznienie wybitnego historyka Kościoła i regionalisty, pochodzącego z Szymanowic-Niskowej ks. prof. dr. hab. Bolesława Kumora oraz promocja dorobku literackiego i działalności społecznej mieszkańców Ziemi Sądeckiej. Laureatami poprzednich edycji literackich, poczynając od 2012 roku byli autorzy: Wanda Łomnicka-Dulak, Antoni Kroh, Wojciech Kudyba, Bolesław Faron, Jerzy Leśniak, Adam Ziemianin i Jerzy Giza. Najlepszymi książkami o Sądeczynie wybrane zostały do tej pory: *Dzieje Nowego Sącza pod red. Feliksa Kiryka*, *Za klauzurą. Starsądecki Klasztor Klarysek od założenia do współczesności* Danuty Sułkowskiej, *Słownik gwary Lachów Sądeckich* Zenona Szewczyka, *Sądecki garnizon i jego żołnierze w pierwszych latach niepodległości 1918-1922* Jerzego Giza, *Rycerstwo Ziemi Sądeckiej w średniowieczu* Sławomira Wróblewskiego, *Nowa Encyklopedia Sądecka* Jerzego Leśniaka, *Przeszłość, pamięć i dziwne ruiny. Archeologiczne odkrycia na Górze Zyndrama w Maszkowicach* Marcina S. Przybyły. Laureatami dotychczasowych, od 1998 roku,



Bogusław Kołcz, Jadwiga Jastrzębska i Bolesław Faron podczas Sąddeckich Targów Książki, Krynica-Zdrój, 29 lutego 2020



Jadwiga Jastrzębska i Marek Urban, prezes Drukarni „Flexergis” w Nowym Sączu, w której powstaje „Almanach Łącki”. Sąddeckie Targi Książki, Krynica- Zdrój, 29 lutego 2020

konkursów „Sędcezanin Roku” zostali: Maria Barbara Szarota, ks. prałat Stanisław Lisowski, ks. Mieczysław Czekaj, Wiesław Czop, Ryszard Florek, ks. Janusz Szczypka, gen. Zygmunt Staniszewski, Krzysztof Mączka, Piotr Drożdżik, Anna Szczepanik-Dziadowicz, Ryszard Nowak, Celestyn Żeliszewski, Barbara Cetnarowska, Lucyna Zygmunt, Marta Mordarska, ks. prałat Stanisław Kukła, Benedykt Poręba, Jan Radzik, ks. prałat Józef Babicz i Wojciech Mróz. Kandydatury do konkursów w 2020 roku zgłaszane były na portalu Sędcezanin.info i drogą pocztową w styczniu, a głosowania odbywały się do końca lutego. Kapituły obu konkursów obradowały zgodnie z opublikowanym regulaminem, uwzględniając ilość oddawanych głosów uczestników i decyzje jurorów.

Uroczyste podsumowanie Konkursu o doroczną Nagrodę Literacką im. Ks. Profesora Bolesława Kumora za rok 2019 zorganizowano po raz pierwszy nie w Małopolskim Centrum Kultury „Sokół” w Nowym Sączu, lecz podczas drugiej edycji cieszących się sporym zainteresowaniem wydawców i gości Sądeckich Targów Książki, zlokalizowanych przez Fundację Sądecką i Uzdrowisko Krynica – Żegiestów w Pijalni Główniej w Krynicy-Zdroju. W ósmej edycji konkursu zgłoszonych zostało (do 10 lutego 2020 roku) 16 kandydatów w kategorii „Sądecki Autor” oraz 29 książek w kategorii „Książka o Sądecczyźnie”. O miano „Sądeckiego Autora 2019” (spośród twórców urodzonych lub mieszkających na terenie Nowego Sącza bądź powiatu nowosądeckiego) ubiegali się: Joanna Babiarsz, Leszek Bolanowski, Katarzyna Fałowska, Urszula Gawron, Jarosław Jakubowski, Bronisław Kozieński, Jacek Kula, Jadwiga Marzec, Leszek Migrąła, Barbara Paluchowa, Waldemar Pasiut, Zofia Pawłowska, Irena Pławiak, Tomasz Podgórski, Magdalena Ponurkiewicz i Anna Wilk. O tytuł „Książka o Sądecczyźnie 2019” rywalizowały pozycje: *Sto lat grybowskiego Liceum* Bogusławy Pasiut i Waldemara Pasiuta, „Almanach Łącki” nr 30 i 31/2019 pod red. Jadwigi Jastrzębskiej, *Co można zabrać w ciągu godziny. Wspomnienia mieszkańców Krynicy i okolic* Józefa Bogacza, *Dawna kuchnia górali gorczańskich. Ochotnica Dolna, Ochotnica Górna, Tylmanowa* w opracowaniu Fundacji Wolna Republika Ochotnicka, *Dzieńdzictwo kultury religijnej w parafii Żeleźnikowa Wielka* Kingi Chebdy i ks. Wiesława Skrabacza, *Dzieje parafii św. Wawrzyńca w Nowym Sączu-Biegonicach* Marka Smoły, *Dziwne jest serce kobiece... Wspomnienia galicyjskie Zofii z Odrowąż-Pieniążków - Skąpskiej* w opracowaniu Rafała Skąpskiego, *Historia z Piekła rodem tom II* Ewy Andrzejewskiej, *Katedra 1292* Leszka Bolanowskiego, *Lachy Podegrodzkie wczoraj i dziś* Jacka Kuli, *Łemkowie. Między integracją a rozproszeniem (1918-1989)* Anny Wilk, *Miejskie Koedukacyjne Gimnazjum i Liceum w Muszynie 1945-1950* Witolda Kalińskiego, *Mieszkańcy wsi Królowa Polska 1679-1900* ks. Grzegorza Kiełbasy, *Modlitwy przydrożne* Barbary Paluchowej, *Nowy Sącz – przewodnik śladami przeszłości* Leszka Migrąły, *Ocalić od zapomnienia. Wojenne i okupacyjne wspomnienia mieszkańców Kamionki Wielkiej* pod red. Zofii Pawłowskiej, *O miłości ojczyzny nie deklamowaliśmy... Wspomnienia Antoniego Sejmeja Górszczyka* w oprac. Sylwestra Rękasa, *Poeci Sądecczyzny. Antologia* w oprac. prof. Bolesława Farona, *Powrót na Sądecczyznę Antoniego Kroha*, *Puzzlekowe serce* Jadwigi Marzec, „Rocznik Sądecki”



Laudację na cześć Barbary Paluchowej wygłasza prof. dr hab. Bolesław Faron



Jadwiga Jastrzębska wśród sześciu nominowanych w Konkursie o Nagrodę im. ks. prof. Bolesława Kumora

tom XLVII/2019, *Sądeckczyzna – skarby natury i architektury* Janusza Wańczyka, *Sekrety Krynicy i okolic* Bartłomieja Grzegorza Sali, *Tradycje i perspektywy rozwoju kultury uzdrowiskowej w Krynicy-Zdroju w kontekście europejskim* pod red. Bożeny Płonki-Syroki, Agnieszki Kaźmierczak, Sławomira Dorockiego i Pawła Brzegowego, *Wiktor Bazieli (1892-1963)* Piotra Bilińskiego, *Ks. Władysław Gurgacz SJ* Dawida Golika i Roksany Szczypty-Szczęch, *Za drzwiami Ireny Pławiak*, *Z polskiego na nasze, czyli prywatny leksykon współczesnej polszczyzny* Antoniego Kroha i Barbary Magierowej oraz *Z zamięłowania do sztuki i tradycji. Pasje i talenty górali gorczańskich* pod red. Moniki Jagiły i Lucyny Kozub.

Kapituła Konkursu o Nagrodę im. Ks. Prof. Bolesława Kumora, w skład której wchodził: Jerzy Bochyński, Jan Dziedzina, Bolesław Faron, Piotr Gryżlak, Witold Kaliński, Wanda Łomnicka-Dulak, Tomasz Kowalski, ks. Krzysztof Prokop, Leszek Skowron, Elwira Smoleń, Leszek Zakrzewski i Adam Ziemianin obradowała pod przewodnictwem pomysłodawczyni konkursu Marioli Berdychowskiej z Fundacji Instytut Studiów Wschodnich. W wyniku dyskusji i po głosowaniu (ostatecznie poddano mu 16 autorów i 26 pozycji) jury postanowiło wyróżnić specjalnymi nominacjami 4 pisarzy i 6 książek. Ostateczny werdykt podczas uroczystej Gali Konkursu, na zakończenie Drugich Sądeckich Targów Książki w Krynicy-Zdroju 29 lutego 2020, w obecności pełnej sali uczestników, sympatyków i przedstawicieli władz miejskich, kościelnych i samorządowych ogłosiła przewodnicząca Kapituły Mariola Berdychowska w towarzystwie prowadzących uroczystość Moniki Fikiel-Szkarłat i Jerzego Bochyńskiego. Wyróżnienia (nominacje) w Konkursie otrzymali autorzy: Joanna Babiarez, Bronisław Koziński, Leszek Migrała i Barbara Paluchowa. Nominowane zostały książki: *Powrót na Sądecką* Antoniego Kroha, „Almanach Łącki” nr 30 i 31/2019 pod red. Jadwigi



Nominacja w kategorii „Sądecki Autor” 2019



Wspólny sukces. Gratulacje dla Jadwigi Jastrzębskiej od prof. Bolesława Farona, członka Kolegium Redakcyjnego „Almanachu Łąckiego”



Wspólny sukces. Wójt Gminy Łącko Jan Dziedzina i Jadwiga Jastrzębska podczas Gali Konkursu o Nagrodę im. ks. prof. Bolesława Kumora



Promocja „Almanachu Łąckiego” w materiałach Konkursu im. ks. prof. Bolesława Kumora

Jastrzębskiej, *Dziwne jest serce kobiece... Wspomnienia galicyjskie Zofii z Odrowąż-Pieniążków - Skąpskiej* w opracowaniu Rafała Skąpskiego, *Łemkowie. Między integracją a rozproszeniem (1918-1989)* Anny Wilk, *O miłości ojczyzny nie deklamowaliśmy... Wspomnienia Antoniego Sejmeja Górszczyka* w oprac. Sylwestra Rękasa oraz *Dzieje parafii św. Wawrzyńca w Nowym Sączu-Biegonicach* autorstwa Marka Smoły. Tytuł „Sądeckiego Autora 2019” spośród czwórki nominowanych pisarzy otrzymała Barbara Krężolek-Paluchowa. Wręczenie honorowej statuetki patrona Konkursu, majestatycznego dyplomu, a także czeku na 5 tysięcy złotych poprzedziła laudacja, wygłoszona przez znaną twórczości poetki, prof. dr hab. Bolesława Farona. Wybitny literaturoznawca przypomniał cały dorobek poetycki Barbary Krężolek-Paluchowej, zwieńczony zgłoszonym do tegorocznego konkursu tomikiem *Modlitwy przydrożne* (Piwniczna-Zdrój 2019) i sylwetką autorki w antologii *Poeci Sądeckizny* (Kraków 2019). Wzruszona nagrodą poetka, malarka, fotografik, animatorka kultury i redaktor miesięcznika „Znad Popradu” opowiadała zebranym o swojej nieustającej aktywności twórczej i czterech małych ojczyznach: Kobylance pod Gorlicami, w której się urodziła, Krynicy, gdzie spędziła 20 lat swojego dzieciństwa i młodości, Krakowie, gdzie studiowała i pracowała ze studentami rzeźby w Akademii Sztuk Pięknych i na koniec Piwnicznej, gdzie od 50 lat – dożgonnie – tworzy i mieszka. Najlepszą „Książką o Sądeckiznie” 2019 roku – spośród sześciu nagrodzonych nominacją – została ostatecznie *Powrót na Sądeckiznę* (Fundacja Sądecka, Nowy Sącz 2020, stron 359) znanego w kraju pisarza, tłumacza i etnografa, „Sądeckiego Autora” 2013 Antoniego Kroha. Laudację na cześć utytułowanego laureata wygłosił przed zebranymi w sali krynickiej Pijalni Jakub Bulzak. Mistrz języka i gwary regionalnej, twórca cieszących się poczytnością w całym kraju książek i przekładów, Antoni Kroh, prezentowany w czasie spotkań targowych również przez Zygmunta Berdychowskiego i kandydujący w konkursie drugą książką, *Z polskiego na nasze, czyli prywatny leksykon współczesnej polszczyzny* (we współpracy z Barbarą Magierową) zapowiedział kolejne dzieło, tym razem nie o Sądeckiznie. Wręczoną mu przez Mariolę Berdychowską statuetkę podsumował krótko i z właściwą swadą: *Kroh dostał Kumora, a Tokarczuk Nobla. Jak mówi przysłowie wedle stawu grobla*. Gala laureatów Nagrody ks. Prof. Bolesława Kumora stała się również okazją do „Sądeckich rozmów”, które ze sceny prowadził Zygmunt Berdychowski. Młodzi naukowcy-historcy, redaktorzy kwartalnika „Sądeczanin. Historia”, którego już ukazały się 4 numery w uzupełnieniu do wydawanego od trzynastu lat miesięcznika, opowiedzieli o pracy nad skierowaną do młodszych i starszych miłośników Ziemi Sądeckiej publikacją *Elementarz historyczny Sądeczanina*, wydaną przez Fundację Sądecką na początku bieżącego roku (opracowanie: Jakub Bulzak, Łukasz Połomski, Sylwester Rękas, Sławomir Wróblewski, Nowy Sącz 2020, stron 161). Uzupełnieniem krynickiej uroczystości stały się także targowe i sceniczne spotkania z innymi kandydującymi twórcami oraz prezentacja licznych sandecjanów i interesujących książek naukowych, przywiezionych na targi przez czołowe ogólnopolskie i regionalne firmy wydawnicze.

Uroczysta Gala „Sądeczanin 2019 Roku” zorganizowana została dzień później, 1 marca 2020 roku, tradycyjnie już w Małopolskim Centrum Kultury „Sokół” w No-



Wielka Gala Sądeczan, MCK „Sokół” Nowy Sącz, 1 marca 2020



Jadwiga Jastrzębska i Mariola Berdychowska po wręczeniu nominacji w Plebiscycie „Sądeczanin Roku” 2019, MCK „Sokół” Nowy Sącz, 1 marca 2020



Nominacja dla Jadwigi Jastrzębskiej w Plebiscycie „Sądeczanin Roku” 2019

wym Sączu. Spośród zgłaszanych kandydatur jury Konkursu 7 lutego 2020 roku wybrało trzynastu nominatów, którzy uczestniczyli w trzytygodniowym plebiscycie na łamach portalu Sądeczanin.info, poddali się głosowaniu drogą mailową i przez kupony dostarczane pocztą lub składane w siedzibie Fundacji Sądeckiej. Kapitułą, w której składzie znaleźli się: Franciszek Młynarczyk, Wincenty Tokarz, Wioletta Oleksy, Jan Radzik, Leszek Skowron, Anna Szczepanik-Dziadowicz, Monika Fikiel-Szkarłat, Wioletta Nowak, Władysław Matczuk, Tomasz Kowalski i Przemysław Bawolek kierował Zygmunt Berdychowski. Przed zebraną na sali „Sokoła” publicznością, przedstawicielami najwyższych władz państwowych, posłami, samorządowcami szczebla wojewódzkiego, powiatowego i gminnego, działaczami kultury, reprezentantami służb mundurowych, szkół i stowarzyszeń lokalnych zaprezentowani zostali kandydaci do zaszczytnego tytułu: Rasm Almashan, Marek Frączek, Andrzej Górszczyk, Wacław Jagielski, Jadwiga Jastrzębska, Maria Kogut, Stanisław Malinowski, Adam Mazur, Iwona Romaniak, Zofia Smajdor, Paulina Tomasiak, Bartłomiej Urbański i Maciej Zaremba. „Sądeczaninem Roku 2019” spośród trzynastu szczęśliwych wybrańców została Maria Kogut, wieloletnia (od 27 lat) dyrektorka Szkoły Podstawowej z Janczowej, animatorka kultury w gminie Korzenna i kierownik zespołu regionalnego Janczowioki. Wzruszonej laureatce nagrodę wręczali zaproszeni na uroczystość prof. Jan Tadeusz Duda, przewodniczący Sejmiku Województwa Małopolskiego oraz europosłanka i była premier RP Beata Szydło. Gratulacje i pamiątkowe dyplomy odebrali również od Zygmunta Berdychowskiego, przedstawicieli władz i stowarzyszeń lokalnych wszyscy wyróżnieni, nominowani do tytułu.



Fanfary dla Marii Kogut z Janczowej



Radość w gronie przyjaciół. Od lewej: Agnieszka Szlęk, Marzena Setlak, Mariola Berdychowska, Jadwiga Jastrzębska, Bogusław Kołcz, Małgorzata Bieniek, Beata Mrówka, Łukasz Ślusarek, Gala „Sądeczanin Roku” 2019, MCK „Sokół”, 1 marca 2020

*

Warto podkreślić zasłużone splendory, które spadły w dwóch dniach rozstrzygnięcia sądeckich plebiscytów na Jadwigę Jastrzębską, niestrudzoną redaktor „Almanachu Łąckiego”. Stworzony i redagowany przez nią lokalny periodyk nie tylko ambitnie promuje od piętnastu już lat Ziemię Łącką, ale także gromadzi przy tej idei środowisko naukowców, historyków, animatorów kultury, przedstawicieli stowarzyszeń i samorządów, którzy reprezentują liczne grono mieszkańców gminy i jej sympatyków, a grono to od 2004 roku regularnie się zwiększa. W skład Kolegium Redakcyjnego „Almanachu Łąckiego” wchodzi znani naukowcy: prof. Julian Dybiec, prof. Barbara Wagner i prof. Bolesław Faron oraz lokalni społecznicy, którzy wszelkimi możliwymi sposobami promują gminę oraz sam periodyk, zachęcając do wspierania go swoimi tekstami związanych z nimi przedstawicieli kilku pokoleń badawczych i dyscyplin naukowych. Drukująca także ostatnio w „Almanachu Łąckim” prof. dr hab. Agnieszka Ogonowska pisała przed laty w swojej analizie:

Wszystkie drukowane teksty składają się [w „Almanachu Łąckim”] na obraz lokalnej społeczności, w tym jej aktywności społeczno-kulturowej, fascynacji pięknem przyrody, znawstwem tradycji i historii regionu oraz działań podejmowanych na rzecz promocji tej małej ojczyzny na forum ogólnopolskim międzynarodowym./.../ Większość artykułów ma charakter wspomnieniowy, tzn. wpisują się one w misję dokumentowania śladów pamięci na temat osób, zdarzeń, zjawisk i obiektów; z kolei autorskie tek-



Trud nagrodzony

sty literackie, głównie wiersze i fragmenty prozy są także pewnym faktem kulturowym i przejawem lokalnej aktywności twórczej, a zarazem elementem kultury duchowej.

Patronujące „Almanachowi Łąckiemu” i kierowane przez Jadwigę Jastrzębską Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej reprezentuje na zewnątrz i firmuje także szereg innych inicjatyw kulturalnych, historycznych oraz akcji charytatywnych w gminie, o czym uczestnicy obu gali w Krynicy i Nowym Sączu mogli dowiedzieć się z licznych materiałów, przekazywanych podczas prezentacji laureatów na scenie i rozprowadzanych w publikacjach na miejscu, zaś trudna do zliczenia rzesza czytelników i użytkowników sieci (portali informacyjnych i społecznościowych) mogła się o tym dowiadywać z wielotygodniowych informacji, publikowanych w czasie trwania zgłoszeń kandydatur i samych głosowań.

Moim największym sukcesem jest działalność społeczna, którą zawsze staram się łączyć z niesieniem pomocy najuboższym rodzinom i potrzebującym uczniom – przemawiała Jadwiga Jastrzębska z ekranów na scenie i w sieci.

Przełom 2019 i 2020 roku był czasem dla Jadwigi Jastrzębskiej, dla „Almanachu Łąckiego” i dla samego Łącka. 13 listopada 2019 roku, podczas promocji ostatniej pracy prof. Bolesława Faron *Poeci Sądeckizny. Antologia*, uwzględniającej również najbardziej znane wiersze zaprzyjaźnionego z „Almanachem” i wielokrotnie rozślawiającego region (także w plebiscytach „Sądeczanin Roku” i konkursach o Nagrodę im. Ks. Prof. Bolesława Kumora) Bronka z Obidzy i zapowiadającej piękne teksty związanej z Towarzystwem Miłośników Ziemi Łąckiej poetki Marzeny Setlak, zgromadzeni na sali w MCK „Sokół” liczni reprezentanci środowisk kulturalnych, władz miasta i regionu usłyszeli wiele pochwalnych słów, podkreślających niezmiennie ważną rolę, jaką zaczyna w ostatnich latach i miesiącach przyjmować na siebie wychodzący w Łącku i prężnie zdobywający rynki - nie tylko lokalne – periodyk. Wypowiadający się publicznie uczestnicy spotkania (w tym prowadzący promocję Bogusław Kołcz i reprezentująca inicjatora wydania *Antologii*, czyli Społeczno-Kulturalne Towarzystwo „Sądeczanin”, Mariola Berdychowska) zauważali powiększające się ostatnio grono autorów, związanych dotychczas z innymi ważnymi pismami w regionie, którzy zaczęli publikować swe teksty w „Almanachu Łąckim”, zauważali także, co najważniejsze, niezmienną trwałość, stabilność i wzrastającą pozycję „Almanachu Łąckiego” na rynku lokalnym i krajowym w sytuacji, gdy przestały już – z różnych względów – wychodzić towarzyszące mu dotychczas i wspierające promocję regionu almanachy: „Sądecki” i „Muszyni”, zaś zasłużony „Rocznik Sądecki” w 2019 roku rozstał się z prowadzącą go przez wiele lat redakcją, Radą Naukową i gronem osób wspierających i współpracujących z pismem. Swoistym fenomenem nazwał „Almanach Łącki” prof. dr hab. Bolesław Faron:

Dzięki uporowi, konsekwencji i zaangażowaniu inicjatorce Jadwidze Jastrzębskiej czytelnicy mogą zapoznać się z nową porcją artykułów przedstawiających problematykę Łąckiej Ojczyzny./.../ Każdy zeszyt „Almanachu” dostarcza niezwykle urozmaiconego materiału. Udało się autorom i redaktorom otworzyć nawet najbardziej przepastne skrzynie spoczywające na strychach starych domów czy w starych spichlerzach i wydo-

być z nich niezwykle ciekawe indywidualne historie zawarte w tych sezamkach, opisy indywidualnych losów, które tworzą historię dziejów polskich.

Dzięki tytanicznej pracy Jadwigi Jastrzębskiej, świetnie prowadzonej polityce kulturalnej i regularnemu wspieraniu pisma przez Urząd Gminy w Łącku, a także pozyskiwaniu przez Redaktorkę dodatkowych środków z budżetu Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu, drukarni Flexergis i od zaprzyjaźnionych darczyńców, dzięki społecznemu wysiłkowi autorów i członków redakcji „Almanachu Łąckiego” piękna i prężna Gmina Łącko, a wraz z nią region i Ziemia Sądecka otrzymuje regularnie wychodzące i stale zwiększające swój poziom naukowy i zasięg czytelniczy pismo. Dobrze również, że Kolegium Redakcyjne, Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej i Wójt Gminy Łącko bezsprzecznie rozumieją, że wydawany wspólnym sumptem „Almanach Łącki” powinien wychodzić w swej treści poza tematy ściśle lokalne: podejmować problematykę społeczno-kulturalną całej Sądeckizny, wychodzić poza łąckie opłotki, drukując na równi z piszącymi na miejscu twórcami artykuły związanych z ich Łąckiem fachowców, którzy rozsiani dziś i podróżujący, rozślawiają swą „rodną ziemię” po świecie.

Redaktor i Prezes Jadwiga Jastrzębska spotkała się w 2019 i w 2020 roku, w czasie kandydowania do sądeckich prestiżowych nagród, z niezliczonymi dowodami i gestami sympatii, a także wdzięczności od tych, wśród których od wielu lat działała. Głosy współpracowników z terenu Gminy, kupony i smsy wysyłane z poparciem jej działalności i osoby na adres organizatorów konkursów (Sądeczanin.info wzywał w jej imieniu: „Głosuj na góralkę znad morza!”) plasowały Jadwigę Jastrzębską i „Almanach Łącki” w ścisłej czołówce i pierwszej trójce zwycięzców. Ona sama przez cały trudny i wyczerpujący dla siebie czas mogła liczyć na wsparcie przyjaciół. Z pierwszymi gratulacjami i kwiatami 29 lutego i 1 marca 2020 roku pospieszyli do niej: Mariola Berdychowska, prof. Bolesław Faron, Wójt Gminy Łącko Jan Dziedzina, Przewodnicząca Rady Gminy Łącko Bernadeta Wachała-Gawełek, a także najbliżsi jej członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej.

Niezłomna Jadwigo, Drodzy Przyjaciele z „Almanachu Łąckiego”, Ad multos annos!

Fot. Bogusław Kołcz

450 lat Unii Lubelskiej
– Łącko i ziemia łącka w czasach ostatniego Jagiellona
i początkach Rzeczypospolitej Obojga Narodów
w świetle zachowanych dokumentów i materiałów z epoki. – cz. III

Kontynuując cykl przedstawiający Łącko i klucz łącki w okresie unii polsko-litewskiej nazywanej lubelską z roku 1569 w zasadzie poza materiałem z lustracji starostwa sądeckiego z tegoż samego roku¹ nie mamy poważniejszych informacji dotyczących tego obszaru. Wymieniona lustracja podaje jedynie miejscowości takie jak: Łącko, Kosnowa Wola, Szczereż, Wola Piskulina, Kamienica, Kicznia, Maszkowice, Zbludza, Zagorze cum Zawada, Boczow cum Zabrzeże i Czerniec i potwierdza istnienie klucza łąckiego². Natomiast szersze dane pojawiają się już w latach 1570 i 1571 w Archiwum Skarbowym, którego zbiór dokumentów znajduje się obecnie w Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie, mowa tu bowiem o ówczesnych rejestrach i rekognicjarzach poborowych³. Zasadniczo zostały one ogólnie omówione w poprzedniej części cyklu, przy okazji ukazania ich zawartości w okresie poprzedzającym unię to jest lata 1563 i 1565⁴. Jednakże i w tym krótkim artykule winien być przedstawiony przynajmniej ogólny zarys owych archiwaliów w odniesieniu do lat 1570-1571. W tym wypadku chodzi o dwie sygnatury o numerach 107 i 109 i są to dwie spore księgi, pierwsza z nich nosi tytuł Rejestr poborowy województwa krakowskiego 1570 r. i jest to rękopis zawierający 380 stron czyli 190 kart, kolejna to Rekognicjarz poborowy⁵ województwa krakowskiego z lata 1570 i 1571 i obejmuje 538 stron, czyli 269 kart. W obydwu przypadkach są to rękopisy, gdzie mamy pismo wielu rąk w języku polskimi łacińskim, z przewagą tego drugiego, do tego również możemy zauważyć numerację stron w tym wypadku kart odmienna od oryginalnej zapisana ołówkiem⁶.

¹ AGAD MK Lustracja Dz. XVIII, t. 18, k. 81.

² O tym szerzej zob. Piotr Wierzbicki, 450 lat Unii Lubelskiej – Łącko i ziemia łącka w czasach ostatniego Jagiellona i początkach Rzeczypospolitej Obojga Narodów w świetle zachowanych dokumentów i materiałów z epoki. – cz. I, „Almanach Łącki” nr 30, 2019, s. 142 i 145 oraz M. Kurzeja, L. Moryto, M. Styczynski, B. Turek, B. Wachala Gawelek, P. Wierzbicki, *Ziemia łącka. Historia, tradycja, kultura*, Łącko 2019, s. 22 i 23; B. Wierzbicka, P. Wierzbicki, *Charakterystyka geograficzno-historyczna terenu [w:] Kultura ludowa Górali Sądeckich od Kamienicy, Łącka i Jazowska*, Kraków 2016, s. 18;

³ AGAD ASK I, sygn. 107 (1570 r.) mikrofilm 4074/4771 i sygn. 109 (1571 r.) mikrofilm 4072/4773.

⁴ Zob. P. Wierzbicki, 450 lat Unii Lubelskiej – Łącko i ziemia łącka w czasach ostatniego Jagiellona i początkach Rzeczypospolitej Obojga Narodów w świetle zachowanych dokumentów i materiałów z epoki. – cz. II, „Almanach Łącki” nr 31, 2019, s. 6-14.

⁵ Pobór podatek nadzwyczajny stosowany w od XVI wieku w Rzeczypospolitej, i przeznaczany był raczej na wojsko i wynosił około 30 groszy z łana czyli 1 floren. Za Z. Kaczmarczyk, B. Leśniodorski, *Historia państwa i prawa Polski od połowy XV w do r. 1795*, Warszawa 1957, s. 132.

⁶ Za Zespół: Archiwum Skarbowe Koronne Seria: 3 ASK I – Rejestry podatkowe Rejestr poborowy woj. krakowskiego 1570 sygnatura 107, <https://szukajwarchiwach.pl/1/7/0/3/107#tabJednostka> i Zespół: Archiwum Skarbowe Koronne Seria: 3 ASK I – Rejestry podatkowe [Rekognicjarz poborowy woj. krakowskiego] 1570 1571 sygnatura 109 <https://szukajwarchiwach.pl/1/7/0/3/109#tabJednostka>.

Dla Łącka i klucza łąckiego najistotniejsza jest część, w której odnajdujemy zapisy związane z powiatem sądeckim⁷, w którego granicach administracyjnych był klucz łącki. W przypadku roku 1570 odnajdujemy na kartach księgi miejscowości Kadca, Szczereż, Łącko, Zarzecze, Brzyna, Czerniec, Wola Piskulina, Kosnowa Wola, Maszkowice, Zagorzyn, Zarzecze, Zabrzezie przy niej przysiółek Wietrznica, Kamienica i Zbludza⁸. W spisie treści, gdzie w zapisie są miejscowości klucza łąckiego, znajdujemy też notatkę „*Sadeczkie Mniszki*”, co jest informacją o przynależności tych miejscowości do latyfundium Klasztoru Klarysek w Starym Sączu⁹. Natomiast spośród nich Brzyna pojawia się tylko informacyjnie z nazwy brak o niej danych podatkowych. Zapis w źródle w większości jest w języku polskim z elementami łaciny w miarę dobrze czytelny. Opisy podatkowe zaczynają się kolejno od wsi Kadca w farze Podegrodzie z dopiskiem „*spolna nowa wieś Monalium Sadeczkych*” chodzi tu o klaryski starosądeckie. Z przekazu poborowego miejscowości wynika, że ma 1 i ½ roli¹⁰ kmiecej oraz jednego i pół komornika, czyli należy się podatek za półtorej komornika oraz jest jeden szynk karczmy zakupnej, a z całości czynsz wyszedł 6 florenów i 18 groszy¹¹ przy czym warto zaznaczyć, że ówczesny floren lub złoty liczył 30 groszy¹². Kolejna wieś to Szczereż z dopiskiem „*Sadeczkych Mniszek*”, który wykazuje do podatku 2 role kmiece oraz 1 sołtysi łan¹³. A za to należy się poboru 2 floreny¹⁴. Dalej mamy farę łąką i samą wieś Łącko z liczbą 4 i ½ roli kmiecej, 1 karczma zakupna gdzie się szynkuje alkohol, 1 koło zakupne młyna, 1 komornika, 4 zagrodników i aż 3 rzemieślników, co daje 4 floreny o 18 groszy podatku. Z samego opisu miejscowość urasta do rango ośrodka rzemieślniczego, co więcej może się poszczycić dość sporym arealem użytkowym oraz siłą roboczą, nie odzwierciedla jednak tego suma podatku. Kolejne miejscowości to Zarzecze z 3 rolami kmiecymi i podatkiem 2 florenów a przy niej przysiółek Wietrznica z karczmą oraz poborem 20 groszy. Potem Boczów i Zabrzeże mające 3 role kmiece, 1 szynk karczmy dorocznej, 1 koło zakupne młyna, 1 zagrodnik, 1 sołtysi łan i 1 piłę dziedziczną, czyli świadczy to funkcjonowaniu tartaku dochodowego przedsiębiorstwa. To pozwalało wycenić pobór na 4 floreny i 20 groszy. Te trzy wsie, podobnie jak poprzedniczki, posiadają dodatko-

⁷ AGAD ASK I, syg. 107, k. 159v- k. 173. i syg. 109, k. 200-236v.

⁸ AGAD ASK I, syg. 107, k. 10, 10v, 162v, 163 v, 165v-167.

⁹ AGAD ASK I, syg. 107, k. 10.

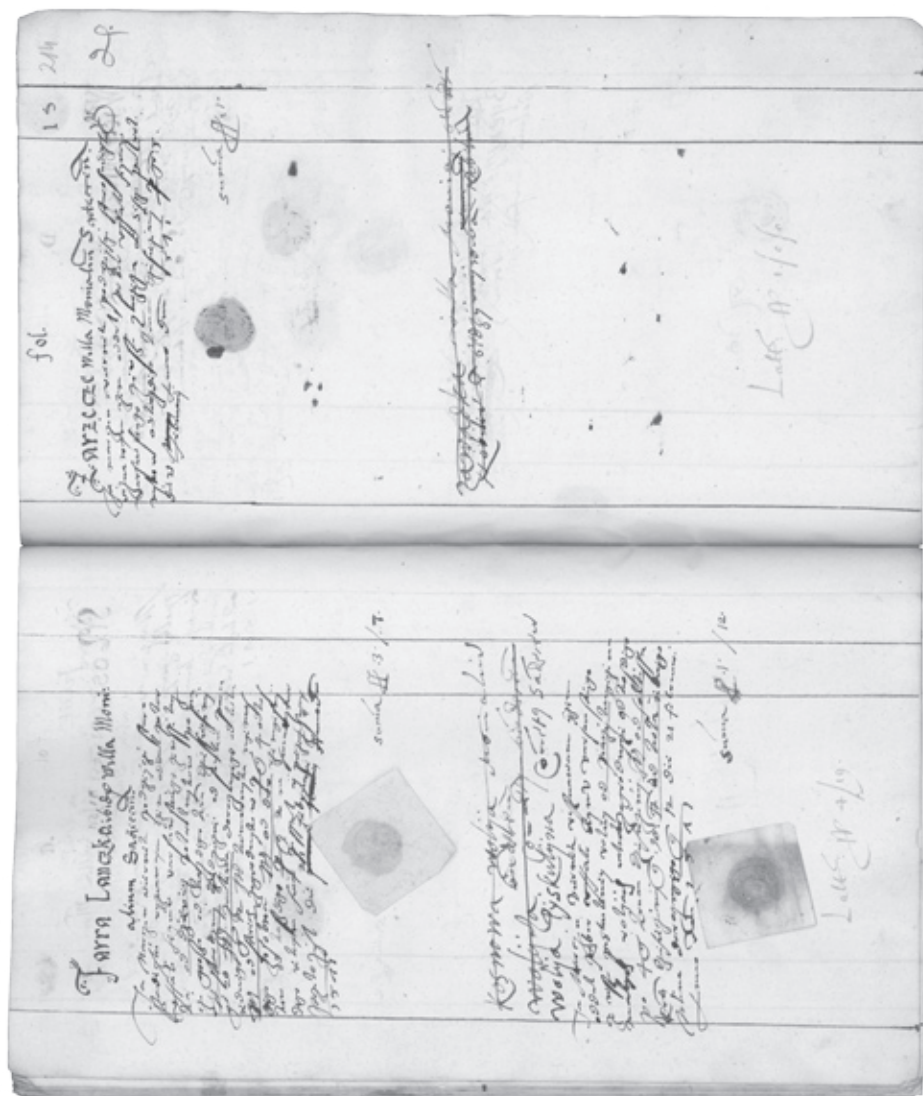
¹⁰ Rola – ziemia uprawna, pole uprawne zwykle o ustalonym obszarze albo gospodarstwo chłopskie, za Słownik Staropolski (Rodzić-Rozproszyć), T. VII zeszyt 7(47), Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1977, s. 495.

¹¹ AGAD ASK I, syg. 107, k. 162v.

¹² floreny i grosze; Złoty polski zwany też florenem polskim lub guldenem równał się 30 groszom w XVI wieku (1 złoty = 5 szóstaków = 10 trojaków = 30 groszy). *Encyklopedia gospodarcza...*, t. II, s. 561.; T. Wierzbowski, *Vademecum...*, s. 221.

¹³ Łan- Łan (łac. *laneus*, czeski *lán*, niem. *Lahn* lub *Hube*), – dawna jednostka podziału pól wspólnoty w średnio-wiecznej Europie Zachodniej. Jednostka ta służyła pomiarom powierzchni i długości ziemi przeznaczonej pod zasiewy jej wielkość wahała się od od 18 do ponad 24 hektarów, były łany mniejsze chełmińskie zwane włókami i większe zwane frankońskim lub staropolski i tak wielkość 1 łana mniejszego = 30 morg ≈ 17,955 hektara, a 1 łan większy = 48 morg ≈ 24,2 hektara., J. Szewczyk, *Włoka. Pojęcie i termin na tle innych średniowiecznych jednostek pomiaru ziemi*. Warszawa: Polskie Wydawnictwo Naukowe, 1968, s. 18-19.

¹⁴ AGAD ASK I, syg. 107, k. 163v.



Zdj. 2 – Fara Łącko z miejscowościami Łącko, Wola Piskulina i Zarzecz w rejestrze poborowym z 1570/71 roku AGAD Warszawa ASK I, syg. 109, karty 213v i 214

we opisy wskazujące na przynależność do klarysek¹⁵. Na dalszej stronie należące do fary łąckiej są Maszkowice z 6 rolami kmiecymi, ½ koła młyńsa dorocznego, 1 komornikiem i 1 szynkiem dorocznym za co poborca zebrał 4 floreny i 12 groszy i jest to miejscowość posiadająca drugą pod względem wielkości liczbę ról kmiecych bo jedynie Kamienica wykazała ich więcej. Potem pojawia się wieś Czerniec z 4 rolami kmiecymi, 1 kołem dorocznym młyńsa niezakupnym oraz 1 rzemieślnikiem z poborem w wysokości 3 florenów i 14 groszy. Na końcu strony występuje Wola Piskulina z 1 i 2/4 roli kmiecej, 1 kołem młyńsa dorocznego i 1 łanem sołtysim. I tu mamy zapis dodatkowy z ról poboru floreny 2 groszy 10¹⁶. Dalsza część karty to kolejne miejscowości fary Łącko i tu jest Kosnowa Wola, gdzie mamy 1 i ½ roli kmiecej i 1 łan sołtysi z czego pobór wyniósł florenów 1 i groszy 20 z kolei Kicznia ma 3 i ½ roli kmiecej oraz 1 młyn doroczny i koło zakupne, 1 rzemieślnika i 2 łany sołtysie z czego należność wyniosła floreny 3 i groszy 26. Na końcu jest Zagorzyn z 4 i ¼ roli kmiecej oraz z 1 szynkiem karczmy zakupnej, 1 szynkiem gorzałczanym, 1 kołem młyńskim zakupnym, 3 i ½ komornika, 3 zagrodnikami oraz hultajem¹⁷, to jest dawniej nazywano tak pracownika najemnego, człowieka wolnego¹⁸. We wszystkich przypadkach mamy dopisek „*Monalium Sadecz*” czyli oznacza to własność klarysek¹⁹. Ostatnia fara związana z ziemią łącką, która występuje w tym rękopisie to Kamienica i tu wyrasta ona obok Łącka i Maszkowic na największy ośrodek gospodarczy na tych terenach bowiem zostaje wykazanych 12 ról kmiecych, 1 koło młyńsa zakupnego, 4 i ½ komornika, 1 rzemieślnik, 1 sołtysi łan i karczma tzw. czapnicza, z czego podatek też jest najwyższy bo sięgający 10 florenów i 26 groszy. Występująca po niej wieś Zbludza ma zaledwie 3 i ½ roli kmiecej, 1 koło młyńskie doroczno-zakupne i 1 sołtysi łan. Z tego na pobór wyszło floreny i 24 grosze²⁰. Należy zaznaczyć, że w dokumencie brak fary Czarny Potok, Jazowsko oraz miejscowości Gaboń z fary Podegrodzie i Wolica z fary Łącko uznawanych za przynależne do ziemi łąckiej. Jest to więc mniej kompletne archiwaliu do historii tego regionu w porównaniu do zapisów z lata 1563 i 1565, co najlepiej ilustrują zamieszone w poprzedniej części cyklu dwie tabele²¹, które też w nieco innej formie są też i tutaj dla celów porównawczych. Pierwsza z nich dotyczy roku 1570 i całościowego obrazu gospodarczego ziemi łąckiej na tenże rok. Można rzecz, że jest to całościowy spis inwentarza obejmujący liczbę kół młyńskich i karczm lub szynków poprzez, ilość rzemieślników, komorników, zagrodników, ogrodników, ról kmiecych i łanów sołtysich.

¹⁵ Tamże, k. 165 v.

¹⁶ Tamże, k. 166.

¹⁷ Tamże, k. 166 v.

¹⁸ Hultaj – najemnik, pracownik, dawniej człowiek wolny, najemnik, luźny, nieosiadły wyrobnik. Hultaj pracowali na kontrakcie czasowym, krótszym zazwyczaj niż rok, albo na umowie o wykonanie dzieła. za W. Doroszewski, *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1996, s. 120.

¹⁹ AGAD ASK I, syg. 107, 166v.

²⁰ Tamże, k. 167.

²¹ P. Wierzbicki, 450 lat Unii Lubelskiej – Łącko i ziemia łącka..... – cz. II, „Almanach Łącki nr 31, 2019, s. 13 i 14.

Całościowe zestawienie inwentarza wszystkich miejscowości ziemi łąckiej ujętych w poborze z roku 1570 (AGAD ASK I, syg. 109)

Lp.	Nazwa	Liczba
1.	Role kmiece	50 ½
2.	Łany sołtysie	8
3.	Karczmy i szynki	8
4.	Koła zakupne i doroczne – młyny	8 ½
5.	Piły	1
6.	Rzemieślnicy	6
7.	Zagrodnicy	8
8	Komornicy	8
9.	Hultaje – najemnicy	1

Powyższe zestawienie daje pewien obraz całościowy gospodarczego stanu ziemi łąckiej w tamtym okresie. Widzimy tu przede wszystkim rozwój rolnictwa, trochę przemysłu drzewnego na co wskazuje istnienie tartaku, mamy też rzemieślników, pojawia się też najemny robotnik, ważnym elementem jest też wyszynk napojów alkoholowych głównie piwa ale też i gorzałki przynajmniej w jednym przypadku. Ilość kół młyńskich wskazuje na większy niżby się zdawało z zapisów udział przemysłu drzewnego, co zresztą potwierdza pobór z 1571 roku, poniżej pojawia się bowiem jeszcze jedna piła i tartak. To zresztą widoczne jest też w zestawieniach tabelarycznych z poprzedniego artykułu odnoszącego się do lat 1563 i 1565 w zasadzie liczba łąnów sołtysich jest podobna gdyż wówczas było ich 9, czyli różnica o 1 łąn. Samych ról kmiecych jest nieco więcej bo wówczas był nieco ponad 45. Rzemieślników jest w latach 1570-1571 jest tyle samo co wcześniej. Co do karczm jest ich co najmniej o jedną więcej w latach 1570-1571 w stosunku do lat 1563 i 1565. Natomiast komornicy i zagrodnicy są wielkością niedoszacowana w poborach z lat 1570 i 1571 w stosunku do dwóch poprzednich, gdzie mamy ich od 26 do 30²².

Wracając do zapisów związanych z poborem w kolejnej księdze z lat 1570 i 1571, dane do miejscowości związanych ziemią łącką, są jeśli chodzi o liczbę miejscowości, w zasadzie takie same. Podobnie jak wyżej brak fary Czarny Potok i Jazowsko, nie występuje Gaboń z fary Podegrodzie jedyną różnicą jest brak Brzyny, ale to niewiele zmienia bowiem w poprzedniej księdze jest ona podana, ale brak do niej danych podatkowych. Pojawia się natomiast Wolica, ale do tego przysiółka danych również brak²³.

²² Tamże, s. 9-10 i 13, 14.

²³ AGAD ASK I, syg. 109, k. 3v, k. 205v, 208, 213v-216v, 217v-219.

Nieco inaczej wyglądają zapisy rękopismienne, wprawdzie są w zdecydowanej części w polskim języku, ale bardzo trudno czytelne i mniej staranne, pochodzą z „21 februara 1571 r.”²⁴ Podobnie jak wcześniej i tu zaczyna się wymienianie osad ziemi łąckiej od Kadczy, która ma pół roli, 1 komornika, koło zakupne i karczmę szynkującą piwo z czego poboru jest 4 floreny i 3 grosze²⁵ Jedyna zmiana jest w wykazanej ilości ról bowiem w 1570 roku była 1 i ½ roli. Kolejny jest Szczereż z dwoma rolami kmiecymi i łąnem sołtysim daje 1 floren podatku i tu inwentarzowo nic się nie zmienia²⁶. Łącko jako miejscowość farna pozostaje nadal ośrodkiem rzemieślniczym, tu jedynie liczba rzemieślników zmniejsza się do 2, a zagrodników spada do 3 a pobór wynosi 3 grosze i 7 florenów. Potem mamy zmianę w kolejności wsi bo pojawia się Wola Piskulina tu inwentarzowo mamy dodatkowo 2 zagrodników oraz kram dziedziczny z czego podatek to 1 floren i 12 groszy²⁷. Warto zaznaczyć, że poborca wpisał tę miejscowość dwukrotnie do spisu zapewne pomyłkowo jak wskazują skreślenia w źródle²⁸. Dalej występuje Zarzecze z tzw. sześcioma pół rolami kmiecymi wykazując ten sam stan posiadania co poprzednio w 1570 roku, z tym że pojawia się też tram dziedziczny czyli piła albo tartak, a podatek wynosi 1 floren²⁹. Przy Zarzeczu mamy przysiółek Wietrz-nica, gdzie mamy informację o asygnacji sołtysa na sumę 10 gorszy, co wskazywało by na łąn sołtysi a we wcześniejszych danych mamy informację o karczmie dorocznej. Potem jest Zabrzezie i Boczów i w zasadzie utrzymuje ten sam stan co wcześniej z podatkiem 3 floreny i 2 grosze i nadal jest ośrodkiem przerobu drewna³⁰, co też wykazuje w tym spisie wymienione nieco wcześniej Zarzecze. W dalszej kolejności są Maszkowice, które podają tylko 6 ról kmiecych oraz karczmę i mają podatek na poziomie 2 florenów i 12 groszy, co zdecydowanie różni się od zapisów z 1570 roku. Kolejna wieś Czerniec odnotowuje ten sam stan co rok wcześniej, czyli 1 młyn i 8 pół ról kmiecych bez rzemieślnika o podatkiem na poziomie 2 florenów i 4 groszy³¹. Dalej Wola Kosnowa bez zmian w inwentarzu ma 1 łąn sołtysi i 3 pół role kmiece, co pozwala wyliczyć należności na poziomie zaledwie 25 groszy³² Podobne jak Wola Piskulina zapisana jest omyłkowo, ale aż dwukrotnie na dwóch innych stronach, na co wskazują przekreślenia pisarza³³. Wieś Kicznia prezentuje się podobnie ja rok wcześniej w zapisie wymienionych jest jednak 7 pół ról a nie 3 i ½ roli kmiecej jak poprzednio, podatek jest na poziomie 2 florenów i 11 groszy³⁴. W przypadku Zagorzyna mamy 3 zagrodników, a nie jak poprzednio 3 i ½, taką samą liczbę ról kmiecych to jest 4 i ¼, mniej bo 2 komorników a nie 3, poza tym jest szynk piwa i gorzałki w karczmach, 1 koło młyńskie

²⁴ Tamże od k. 205v do k. 219.

²⁵ Tamże, k. 205v.

²⁶ Tamże, k. 209.

²⁷ Tamże, k. 213v.

²⁸ Tamże, k. 216v.

²⁹ Tamże, k. 214.

³⁰ Tamże k. 215.

³¹ Tamże, k. 216.

³² Tamże, k. 217.

³³ Tamże, k. 213v i 214v.

³⁴ Tamże, k. 217V.

oraz łan sołtysi, czego w 1570 roku nie wykazano, poza tym brak hutlaja a podatek wynosi 3 floreny i 25 groszy³⁵. Fara Kamienica zamykająca zestawienie miejscowości łąckiego regionu to wieś Kamienica, która ma 12 ról kmiecych czyli najwięcej, ale poborca pisze tu o „*podlych rolyach*”. Także pojawiają się ponownie 2 młyny w tym sołtysi oraz 1 łan sołtysi jak poprzednio. Brak natomiast rzemieślnika. I także teraz Kamienica płaci najwyższy podatek 6 florenów i 16 groszy³⁶. Ponownie na końcu spisu pojawia się wieś Zbludza z 7 pól rolami czyli stanem posiadania jak poprzednio, z 1 młynem oraz 1 łanem sołtysim z czego płaci 2 floreny i 9 groszy³⁷. Z powyższego zapisu wynika, że do grona najbardziej rozwiniętych gospodarczo miejscowości znowu trafiają Maszkowice, Łącko i Kamienica. W niniejszym źródle, co ważne wykazane zostały sumy poboru od poszczególnych pozycji zazwyczaj od rolnika lub zagrodnika 4 grosze³⁸, od rzemieślnika 2 grosze³⁹, od półroli lub roli kmiecej pobierano od 5⁴⁰ do 10 groszy⁴¹, od łanu sołtysiego od 10⁴² do 12 groszy⁴³, z karczmy z szynku 12⁴⁴ lub 20 groszy (ale to tylko w przypadku Łącka)⁴⁵, od koła lub młyna 24 grosze⁴⁶ od piły czyli tzw. tramu lub tartaku 20 groszy⁴⁷. Ponadto zwrócono uwagę na fakt szynkowania piwa⁴⁸, czego nie zrobiono w rejestrze poprzednim.

Porównując dwa rejestry można stwierdzić, że są one prawie takie same różnice inwentarzowe są niewielkie, brakuje dwóch rzemieślników, dochodzi jeden tartak z piłą, nie ma natomiast w ogóle komorników i brak wcześniej wymienianego hultaja tzw. pracownika najemnego wolnego, który zapewne wykonał zadanie i odszedł. Ilość informacji niewątpliwie pod kątem skarbowym i opisu jest większa w przypadku rejestru, albo bardziej rekognicjarza z 1571 roku. Zresztą wyliczenia i sam pobór z lata 1570 i 1571 jest wynikiem sejmku odbytego w Warszawie w 1570 roku (trwał od 29 IV do 11 VII)⁴⁹ i pobór obejmował połowę czasu, który uwzględniono w przypadku roku 1570, stąd różnice w wielkości kwot blisko o połowę, co doskonale ilustruje kolejna tabela. Mamy tam bowiem w pierwszym przypadku to jest za rok 1570 dokładnie 57 florenów ze wszystkich wsi łąckiej ziemi a za rok 1571 a w zasadzie jego pierwszą połowę 33 floreny i 16 groszy. Można powiedzieć, że wyliczenia te nie ustępują tym z lat 1563 i 1565, gdzie odpowiednio mamy 43 floreny i 29 groszy oraz 60 florenów

³⁵ Tamże, k. 218.

³⁶ Tamże, k. 218 v.

³⁷ Tamże, k. 219.

³⁸ „od luznego zagrodnika g[roszy] 4”, AGAD ASK I, syg. 109, k. 218.

³⁹ „od zamisnyka g[roszy] 2” AGAD ASK I, syg. 109, k. 217v.

⁴⁰ „od dziewicy pulrolnikow od kazdego po pieczy groszi od kazdigo”, AGAD ASK I, syg. 109, k. 213v.

⁴¹ „od siszci rol zalisz p[er] g[roszy] 10” AGAD ASK I, syg. 109, k. 215v.

⁴² „od soltisa [...] g[roszy] 10”, AGAD ASK I, syg. 109, k. 217.

⁴³ „s poliy soltisia dzidziczney g[roszy] 12”, AGAD ASK I, syg. 109, k. 215.

⁴⁴ „s karczmy doroczney od sinku [...] gr[oszy] 12”, AGAD ASK I, syg. 109, k. 215.

⁴⁵ „S karczmy dziedzicznej od szynku piwa gr[oszy] 20”, AGAD ASK I, syg. 109, k. 213v.

⁴⁶ „S mlina dziedzicznego od kola iednego g[roszy] 24”, AGAD ASK I, syg. 109, k. 216 także 217.

⁴⁷ „tram [...] g[roszy] 20”, AGAD ASK I, syg. 109, k. 215.

⁴⁸ „od sinku piwa g[roszy] 20”, AGAD ASK I, syg. 109, k. 217v.

⁴⁹ Informuje o tym strona początkowa rejestru z 1570 roku AGAD ASK I, syg. 107, k. 33 „*Regestr poborow [...] wedle [...] sejmku warszawskiego z roku [...] 1570 sprawiony*” zob. W. Konopczyński, *Chronologia Sejmów Polskich, 1493-1793*, Kraków 1948, str. 141; zob. też *Volumina Legum- reces Sejmu Warszawskiego Roku 1570*, t. II, s. 107-108.

i 28 groszy⁵⁰. Na tej podstawie dopuszczalne jest stwierdzenie, że rozwój ziemi łąckiej był wówczas równomierny. Należy też zaznaczyć, że wyliczenia poborowe z 1570 roku były poniekąd kontynuacją uchwał sejmowych z roku 1569 z sejmu zwanego lubelskim zwołany od 1 listopada 1568 r. na 23 grudnia tegoż roku, ale obrady toczyły się od 10 stycznia do 12 sierpnia 1569 roku⁵¹. To pozwala z kolei przyjąć, że pobór ten miał także swe źródła w uchwałach unii lubelskiej i odzwierciedlał w swych zapisach obraz gospodarczy i też częściowo społeczny ziemi łąckiej objętej tym poborem dokładnie właśnie w momencie jednoczenia się dwóch państw Polski i Litwy.

Zestawienie poboru z dwóch z klucza łąckiego z lat 1570 i 1570/71 na podstawie rejestru i rekognicjarza województwa krakowskiego

Lata	1570 AGAD syg. 107		1570/71 AGAD syg. 109	
Lp.	Miejscowość	Suma poboru floreny i gorsze	Miejscowość	Suma poboru Floreny i grosze
1.	Brzyna (jest)	Brak danych	Brzyna brak w dok.	Brak danych
2.	Czerniec	3 fl i 14 gr	Czerniec	2 fl i 4 gr
3.	Kadcza	6 fl i 18 gr	Kadcza	4 fl
4.	Kamienica	10 fl i 26 gr	Kamienica	6 fl i 16 gr
5.	Kicznia	3 fl i 26 gr	Kicznia	2 fl i 11 gr
6.	Łącko	4 fl i 18 gr	Łącko	3 fl i 7 gr
7.	Maszkowice	4 fl i 12 gr	Maszkowice	2 fl i 12 gr
8.	Szczereż	2 fl	Szczereż	1 fl
9.	Wietrznica	20 gr	Wietrznica	10 gr
10.	Wola Kosnowa	1 fl i 20 gr	Wola Kosnowa (jest)	25 gr
11.	Wola Piskulina	2 fl i 10 gr	Wola Piskulina	1 fl i 12 gr
12.	Wolica – brak w dok.	Brak danych	Wolica (jest)	Brak danych
13.	Zabrzezie - Boczow	4 fl i 20 gr	Zabrzezie – Boczow	3 fl i 2 gr
14.	Zagorzyn	6 fl i 2 gr	Zagorzyn	3 fl i gr 25
15.	Zarzeczce	2 fl	Zarzeczce	1 fl
16.	Zbludza	3 fl i 24 gr	Zbludza	2 fl i 9 gr
Suma		57 florenów		33 floreny i 13 groszy

⁵⁰ P. Wierzbicki, *450 lat Unii Lubelskiej – Łącko i ziemia łącka.....* – cz. II, „Almanach Łącki nr 31, 2019, s. 10-11, 13 i 14.

⁵¹ W. Konopczyński, *Chronologia.....*, s. 140; Zob. Uniwersał poborowy, Volumina legum, t. III, s. 102-106

Strachy naszego dzieciństwa, czyli o czarownicach i urokach

*Co to za wyschłe i dziwne stworzenia?
Nie wyglądają na mieszkańców ziemi,*

William Shakespeare, Makbet

Czary i czarownice na co dzień kojarzą się z baśniowymi Babami Jagami, ale zadawanie czy odczynianie uroków już nie. Czarownic, tych z baśni, jakoś się w dzieciństwie nie bałam. Bardziej przerażające i realne wydawały się plotki mówiące o tym, że groźnie wyglądająca babka jednego z kolegów może nas zczarować, a stara sąsiadka uprawia gusła i kradnie sąsiadom węgle z paleniska (czasem zabierała pudełka zapalek) w przekonaniu, że odbierze im w ten sposób powodzenie. O urokach zaś słyszałam to i owo, bo gdy komuś uschły krakowiaki w doniczkach na oknie albo jedno po drugim padały kurczęta, niemal całe otoczenie mawiało, że „ktoś je musiał urzec”. Nie miałam również pewności, czy wierzyć, czy wątpić, gdy niewiele starsza ode mnie koleżanka opowiadała nam, jak to została urzeczona, a matka – aby odegnać zadany urok – puszczała węgielki na wodę. Czy była czarownicą? W świetle odchodzących już w zapomnienie wierzeń ludowych niekoniecznie. Mogła bowiem należeć do grona „wiedzących” kobiet, które potrafiły zdejmować uroki, a które miały niewiele wspólnego z czarownicami uprawiającymi szkodliwą magię.



Baba Jaga ze słowiańskiej mitologii

wych niekoniecznie. Mogła bowiem należeć do grona „wiedzących” kobiet, które potrafiły zdejmować uroki, a które miały niewiele wspólnego z czarownicami uprawiającymi szkodliwą magię.

Jak rozpoznać czarownika albo czarownicę?

Poczynając od średniowiecza, za czarownika albo czarownicę mogła zostać uznana każda osoba praktykująca „czary”, za które w świetle dawnych wierzeń uchodziło praktycznie każde działanie związane z cyklem pór roku, nie mówiąc o leczeniu czy stosowaniu tak zwanej magii mlecznej czy magii ochronnej, czyli – najprościej rzecz ujmując – zabiegów chroniących dom i ludzi przed urokami, demonami czy żywiołami.

Czarownic miało być znacznie więcej niż czarowników, choć nie przypominały one baśniowych postaci porywających dzieci i cieszyły się w lokalnym środowisku mniejszym poważaniem od mężczyzn praktykujących magię. Mimo że czarownice nie różniły się od innych mieszanek wsi, podejrzenia o czarostwo wzmagaly się

szczególnie wobec wdów i staruszek czy kobiet, którym natura poskąpiła urody, kalekich, tych o „brzydkim” spojrzeniu, skłonnych do złorzeczeń oraz mieszkających gdzieś na uboczu i tych, którym mimo biedy dobrze się „darzyło”.

Jednym z koronnych dowodów na uprawianie czarów, zwłaszcza popularnej nie tylko w okolicy Łącka magii mlecznej, było posiadanie przestępu zwanego także diabelskim ziele (zapewne rośliny z rodziny dyniowatych o zgrubiałym korzeniu, pełniącym funkcję lokalnej mandragory). „Przestęp jest to ziele z dużym badelem; malutkie kwiatuszki, ale korzeń zupełnie podobny do nagiego chłopca”¹. Niektórzy powiadali, że w korzeniu tym zamieszkiwał diabeł dający moc roślinie.

Czarownice sadziły diabelskie ziele gdzieś w zacisznym kącie albo w piwnicy i podlewały je mlekiem, żeby nie płakało. Dobrze



Przestęp biały

traktowany przestęp udzielał im swoich mocy: okadzanie nim siebie albo własnej krowy sprawiało, że przechodząc obok cudzych krow, mogły odbierać im mleko. Najprościej rzecz ujmując, przestęp sprawiał, że mlekiem cudzej krowy doila się krowa

¹ O. Kolberg, *Dziela wszystkie*, t. 73/III, *Krakowskie...*, s. 17.

czarownicy. Zdolna czarownica potrafiła również doić skradzione mleko z uźdźienicy, powroza, a nawet dziury w ścianie, którą na co dzień zatykała kołkiem.

Aby uniknąć rozpoznania i nie narazić się innej czarownicy lub czarownikowi (mężczyźni mieli większą moc od kobiet), czarownice starały się nie ujawniać własnych mocy. Żadna też nie chwaliła się dojną krową i na co dzień zachowywała się jak wszyscy, wtapiając się w otoczenie, a w czasie świąt uczestniczyła w obrzędach kościelnych. W czasie rezurekcji nie była jednak w stanie obejść kościoła trzy razy z procesją. Mające konszachty z diabłem czarownice na ogół okrążały go raz i przystawały gdzieś z boku. Lecz nawet jeśli udało się im uniknąć rozpoznania w kościele, mogły zostać zauważone o poranku w Wielki Piątek lub w wigilię św. Wojciecha, 22 kwietnia. Wędrowały wtedy po miedzach i polach sąsiadów, zbierając – niekiedy w ukradzioną zapaskę – dziurawiec nazywany dzwonkami Panny Maryi i inne zioła na wywar, przy pomocy którego także można było odebrać mleko cudzym krowom. Inne do czarów mlecznych wykorzystywały miotłę albo powróż – wlokły je za sobą po rosie przez pastwiska lub drogi, którymi ludzie wyganiali bydło na wypas. Jeszcze bardziej zagadkowe zdawały się czary przy użyciu skradzionego z sąsiedzkiej obory lub pola krowiego łajna, z którego czarownice potrafiły rzekomo zrobić masło.



Wbrew stereotypom lokalne czarownice nie różniły się od przeciętnych kobiet

Na szczęście przed tymi czarami można się było ochronić. Aby zabezpieczyć się przed utratą mleka, starano się uprzedzić czarownicę. W Wielki Piątek gospodarze wstawiali o świcie, zanim przeszła obok ich zagrody, i wywracali chomąta, co miało chronić przed jej mocą, a rankiem w dniu św. Wojciecha okadzali krowy zielem poświęconym w kościele na w dzień Matki Boskiej Zielnej. Gospodynie unikały również wynoszenia (sprzedawania, pożyczania itp.) mleka z domu po zachodzie słońca, kiedy to rozpoczynała się trwająca do świtu władza czarownic nad nabiałem. Poza tym nie mieszały mleka od własnych krów z mlekiem cudzych zwierząt, nie wlewały go do ciasta i nie przenosiły przez rzekę, bo „poszłoby za wodą” (tzn. krowy przestałyby się doić). Unikały też podawania nabiału przez próg, a jeśli pożyczczyły od sąsiadki garnu-

szek mleka albo masło, zostawiały w nim resztki nabiału lub nalewały do niego wody, bo gdyby naczynie zostało puste, mogłyby niechcący odebrać mleko jej krowom.

W przekonaniu naszych dziadków za czarownicę lub czarownika mógł także uchodzić obcy, zielarka lub zielarz czy znachorka i znachor. A taką funkcję pełnili owczarze wypasający owce na Gorcu i na innych stokach górskich w okolicy. Choć nie posiadali oni formalnego wykształcenia, ze względu na wykonywany zawód mieli wiedzę o anatomii i w związku z tym potrafili leczyć nie tylko woje zwierzęta, ale także ludzi.

Szczególnie niebezpieczną magią dysponowali Cyganie. Przekonanie to wynikało ze starego przesądu, że są oni plemieniem czarnoksiężników, oraz z faktu, że kobiety romskiego pochodzenia handlowały dawniej „magicznymi” wywarami mającymi na celu rzucenie lub odczynienie uroku. Ponadto Cyganki, które niemal bez wyjątku uważano za czarownice, tak bardzo potrafiły człowieka omamić, że kradły na jego oczach, a on tego nie widział. Powszechna była również obawa, że w razie odmowy przyjęcia wróżby lub ofiarowania jakiegoś datku Cyganka może rzucić klątwę i sprawi, że w zagrodzie nie będzie się wiodło albo że ubrania zostaną zjedzone przez mole.

Kto i kiedy mógł cię zauroczyć?

Uroczne oczy miały niektóre zwierzęta, na przykład ropucha i demony z ludowych opowieści, zwłaszcza strzygonie, boginki i topielce. Nie mniej przerażające było spojrzenie zmarłego, któremu należało niezwłocznie zamknąć oczy, żeby „nie wypatrzył” kogoś z żyjących i nie zabrał go ze sobą na tamten świat. A jeśli chodzi o żyjących, zły urok przede wszystkim rzucała czarownica, ale nie była jedyna.

Zauroczyć mógł każdy człowiek, nawet ten nieznający się na czarach i niekoniecznie czynił to z premedytacją. Wystarczyło, że nieżyczliwie spojrzał na drugiego. Aby kogoś lub czegoś niechcący nie zauroczyć, nie należało wyrażać podziwu ani zdziwienia, a jeśliby ktoś „się zacudował”, przed pochwaleniem powinien być trzy razy splunąć i wypowiedzieć słowa: „Na psa uroki, jakie to ładne dziecko!... jakie piękne cielę!... jaka dorodna kapusta!... jaki chleb wydarzony!” i tym podobnie. Jak jeszcze do niedawna wierzono i gdzieś tam nadal się wierzy, na uroki najbardziej narażone były dzieci, zwłaszcza niemowlęta do momentu chrztu, dlatego starano się ich w tym czasie nie wynosić z domu. Żeby ktoś nie „oziorał” niemowląt ani starszych dzieci, obwiązano im rączkę mającą właściwości ochronne czerwoną wstążeczką, sznurkiem albo nitką.

Mieszkańcy naszych okolic w miarę możliwości starali się zabezpieczyć przed działaniem uroku, zakładając na przykład czerwone ubranie, korale lub jakiś element w tym kolorze, skrapiając święconym zieleń lub pomyjami bydło przed pierwszym wiosennym wypasem, a szczególnie podatnym na uroki koniom zakładając uprząż z czerwonymi elementami albo wydającymi hałas blaszkami, które dźwiękiem miały odpędzać złe moce. Ochronne właściwości miała też bylica (w tym bylica pospolita, bylica piołun, bylica boże drzewko), ceniona od starożytności roślina lecznicza, obok dziurawca uważana za najbardziej świętojańskie ziele. Bylica zbierana w wigilię

św. Jana miała nie tylko oddalać czary, ale także zdejmować zadane uroki. Wieszano ją więc na strychach i w domach w przekonaniu, że będzie chroniła zagrodę przed złym okiem i innym nieszczęściem.

Jeśli zachodziło podejrzenie, że człowiek lub zwierzę padli ofiarą uroku, należało go rozpoznać, a potem odczynić. Skąd jednak wiedziano, że ktoś został urzeczony? Cóż, objawy były widoczne na pierwszy rzut oka. Wierzono i nawet współcześnie można się spotkać z tym przekonaniem, że urzeczony człowiek nagle traci siły, że nie może ustać na nogach, drży na całym ciele, poci się i blednie, potem zbiera się mu na wymioty i traci apetyt, a w końcu traci zdrowie; dzieci zaś stawały się płaczliwe i markotne. Bardzo podobnie urok działał na zwierzęta, które drżały, przewracały się, przestawały jeść albo stawały się narowiste (konie) lub traciły mleko (krowy).

Odwracaniem mocy złego oka zajmowało się we wsiach wiele kobiet, rzadziej mężczyzn, ale największą wiedzę w tej kwestii miały czarownice oraz mądre baby znane jako specjalistki od uroków. To one potrafiły rozpoznać, czy ktoś padł ofiarą uroku, czy tylko jest chory. Stosowane przez nie magiczne czynności występowały w rozmaitych wariantach.

Jeden, bardzo prosty sposób polegał na wrzuceniu do naczynia z zimną wodą rozżarzonych węgielków drzewnych. Ich zatonięcie oznaczało, że dolegliwości chorego zostały spowodowane urokiem, a jeśli węgielki unosiły się na powierzchni wody, niedyspozycja wynikała z innej przyczyny. Drugi, nieco podobny obrzęd polegał na wrzuceniu do wody określonej liczby (często po trzy) węgielków i kawałków chleba – krakowanie na przykład używali skórki, a mieszkańcy Wieliczki miąższu. Tonący chleb wskazywał, że urok rzuciła kobieta, a jeśli na dno szły węgielki, winnym zdania uroku był mężczyzna.

Po wykryciu uroku chorego można było leczyć. Do najpowszechniejszych praktyk związanych z odczynianiem należały te przy użyciu wody, do której uprzednio wrzucono węgielki. Najprostszy polegał na wrzuceniu dziewięciu węgli do szklanki wody, którą urzeczony powinien się obmyć albo się jej napić. W niektórych rejonach kobiety odczyniające urok brały tę wodę w usta i opryskiwały nią głowę urzeczonego. Warto też dla przykładu pozwoleć sobie przytoczyć opowieść zapamiętaną z czasów dzieciństwa, w której osoba odczyniająca urok po wrzuceniu żarzących się węgielków do naczynia z wodą po trzykroć wypowiadała słowa: „Jeden się urzekł, a trzech się uzdrowiło, Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty”. Na koniec trzykrotnie czyniła znak krzyża nad wodą i trzykrotnie dawała ją do wypicia urzeczonemu.

Zwyczajem, który w naszych okolicach zlał się z obrzędem obmywania, a który całkowicie nie zniknął, było obcieranie koszulą. Polegał on na obcieraniu twarzy, skroni lub czoła urzeczonego lub dziecka w celu uchronienia go przed urokiem spodnią częścią garderoby (na ogół kobiecej koszuli), na którą uprzednio należało trzy razy splunąć.

Bibliografia:

- Barthel de Weydenthal M., *Uroczne oczy*, Lwów 1921.
- L. Bończuk, *Stereotypy na temat Romów a rola mediów*, „Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny” 2003, nr 10, s. 337–342.
- B. Faron, *Jak przetrwać w zabobonnym Krakowie*, Kraków 2019.
- O. Kolberg, *Dzieła wszystkie, t. 73/III, Krakowskie. Suplement do tomów 5–8*, Poznań 2005.
- P. Kowalski, *Leksykon znaki świata. Omen, przesąd, znaczenie*, Warszawa 1998.
- A. Łuczak, *Czary i czarownice wczoraj i dziś*, Tarnów 1993.
- J. Rostafiński, *Zielnik czarodziejski, to jest zbiór przesądów o roślinach*, Kraków 1893.
- M. Udziela, *Medycyna i przesady lecznicze ludu polskiego*, Warszawa 1891.
- Źródło obrazów: Domena publiczna

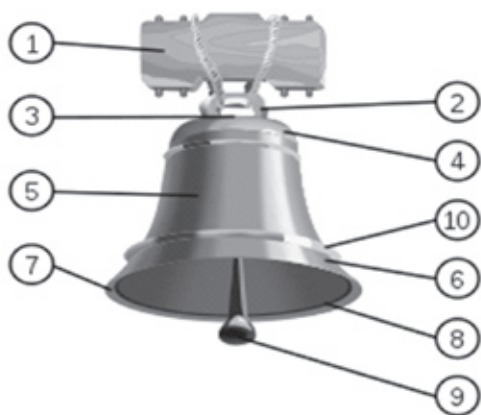
Łuckie dzwony. Czyli co dzwoni na wieży naszego kościoła

*W czasach dawniejszych im bardziej cisza panowała nad światem,
tym chętniej władzę nad nim oddawała pojedynczym,
wyrazistym dźwiękom. (J. Podsiadło)*

Zabiegani i zajęci codziennymi obowiązkami nie uzmysławiamy sobie jak ważną rolę w naszym życiu i przestrzeni publicznej pełni obecność dźwięku kościelnych dzwonów. Od najdawniejszych czasów wybijają one rytm dnia, z zaznaczeniem pory na Anioł Pański, towarzysząc nam w pracy i świętowaniu, obwieszczając Rezurekcję, Pasterkę czy procesję Bożego Ciała. Ich mocne tony są ostatnim pożegnaniem dla zmarłych parafian w ich drodze na miejsce wiecznego spoczynku. Na co dzień nie zauważamy ich istnienia, jednak gdyby zabrakło ich w naszym otoczeniu, odczulibyśmy jak są dla nas ważne.

Co powinniśmy wiedzieć o dzwonach?

Dzwon opisywany jest jako instrument muzyczny należący do grupy idiofonów naczyniowych, jest instrumentem perkusyjnym, gdyż źródłem dźwięku jest drganie całego instrumentu, pobudzanego uderzeniami serca. Zazwyczaj jest odlewany z brązu, czyli stopu miedzi i cyny (77% Cu i 23% Sn), czasami używa się spiżu, który jest odmianą brązu. Klasyczny dzwon składa się (patrząc od góry ku dołowi) z korony, hełmu, krawędzi górnej, płaszcza, wieńca i krawędzi dolnej. Wewnątrz znajduje się serce. Serce dzwonu wykonuje się z miękkiej, kutej stali. Zawieszone jest tak, by uderzało w najgrubszą część płaszcza, tzw. wieniec (zwany również pasem odsercowym lub kołnierzem). Waga serca stanowi zwykle ok. 4% masy całego dzwonu. Dla uzyskania poprawnego dźwięku istotne jest właściwe ukształtowanie serca oraz jego zawieszenie. Nawet nieznacznie przesunięte serce może spowodować pęknięcie lub wyszczerbienie dzwonu.



Części typowego dzwonu:

1. jarzmo,
2. korona,
3. hełm (głowa),
4. krawędź górna,
5. płaszcz
6. wieniec,
7. krawędź dolna (warga),
8. usta,
9. Serce dzwonu,
10. linia paciorka.

Dzwony (łac. *companae*) jako przedmioty kultu religijnego, na Zachodzie Europy znane były już na przełomie VIII i IX wieku, a w Polsce zaś dopiero z początkiem wieku XIV. Według legendy wynalazcą dzwonów miał być św. Paulin, który w latach 409-431 piastował funkcję biskupa włoskiego miasta Noli. Jest on patronem ogrodników i dzwonników.

Wielkość dzwonów, a także materiał z którego je wykonywano, uzależniona była od woli fundatora i wysokości funduszy, które przeznaczała parafia na ich zakup, a ich liczba była związana z rangą i znaczeniem danego kościoła. Przy polskich kościołach parafialnych przeważały dzwonnice, w których umieszczano dwa ewentualnie trzy dzwony. Nazwisko fundatora widniało z reguły na części dzwonu zwanej płaszczem, na której ludwisarze umieszczali także różnorodne elementy zdobnicze, cytaty z Pisma Św., krótkie formułki modlitw oraz nazwisko odlewnika i miejsce wykonania dzwonu. Konsekracji, poświęcenia dzwonów, dokonywał biskup w trakcie specjalnego obrzędu, zwanego chrztem dzwonów.

Historia łąckich dzwonów na przestrzeni dziejów

Kościół parafialny p.w. Św. Jana Chrzciciela w Łącku obchodzi w tym roku 300 – lecie konsekracji, jednak historia Parafii Łącko jest znacznie dłuższa i sięga połowy XIII w. Przez ten czas każda kolejno budowana świątynia miała wieżę i dzwony, zwołujące wiernych na msze święte i informujące parafian o dokładnych godzinach dnia wtedy, gdy jeszcze nikt nie posiadał zegarków. Bicie dzwonów w świątyni łąckiej zapowiadało również nadchodzące niebezpieczeństwa, które niosły ze sobą klęski żywiołowe: wichry, powodzie czy ogień. Niestety, zawieruchy wojenne i pożary powodowały, że kościelne dzwony ulegały zniszczeniu lub przepadały, jednak staraniem kolejnych proboszczów i nakładem parafian zawsze udawało się ufundować nowe.

Dzwony które obecnie wiszą w wieży kościelnej to, wg moich obliczeń, już piąty ich komplet w historii. Poprzednie dwa razy zostały zniszczone przez pożary (1720 r. i 1804 r.) a dwukrotnie zarekwirowano je w czasie I. i II. wojny światowej. Za każdym razem były fundowane przez parafian na nowo, a z opisów w kronikach parafialnych wynika, że były w historii parafii okresy, gdy na kościelnej wieży wisiało aż pięć dzwonów.

Obecna świątynia jest trzecim w kolejności kościołem Parafii Łącko na przestrzeni jej około osiemsetletniej historii. Pierwszy kościół znajdował się przez około 300 lat na terenie tak zwanych „Łączek”, to jest w okolicy obecnego skweru za przystankiem autobusowym. Był to zapewne mały kościółek drewniany, z sygnaturką i kryty strzechą. Brak materiałów źródłowych na ten temat, lecz w kontekście informacji o podobnych świątyniach z tego czasu, możemy wnioskować, iż dużych dzwonów w tym kościele nie było. Po 1520 r. z powodu zalewania tego terenu przez powodzie, postanowiono kościół przenieść na nowe miejsce, czyli tam gdzie obecnie się znajduje. Na miejscu starego kościoła pozostawiono resztki cmentarza i kaplicę pod wezwaniem św. Antoniego, a cały teren wokół kaplicy stanowił folwark siostr klarysek. Folwark ten był dla siostr zakonnych miejscem schronienia, gdy uciekały czasem ze

Starego Sącza przed morowym powietrzem. Położenie na terenie folwarku zakonnego przyczyniło się ostatecznie do likwidacji kaplicy św. Antoniego, ponieważ po rozbiorach Polski władze zaboru austriackiego, dekretem cesarza Józefa II z 1781 r., nakazały kasatę zakonów i klasztorów kontemplacyjnych. Folwark łącki, na polecenie cyrkułu sądeckiego został sprzedany w 1793 r. osobie prywatnej, po uprzedniej rozbiórce kaplicy św. Antoniego.

Kościół wybudowany po przenosinach około 1520 r. był drewniany i kryty gontem. Pierwsze informacje o dzwonach które posiadał są zawarte w protokołach wizytacji parafii z roku 1608, z których wynika, że kościół miał wieżę i sygnaturkę. Drewniana wieża była przystawiona przy drzwiach wejściowych od strony zachodniej, zawieszono w niej dwa dzwony, a w przyziemiu znajdowała się kruchta, pełniąca również rolę kostnicy. Kościół ten został zniszczony w wyniku pożaru około 1720 r., a w wyniku pożaru zniszczeniu uległy również dzwony zawieszone na drewnianej wieży.

Parafia przystąpiła szybko do budowy nowego kościoła, trzeciego w historii Łącka. Tym razem zarówno kościół jak i wieża zostały zbudowane z kamienia a dach pokryto drewnianymi gontami. O tym, że kościół był wybudowany od nowa i na nowo konsekrowany, świadczy dokument odnaleziony przez Ks. Tomasza Korab-Pociłowskiego w mensie ołtarza, zaświadczaający, iż w dniu 16 czerwca 1720 r. świątynię konsekrował Biskup Kijowski Jan Tarło.

Według opisu z wizytacji biskupiej w 1728 r., ówczesny kościół po odbudowie z pożaru miał pierwotnie tylko jedną nawę główną oraz jeszcze nie dokończoną wieżę. Wybudowanie bocznych naw i ukończenia budowy wieży nastąpiło najprawdopodobniej w 1748 r., co wynika z daty wyrytej na zworniku portalu nad drzwiami wejściowymi do bocznej nawy. Należy więc domniemywać, że dzwony kościelne mogły być zawieszone dopiero po ukończeniu wieży, czyli w roku 1748. O tym jak przedstawiało się wyposażenie wieży kościelnej możemy się dowiedzieć z dokumentu powizytacyjnego dziekana ks. Skoczniowskiego z 1793 r. z którego wynika, że kościół był, jak na te czasy, bardzo bogato wyposażony. Jak pisze ks. Wizytator, *Dzwonów na wieży miał kościół pięć. Dwa większe i trzy mniejsze, o pięknym głosie oprócz sygnaturki. Już wtenczas był we wieży zegar, zdaje się zainstalowany po jej zbudowaniu. Dwa organy posiadał wówczas kościół – jeden ośmiogłosowy z pedalem przedzielony oknem na dwie części i obok drugi organ siedmiogłosowy.*

Niestety parafianie cieszyli się tym wyposażeniem tylko do roku 1804, kiedy to wielki pożar zniszczył plebanię i zabudowania gospodarcze. Tragiczne były również skutki pożaru dla kościoła, w którym ogień strawił cały dach, organy, zegar i dzwony kościelne. Aż dwadzieścia cztery lata trzeba było czekać na usunięcie tych tragicznych zniszczeń. Dzięki zabiegom ks. Kaspra Czekayskiego, w roku 1830 (...) *wieża kościoła (została) zreperowana, nowo pokryta i jak dach kościelny, tak i wieża dla trwałości najpierw pokostem, a potem farbą czerwoną pomalowana. W roku 1828 (...) stanęły kosztowne i piękne organy (...), które potem razem z chórem pomalowane zostały. Na wieży kościelnej zawisły dwa dzwony z datami 1809 i 1836 r. ufundowane staraniem proboszczów Woytarowicza i Czekayskiego.*

Następca ks. Czekayskiego, wybitny proboszcz łacki ksiądz Pociłowski sprowadził w roku 1875 z Wiener Neustadt „trzy piękne dzwony” (zapewne ze znanej odlewni Petera Hilzera) wymieniając te które dotychczas wisiały na wieży. Jak sam pisze w Kronice parafialnej: *ufundowane zostały ze składek parafialnych i kosztowały 2 500 złotych reńskich, z transportem i umieszczeniem*. Stwierdza też, że: *w poprzednim pożarze spłonęły poprzednie a od tego czasu są dwa dzwony słabe, wagi 5 cetnarów. Teraźniejsze ważą 30 i 60 cetnarów, gdy uderzono w nie dnia 24 czerwca, to jest w dzień odpustu św. Jana, lud płakał rzewnie z radości*.

Proboszcz ks. Tomasz Korab Pociłowski, dla zmniejszenia obciążenia parafian kosztami zakupu, zwrócił się o wsparcie do Cesarza Ferdynanda, od którego uzyskał na ten cel wsparcie w kwocie 300 złotych reńskich.

Dwudziesty wiek nie okazał się łaskawy dla łackich dzwonów. Tym razem to nie pożar, a wojny światowe pozbawiały parafię tego symbolu wspólnoty. Dzwony ufundowane w wieku XIX zostały zarekwirowane na cele wojskowe w czasie I wojny światowej. Jak w 1916 r. odnotował ks. Piaskowy w Kronice parafialnej: *„Łącko cieszyło się 40 lat pięknymi, harmonijnymi dzwonami które były ozdobą i dumą kościoła. Największy i najmniejszy zrzuceno wśród placzu parafian dnia 29 listopada oknem na ziemię i wywieziono... Pozostawiono dzwon średni. Sygnaturki nie wykazałem, więc też została. Dzwony żegnaliśmy półgodzinnym dzwonieniem i szlochami głośnymi w kościele. W 1917 r. zabrano trzeci dzwon.... Głucho, głupio, bo i zegar nie ma co wybić, sygnaturka tylko zwołuje do kościoła....* Co ciekawe, ksiądz Piaskowy pisze, że do dzwonienia na Anioł Pański miał od tego czasu służyć dzwonek w Kaplicy cmentarnej. Dzwoniono nim jednak tylko dwa miesiące, ponieważ baby zabroniły grabarzowi dzwonić grożąc mu miotłą – *bo niby dlatego posucha wielka nastąpiła, że ten dzwonek chmury odganiał*. Po zakończeniu wojny dopiero 1923 r. ufundowano trzy nowe dzwony które poświęcono w styczniu następnego roku. Było to ostatnie dzieło proboszcza ks. Jana Piaskowego. Dzwon „Jan” i dzwon „Piotr” zostały zamontowane w 1925 roku.

Niestety, po raz kolejny nie było dane łackim parafianom zbyt długo cieszyć się nowym nabytkiem. Kolejna zawierucha dziejowa przyczyniła się do obrabowania kościoła w Łącku z dzwonów z takim trudem ufundowanych dwadzieścia lat wcześniej. W czasie wojen od zawsze okupanci rekwirowali wszystkie przedmioty z brązu, przeznaczając je na cele produkcji zbrojeniowej. Tak było i tym razem, gdy na przełomie lat 1942/43 żołnierze niemieccy stacjonujący na plebanii w Łącku, dokonali rekwizycji łackich dzwonów. Jak pisze ówczesny proboszcz ksiądz Józef Put; *„za ich to pobytu na plebanii zabrali mi żołnierze niemieccy trzy piękne dzwony z wieży. Nie mogłem ich ukryć, bo oni byliby mnie zdradzili przed gestapem. I tak parafia łacka została bez jednego dzwonu i bez sygnaturki”*.

Dzwony znajdujące się obecnie na wieży kościelnej w Łącku

Kontrybucje z okresu II wojny światowej po raz kolejny pozbawiły parafię dzwonów, dlatego te które dzisiaj dzwonią na wieży naszego kościoła, pochodzą z okresu powojennego. Ufundowanie ich nie było rzeczą łatwą w czasach stalinizmu i niechęci



Montaż dzwonu Jan, 1925 r.

Fot. ze zbiorów TMZŁ



Montaż dzwonu Piotr, 1925 r. Od lewej Stanisław Mozdtniewicz, od prawej Michał Ćwikowski, z lewej wystająca głowa organista Józef Zygadło

nego stosunku Państwa do Kościoła. Jednak Łącko w swej historii miało szczęście do wybitnych proboszczów, potrafiących zabiegać o rozwój kościoła nawet w najtrudniejszych czasach. Takim proboszczem okazał się również ks. Józef Put, dzięki któremu nastąpiła w latach trzydziestych gruntowna rozbudowa kościoła a w latach powojennych, mimo trudności ze strony władz, ciągle inwestował w upiększanie powierzonej sobie świątyni. To jego staraniem udało się dokonać zakupu trzech pięknych dzwonów, które do dnia dzisiejszego są z nami w wieży kościoła.

Najstarszy pochodzi z 1950 r., jest średniej wielkości i został umieszczony między dwoma pozostałymi, a jego opis wygląda następująco:

- na stronie frontowej ma w odlewie wizerunek św. Jana Chrzciciela i napis:

Imię moje Jan

– po przeciwnej stronie w odlewie znajduje się napis: *„Głos mój niech doleci do wszystkich wiosek parafii, niech budzi sumienia ośpałych i grzesznych. Żywych niech woła do modlitwy, sprawiedliwych cieszy umarłych opłakuje, burze rozpędza. Powstałem z dobrowolnych ofiar parafian Łąckich. Staraniem ks. dziekana Józefa Puta; J. Jakuba, A. Kowalczyka i T. Popardy. Łącko R.P.1950 z odlewni I. Felczyński i Ska w Przemyślu”.*

Dwa pozostałe dzwony zostały wykonane w 1963 r. Największy, ważący 960 kg jest umieszczony w wieży od strony kościoła. To w niego uderza dźwignia, która ogłasza godziny dnia i nocy.

Na stronie frontowej ma w odlewie wizerunek św. Michała Archanioła i napis

Imię moje św. Michał Archanioł. Hasło moje Kto jak Bóg

Niech rozbrzmiewa moim głosem i przypomina wszem, że Bóg jest Panem wszechświata i należy mu się hołd i największa cześć.

Po przeciwnej stronie w odlewie znajduje się napis: „Powstałem z dobrowolnych ofiar parafian w czasie II Soboru Watykańskiego w Rzymie za staraniem X dziekana Józefa Puta. Łącko A. D. 1963”.

Najmniejszy dzwon ważący 320 kg jest umieszczony w wieży nad wejściem głównym.

Na stronie frontowej ma w odlewie wizerunek św. Józefa z Dzieciątkiem Jezus na lewej ręce, a w prawej trzyma lilij symbol czystości. Widnieje również napis:

Imię moje Józef

Abym głosił Chwałę największego ze świętych – Maryi Panny możnego opiekuna kościoła katolickiego i opiekuna II Soboru Watykańskiego za panowania wielkiego papieża Jana XXIII.

Po przeciwnej stronie w odlewie znajduje się napis: „Istnieję dzięki staraniom X dziekana Józefa Puta. Łącko A. D. 1963”

Dzwony te były pierwotnie poruszane sznurami pod wieżą, następnie uzyskały napęd mechaniczny, a obecnie, staraniem ks. Prałata Józefa Trzópka, od dnia 25.XI.2009 r. otrzymały napęd elektro-magnetyczny. (dane z informacji ks. J. Trzópka).

Dzwony w świecie współczesnym

Człowiek dwudziestego pierwszego wieku zaczyna jednak tracić świadomość wspólnoty spajanej dźwiękiem dzwonu z wieży „swojego” kościoła. Coraz częściej w mediach pojawiają się informacje o skargach na zakłócanie ciszy przez kościelne dzwony, wnoszonych do władz pojedynczo lub w formie petycji grupy mieszkańców nowych osiedli. Interwencje służb miejskich wynikają z tego, iż zgodnie z prawem, cyt.: *jeśli chodzi o poziom hałasu, to kościoły traktowane są jako zakłady przemysłowe. Nie ma przepisów, które zwalniałyby kościoły od tego, by stosować wobec nich te same normy, jakie stosuje się dla zakładów w sprawie dopuszczenia poziomu hałasu, zgodne z rozporządzeniem ministra środowiska. Jest to smutny znak naszych czasów, że piękny, harmonijny, podniosły dźwięk dzwonów przeszkadza komuś bardziej niż hałas samochodów.*

Jeszcze do połowy XX wieku głos dzwonów był dźwiękiem jednoczącym wspólnotę, zarówno w obrębie sacrum jak i w wymiarze praktycznym, obejmującym orientację w czasie i przestrzeni. Ich bicie było jedynym dźwiękiem dostępnym i słuchanym przez wszystkich. Dziś musimy zdawać sobie sprawę z tego, że swoje funkcje społeczne w naszej wspólnocie zachowają tak długo, jak długo będzie dla nas oczywiste, że są nam potrzebne, odmierzając rytm dnia w każde południe i w niedzielny poranek. Kochajmy więc nasze łąckie dzwony za historię która za nimi stoi, szanujmy ich pracę, wyławiajmy ich głos z szumu który nas otacza i zatrzymajmy się na czasem na chwilę, doceniając piękno czystego dźwięku.

Nie tylko Góra Zyndrama. Archeologiczne odkrycie na górze Łyżka koło Przyszowej

Pisałem już na tych łamach (Nr 26, 2017 r.) o „białych plamach” na mapie historycznej Sądecczyzny. Bo tak naprawdę wciąż niewiele wiemy o przeszłości krainy nad środkowym Dunajcem. Oczywiście wszyscy słyszeli o spektakularnych odkryciach na Górze Zyndrama w Maszkowicach, ale chciałbym zauważyć, że mamy tutaj do czynienia ze stanowiskiem archeologicznym mającym już stuletnią metrykę i sukcesywnie przez różnych naukowców rozkopywanym. Tymczasem w najbliższej okolicy Maszkowic są przecież także inne potencjalne grodziska, które jak dotąd nie doczekały się nawet niewielkich badań sondażowych. Naukowcy kierując się teorią, która ma już miano dogmatu, że najstarsze osadnictwo istniało jakoby wyłącznie w dolinie Dunajca, nie widzą najwyraźniej powodu, aby się od tej rzeki oddalać. Nawet na odległość zaledwie kilku kilometrów.

Przyjęto po prostu założenie, najpewniej sugerując się dzisiejszymi sztucznymi podziałami administracyjnymi, że pradzieje sięgały tylko do granicy powiatu sądeckiego, a dalej na zachód była już tylko dzika puszcza wykarczowana dopiero w średniowieczu. Teoria ta nie jest niczym poparta, bo przecież badań poza „limesem” nie prowadzono, ale za to jest bardzo wygodna. Po co się bowiem trudzić i wspinać na zalesione wierzchołki gór Beskidu Wyspowego, skoro dużo łatwiej kopać na łagodnych wzniesieniach pokrytych polami uprawnymi. Przy okazji jednak naukowcy zdają się zbyt łatwo ignorować fakt, że skupiając się ciągle tylko na małym wycinku obszaru należącego do historycznej Sądecczyzny, narażają się przy okazji na pewne ryzyko. To jak z tym przysłowiowym słoniem oświeconym w nocy latarką. Nie mogą być przecież na sto procent pewni, że ich wygodne teorie i wynikające z nich wnioski, pewnego dnia nie okażą się całkowicie błędne. Ten dzień wcześniej, czy później musiał nadejść. I nadszedł! Mógłbym teraz śmiało zakrzyknąć: a nie mówiłem?

Wszystkiemu winni są ludzie zwani przez archeologów z wyższością amatorami-zapaleńcami, albo miejscowymi badaczami. Od tych zamiejscowych, jak rozumiem – odróżnia ich to, że lepiej znają teren. Nie zwracając uwagi na to, że nikt nie traktuje ich w świecie naukowym poważnie (sam coś o tym wiem), uparcie szwendają się po dziwnych miejscach w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Na domiar złego czasem także coś przypadkowo znajdują i robi się duży kłopot. Jednak zanim o tym opowiem, chciałbym tylko zauważyć, że współcześni amatorzy-zapaleńcy to w prostej linii kontynuatorzy dosyć w rzeczy samej chwalebnej – tak, tak, tradycji. Jeśli bowiem spojrzeć na listę najbardziej znanych i przebadanych grodzisk w Małopolsce, dojść można łatwo do wniosku, że prawie wszystkie zostały odkryte i opisane na przełomie XIX i XX wieku, czyli 100 lat temu. Jeśli nawet przesadzam, to nieznacznie. Ale ważniejsze jest pytanie: przez kogo odkryte? W znacznej mierze właśnie przez amatorów-zapaleńców. Spójrzmy na Sądecczyznę: grodzisko w Naszacowicach odkrył Szczęsny Morawski, który był z wykształcenia artystą



Łyżka nad doliną Słomki

malarzem. Grodzisko na Górze Zyndrama odkrył Włodzimierz Demetrykiewicz z wykształcenia prawnik. Na okrasę dorzucę jeszcze wspaniałego Bolesława Czapkiewicza, który odkrył większość obiektów w moim rodzinnym Tarnowie i okolicach, a z zawodu był nauczycielem plastyki w gimnazjum. Zostańmy przy naszym kraju, bo przecież mógłbym wymienić jeszcze takiego Schliemanna, który odkrył Troję itd... Tak, można śmiało powiedzieć, że to amatorzy-zapaleńcy przygotowali grunt do kopania dla tych dzisiejszych profesjonalistów z odpowiednimi papierami. Szkoda tylko, że ci ostatni starają się o tym nie pamiętać, bo to były niby inne czasy. Czyżby?

Obecny kierownik badań na Górze Zyndrama Marcin S. Przybyła wydał w 2018 roku książkę „Przeszłość, pamięć i dziwne ruiny”. Pozycja to być może znakomita w szczegółowym zakresie samych badań wykopaliskowych, aczkolwiek w szerszym spojrzeniu na pradawną Sądecczyznę jest już niestety nieaktualna. Bowiem wiosną 2019 roku odkryte zostało przez współczesnych zapaleńców-amatorów (z udziałem piszącego te słowa, dodam, że z wykształcenia i zawodu plastyka) całkowicie nowe i cokolwiek sensacyjne stanowisko archeologiczne z epoki – uwaga! – brązu i wczesnej epoki żelaza na górze Łyżce koło Przyszowej. Zburzyło ono błogi spokój panujący na kartach literatury archeologicznej. Bo tam, gdzie niby miało być zaledwie średniowiecze, znalezione zostały ułamki ceramiki z drugiego i pierwszego tysiąclecia przed Chrystusem. Czyli pomyłono się zaledwie, bagatelka, o kilka tysięcy lat. Ale jakim cudem zabytki znalazły się tak daleko od Dunajca i do tego na wysokości 730 m.n.p.m., czyli 100 metrów powyżej granicy jaką naukowcy wyznaczyli dla jakiegokolwiek aktywności ludzkiej w dawnych wiekach? To przecież nie miało prawa się zdarzyć!

Tymczasem prawdziwą sensacją jest nie to, co znaleziono, ale raczej fakt, że dopiero teraz znaleziono. Góra Łyzka, pomimo tego, że są na niej miejsca o charakterystycznych nazwach „Zamek” i „Stare Zamczysko”, tudzież wiążą się z nią liczne legendy o „potężnym niegdyś grodzie”, skarbach św. Kingi i podziemnych tunelach, nigdy jakoś nie wzbudziła większego zainteresowania u naukowców. Przyjmuje się w literaturze (Juliusz Marszałek „Katalog grodzisk i zamczysk w Karpatach”, Warszawa 1993, str.187), że prawdopodobnie w drugiej połowie XIII stulecia funkcjonował tutaj gródek obronny należący do kasztelanii sądeckiej, a Maria Cabalska wykonała nawet „ogłęd powierzchniowy, który nie dał żadnego rezultatu”. Jednak prawda jest taka, że pani Cabalska w 1968 r. nadzorowała obóz archeologiczny dla studentów z hotelu „Siwy Brzeg” w Limanowej i nigdy na tej górze nie była osobiście. Wiem to z wiarygodnego źródła, ale nawet gdybym nie wiedział, to bym się domyślił, ponieważ wysłani przez nią studenci – mówiąc potocznie, nieco „schrzanili sprawę”, bo mieli małe doświadczenie, albo spieszyli się na autobus powrotny do Limanowej. Zauważyli wprawdzie po wschodniej stronie Łyzki wał o wysokości dochodzącej do dwóch metrów i znajdujący się poniżej wypłaszczenia szczytowego zwanego Starym Zamczyskiem, ale nie wiedzieć czemu nie zwrócili uwagi, że jest on w całości kamienny, a nie ziemny. Pani Cabalska nie widząc wału na własne oczy uznała rutynowo, że był to typowy wał służący do obrony, a ponieważ znajdował się w nietypowym miejscu odfajkowała sprawę zdaniem, że widocznie „obiekt mógł być pierwotnie otoczony podwójną linią wałów”. I to zdanie powtarzane jest jak mantra w literaturze od pół wieku, chociaż po drugim wale śladu nie ma, bo go nigdy nie było. Wał kamienny na Łyzce nigdy nie służył bowiem do obrony, tak jak inne tego typu konstrukcje na Ślęży czy Świętym Krzyżu. Jednak nikt z naukowców przez tak długi czas się nie pofatygował, aby to zweryfikować osobiście. Innymi słowy: minął cały XX wiek, a na Łyzce nie postąpiła noga żadnego archeologa. Przynajmniej nikt nigdzie o tym nie napomknął. Pan Marszałek – autor „Katalogu grodzisk...” też zapewne na tej górze nie był, bo pomylił się znacznie w opisie jej wysokości: napisał, że ma 607 m n.p.m., gdy tymczasem jest o 200 metrów wyższa.

A były przecież i inne poważne przesłanki, aby zacząć badać tę górę. Choćby ta, że w jej najbliższej okolicy są nazwy pochodne od soli. Nie muszę chyba pisać jakie znaczenie miało to wielkie bogactwo naturalne w dawnych wiekach. Oto przez Przyszową przepływa rzeka widniejąca w średniowiecznych dokumentach jako „Słona” – dzisiejsza Słomka, a pod samą Łyzką od strony południowo-zachodniej jest osiedle o dawnej nazwie „Słoniska”, a dzisiaj „Solniska”. W starej archeologicznej literaturze co i rusz można wyczytać, że niegdyś badacze szczególnie zwracali uwagę na te miejsca, gdzie występowały nazwy pochodne od soli, bo wiązało się to z pradawnym osadnictwem. Nawet pod samym grodziskiem w Maszkowicach jest przecież „Solnisko”! Ale najwidoczniej czasy się faktycznie zmieniły, bo teraz mało kogo z naukowców to obchodzi. Wystarczy przecież mapka lidarowa na geoportalu. A propos. Usłyszałem kiedyś od jednego archeologa stwierdzenie, że na Łyzce nic nie mogło być, bo na mapie lidarowej nie widać tak regularnych, kolistych kształtów, jak na przykład w Naszacowicach czy Maszkowicach. Tylko na Swaroga! Jak to porównywać? Łyzkę od paru wieków porasta gęsty las, a dodat-

kowo jest to teren osuwiskowy. Nota bene wiadomo, że niegdyś chętnie zasiedlane były właśnie tereny osuwiskowe ze względu na łatwy dostęp do wody.

Tymczasem to nie jest przecież przypadek, że akurat nad rzeką Słomką i tuż pod Łyżką między Bąkowcem a Wolicą znaleziono kilka lat temu kamienny neolityczny toporek, także dwie ozdoby z brązu z epoki żelaza (600 – 400 p.n.e.) i ostatnio trzy elementy uprzęży końskiej z kręgu kultury scytyjskiej (400 p.n.e.) – jakich nie znaleziono dotychczas nad Dunajcem. W tymże rejonie znajdowane są ciągle również monety rzymskie, a kilka kilometrów niżej nad tą samą rzeką Słomką w Świdniku jeszcze w XIX stuleciu odkryto cmentarzysko z kultury łużyckiej i całą kolekcję ozdób z brązu. Aby wreszcie archeolodzy mogli powiązać fakty, trzeba było czekać na jakiś mocny akcent, czyli wielkie „Bum!”. I stało się!

Pomogła w tym pogoda. Początek maja 2019 r. był bardzo deszczowy, a nawet ulewny. Była niedziela, a w poniedziałek pracownicy z AGH w Krakowie mieli na Łyżce rozpocząć badania georadarowe. Ponieważ nadal padał deszcz, mieliśmy obawy, czy nie będzie zbyt mokro. Więc z misją zwiadowczą udało się na górę dwóch mieszkańców Przyszowej: Mieczysław Śmierciak i Janusza Mrowca. Nazwać ich amatorami-zapaleńcami to za mało. To są prawdziwi fanatycy, którzy na Łyżce są niemal codziennie i to od dziecka. No i znaleźli się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu. To, co do tej pory kryło się głęboko pod ziemią, zostało wypłukane na powierzchnię, dlatego ich oczom ukazały się odłamki glinianych naczyń. Szukaliśmy razem czegoś takiego od lat. Niedługo po wydaniu mojej książki („Między Gorcem, Łyżką a Dunajcem”, Kraków 2013) rozmawiałem z pewną starszą panią, która wychowała się na polanie Zamek. Otóż twierdziła ona, że jako dziecko w latach 40-tych widziała na Łyżce „dziwne duże skorupy”. Ale było to w rejonie wału kamiennego na Starym Zamczysku, u wejścia do podziemnych tuneli. W każdym razie mieliśmy już jakiś trop.

Janusz natychmiast zrobił skorupom zdjęcia i przesłał je na mój telefon. Początkowo myślałem, że sobie żartuje, a fotki znalazł w internecie. Kiedy jednak przybyłem na miejsce, zrozumiałem, że to zaiste historyczna chwila. „Niewiele rzeczy pod słońcem da się porównać z romantyką odkryć archeologicznych” – pisał słusznie Paweł Jasienica. Odłamki ceramiki, które już „na oko” wyglądały na bardzo stare, leżały na wierzchołku i poniżej stożka, który usytuowany jest tuż obok czarnego szlaku wiodącego z Przyszowej na Łyżkę. Dokładnie mówiąc: nieco powyżej polany zwanej Zamkiem, a poniżej wału kamiennego i wypłaszczenia zwanego Starym Zamczyskiem. Do tej pory wydawało się, że nie ma tam śladu po tak zwanej warstwie kulturowej, bo cały teren pokrywały kamienie i głazy. Ale sama forma tego obiektu – przypominająca gródek stożkowaty, nie wygląda przecież na naturalną. Zwłaszcza od strony zachodniej, gdzie widoczna jest głęboka i regularna fosa. Nawet jeśli stożek „odjechał” kiedyś, bardzo dawno temu od grzbietu pod wpływem ruchów tektonicznych, czy osuwisk, to i tak widać tutaj pracę ludzi, którzy to miejsce sobie odpowiednio przysposobili.

Poszliśmy nazajutrz z wiadomością o odkryciu do urzędu gminy, a wójt w trybie pilnym wezwał archeologów. Najpierw pojawili się: Tomasz Fudali i Radosław Czerniak z Krakowa, a później Bartłomiej Urbański z Nowego Sącza. Każdy z nich zebrał po kil-



Prehistoryczna ceramika z Łyżki



Znalezione na Łyżce

Fot. Jarosław Czaja

kanaście sztuk odłamków ceramiki, które potem trafiły do Ośrodka Archeologii Gór i Wyżyn PAN w Krakowie. W sumie cały zbiór liczy prawie 100 zabytków. Od samego początku było widać, że ceramika musiała pochodzić z różnych okresów, ponieważ w zasadzie każda skorupa była inna. Ale ustalenie szczegółowej chronologii nie było łatwe. Ze znalezisk powierzchniowych, gdzie materiał jest przemieszany i nie ma warstw stratygraficznych bardzo trudno wyciągać jednoznaczne wnioski. Dlatego na karcie ewidencyjnej stanowiska archeologicznego określonego jako „Góra Łyżka, Stożek” widnieje to, co ustalono bezspornie w większym gronie naukowców: epoka brązu i wczesna epoka żelaza: IV EB- HaD. Czyli od końca II tysiąclecia do połowy I tysiąclecia przed Chrystusem. Ale według Krzysztofa Tuni z Instytutu Archeologii i Etnologii PAN w Krakowie zabytki z Łyżki należy datować znacznie szerzej: od neolitu (IV - III tysiąclecie przed Chrystusem) do późnej epoki żelaza, względnie do epoki wędrówek ludów, czyli do połowy pierwszego tysiąclecia naszej ery. Jest też dojrzałe średniowiecze, a co interesujące – nie ma jak na razie wczesnego średniowiecza. Z tym, że niektóre naczynia z końca epoki żelaza trudno czasem odróżnić od tych z wczesnego średniowiecza. Neolit jest tym bardziej niewykluczony, że znaleźliśmy obok skorup także niewielki odłamek krzemienia, najprawdopodobniej pochodzący z okolic Krakowa. Natomiast pewnym jest, że w tym zbiorze są także fragmenty ceramiki typowo solowerskiej, czyli odłamki naczyń używanych do odparowywania solanek. A więc jednak!

Na podobnych wyżynnych stanowiskach w rejonie Karpat znajdujących jest zwykle o wiele mniej glinianych skorup, nawet podczas badań sondażowych. Radosław Czerniak powiedział mi, że na jakimś podobnym grodzisku koło Żywca znaleziono zaledwie 6 fragmentów ceramiki. Bo były to typowe grody refugialne, służące tylko za okresowe schronienie. Więc już na początku jest kłopot z zakwalifikowaniem założenia na Łyżce. Wygląda ono z pozoru na obronne, ale usytuowanie stożka – poniżej wypłaszczenia szczytowego, jest zupełnie odmienne od tego, co widzimy w Maszkowicach, czy innych grodziskach nad Dunajcem. A duża ilość glinianych naczyń „stołowych” wskazuje jednak na osadę wyżynną. Tak też wpisano na karcie ewidencyjnej, ale dodając grodzisko z pytańikiem. Byłaby to z pewnością najwyżej położona osada z epoki brązu i wczesnej epoki żelaza w Polsce! Jeszcze jedno. Zróżnicowanie ceramiki wskazuje na to, że mamy tutaj najprawdopodobniej do czynienia ze stanowiskiem wielokulturowym, które musiało być położone przy uczęszczanym szlaku handlowym. A więc ta zapisana w średniowieczu „wielka droga” idąca z Podegrodzia na Stronie, a później zapewne w kierunku Krakowa musiała być bardzo stara, o czym zresztą mówią miejscowe przekazy. Stąd znajdowane w tej okolicy ciągle monety rzymskie.

Rzućmy teraz okiem na ciekawą mapę zamieszczoną w książce Marcina S. Przybyły „Przeszłość, pamięć i dziwne ruiny” na stronie 77. Pokazuje ona rozmieszczenie stanowisk z epoki brązu w dorzeczu górnej Wisły. Jeśli spojrzymy na Sądecczyznę, zobaczymy po lewej stronie dziwną ramkę, która odcina lewy brzeg Dunajca w rejonie Świdnika i Mokrej Wsi, czyli na granicy obecnego powiatu sądeckiego. Ramka wyznacza teren, do którego prowadzone były regularne badania poszukiwawcze w ramach programu Archeologiczne Zdjęcie Polski. Tak więc ogromne puste pole po lewej stronie – tam, gdzie

akurat znajduje się Łyżka – oznacza „pustać”, czyli ziemię kompletnie niezbadaną. To są właśnie te białe plamy, o których wspomniałem na początku. Innymi słowy ktoś arbitralnie założył sobie z góry, że tam już żadnych zabytków z epoki brązu nie da się znaleźć, więc nie warto nawet próbować. Po co sobie buty zdzierać. I teraz nagle w środku tej pustej przestrzeni pojawia się nie jakiś pojedynczy zabytek, co już byłoby sensacją, ale cała osada z epoki brązu!

Aby lepiej zrozumieć jak ważne jest to odkrycie, przytoczmy to, co pisze Przybyła w swojej książce. Mimo przeprowadzonych badań poszukiwawczych w okolicy Maszkowic, nie znaleziono w pobliżu Góry Zyndrama ani jednego podobnego stanowiska z epoki brązu. Dopiero w okolicach kościoła w Jazowsku znaleziono kilka fragmentów ceramiki z początku epoki brązu, jednak dokładniejsze badania wykluczyły możliwość istnienia w tym miejscu większego, długo zamieszkanego osiedla. Tutaj przy okazji dochodzimy do kwestii, której najbardziej brakuje mi w tej książce. Chodzi o przegląd porównawczy choćby tylko największych stanowisk z epoki brązu na Sądecczyźnie. Bo z tej publikacji dużo więcej dowiadujemy się o basenie Morza Śródziemnego, niż o dolinie Dunajca poza Łąckiem.

Wracając więc do Łyżki, trzeba podkreślić, że ta osada z epoki brązu przewraca do góry nogami całą dotychczasową narrację o pradawnym osadnictwie na Sądecczyźnie. A jeśli faktycznie Krzysztof Tunia ma rację, a w końcu jest fachowcem od neolitu, oznacza to, ni mniej, ni więcej, że ludzie siedzieli na jakiejś wysokiej górze z dala od Dunajca dużo wcześniej, zanim w XVIII wieku p.n.e. pojawiły się na Górze Zyndrama kamienne fortyfikacje. I byli tam, czyli na Łyżce o wiele dłużej – nieledwie przez 3 tysiące lat! Aby to zrozumieć, trzeba wreszcie spojrzeć na pewne rzeczy od innej niż dotychczas strony. Istnieje stara mapa z pracy Antoniego Jodłowskiego o eksploatacji soli na terenie Małopolski z 1971 r., reprodukowana w opasłym tomie „Epoka brązu i wczesna epoka żelaza w Karpatach polskich” (Krosno 2003, str. 557). Ciekawie wypada jej zestawienie ze wspomnianą wyżej mapą Przybyły. Bo są jak negatyw i pozytyw. Akurat teren położony nad Słomką w rejonie Łyżki jest najczarniejszy w całej Małopolsce – obok Bochni i Wieliczki, bo najgęściej wykropkowany. Według Jodłowskiego znajdują się tutaj bowiem – uwaga! – źródła słone istniejące obecnie, dalej – miejsca, gdzie według danych geologicznych występowanie źródeł słonych jest możliwe i wreszcie nazwy miejscowe pochodne od soli. Ten sam teren na mapie Przybyły jest biały, ponieważ uznano, że nie warto go badać!

Karol Potkański już sto lat temu pisał o zasiedlaniu kotlin podgórskich, w tym Kotliny Sądeckiej: „(...) i tutaj sól mogła odgrywać jakąś rolę, istnieje bowiem rzeka Słona, dziś Słomka, dopływ Dunajca powyżej Starego Sącza” („Pisma pośmiertne”, Poznań 2004, str. 211). Proszę zauważyć, że znakomity badacz trafił w sedno, bo powiązał osadnictwo w dolinie Dunajca z tym, co było największym naturalnym bogactwem całego tego regionu: słonymi źródłami. A były one nad Słoną, czyli Słomką – na całej długości tej rzeki. Zostały po nich nazwy. O osiedlu Solniska pod Łyżką już wspomniałem. Na Budzynie – przysiółku Olszany jest nazwa topograficzna Słona. Wreszcie na mapach współczesnych pomiędzy Naszacowicami a Podegrodziem jest miejsce zwane Zasłonie. Nikt ze współczesnych archeologów tej korelacji jakoś nie zauważył. Wiemy, że Kotlina

Sądecka była jedną z najwcześniej i najgęściej zasiedlonych kotlin podgórskich w polskich Karpatach. Ale nie znamy na dobrą sprawę motywów, którymi kierowali się ci ludzie. Tak samo, jak nie wiemy dlaczego wszystkie grodziska znajdują się tylko po jednej, zachodniej stronie Dunajca i w dodatku dookoła obszaru wykropkowanego na mapie Jodłowskiego. Bo niby gleby były urodzajne? Może, ale ja uważam, że wreszcie mamy dowód na to, że decydujące znaczenie mógł odgrywać tutaj dostęp do słonych źródeł. Zapewne naukowcom trudno przyjąć do wiadomości, że ludzie osiedlali się nad Słomką już od najdawniejszych czasów, tak jak w Kotlinie Sądeckiej. Nic dziwnego, że zaskoczeni byli także archeolodzy, którzy zbierali na Łyżce pradawną ceramikę. Byłem świadkiem, jak jeden z nich powiedział głośno do siebie: „A może to ktoś podrzucił?”. Tak, zapewne Mietek z Januszem wykopali w swoich ogródkach skorupy sprzed 3 tysięcy lat i zanieśli je na Łyżkę!

Ale to nie koniec, ponieważ w czerwcu 2019 r. wykonane zostały na naszej górze badania georadarowe, które przeprowadzili fachowcy z AGH w Krakowie. I tak, po pierwsze na wierzchołku stożka, gdzie znaleźliśmy pradawną ceramikę wykazały one poważną anomalię w postaci kamiennego muru, albo regularnych bloków usytuowanych około 2 metry pod ziemią. Czyżby coś w stylu Maszkowic? A po drugie georadar potwierdził, że opowieści o podziemnych tunelach na Łyżce nie były do końca wyssane z palca. Na Starym Zamczysku – za kamiennym wałem o którym już wspomniałem, są trzy różne miejsca, gdzie jakieś 2 metry pod ziemią są puste, komorowe przestrzenie. Ten wał, o którym do tej pory myśleliśmy, że może być kultowy (ma ok. 100 metrów długości), powstał być może z urobku, który pradawni ludzie wynosili z drążonych tuneli. A po co je drążyli? Jak na razie więcej jest pytań, niż odpowiedzi.

Czy będą wreszcie na Łyżce wykopaliska? Ba, sam chciałbym wiedzieć. Ale przecież w najbliższej okolicy mamy jeszcze inne niezbadane stanowiska. Jedno figuruje w „Katalogu...” Marszałka i jest to Gródek nad Czarnym Potokiem – o którym już na tych łamach pisałem. Dwa inne objęte są tak zwaną obserwacją archeologiczną i znajdują się nieopodal Łyżki również nad Słomką w Przyszowej: to Ogrojec w przysiółku Berdychów i Wilcza Góra pod Kaniną. Jeszcze jedno. W swojej książce Przybyła zwraca słusznie uwagę na odległości pomiędzy stanowiskami archeologicznymi w dolinie Dunajca. To zwykle od 10 do 20 kilometrów. Piszę, że były to zatem przestrzenie do pokonania w ciągu jednego dnia intensywnego marszu. Gdybyśmy teraz spojrzeli pod tym kątem na zachodni brzeg tej rzeki, to byśmy zobaczyli coś ciekawego. Otóż odległość Łyżki od wszystkich grodzisk na Sądecczyźnie – licząc nawet od Białowodzkiej Góry i Marcinkowic na północy, aż do Zabrzeży na południu – nie przekracza 20 kilometrów, a w zasadzie oscyluje wokół 10 kilometrów. Właśnie nie więcej niż 10 kilometrów jest z Łyżki na Górę Zyndrama przez Czarny Potok. Piszę to dlatego, aby uświadomić wszystkim, że to nie są żadne antypody jakby się na pozór (zwłaszcza archeologom) wydawało.

***„Folkowy marketing, czyli promocja południowej Małopolski
przez twórczość ludową i produkt regionalny”
– seminarium w Łącku***

29 lutego w Remizie OSP w Łącku odbyło się seminarium pn. „Folkowy marketing, czyli promocja południowej Małopolski przez twórczość ludową i produkt regionalny” z cyklu „Poznaj Górala spoza Podhala”. Zorganizowane zostało przez Gminny Ośrodek Kultury w Łącku w ramach realizowanego wspólnie z partnerami projektu „Odkrywanie skarbów dziedzictwa południowej Małopolski”. Pierwsze tego typu seminarium miało miejsce w grudniu, a odbyło się w Rytrze, w regionie Górali Nadpopradzkich.

W wydarzeniu wzięło udział ponad stu regionalistów, twórców ludowych, pasjonatów kultury ludowej, uczestników projektu „Skarby Górali” z południowej Małopolski jak również przedstawiciele władz samorządowych.

Seminarium otworzyli wspólnie Jan Dziedzina wójt gminy Łącko oraz Józef Strączek dyrektor łąckiego GOKu, którzy podziękowali wszystkim za tak liczny udział. Następnie rezultaty projektu trwającego już blisko trzy lata, przedstawiła Anna Jarzębska z Fundacji Mapa Pasji, opowiadając również niezwykle wyczerpująco na temat dziedzictwa niematerialnego oraz odkrywania góralskich skarbów przez wolontariuszy młodzieżowych zaangażowanych do projektu. Jednym z rezultatów projektu są również questy, czyli wyprawy odkrywców. Na ten temat mówił trener questowy Krzysztof Florys. Pod jego opieką w poszczególnych regionach powstało wiele tego typu gier terenowych, przybliżających historię, tradycję, przyrodę, ale również ciekawostki danego obszaru, poruszając się po szlaku wyznaczonym przez wierszowane wskazówki. Na naszym terenie w ramach projektu zrealizowaliśmy trzy questy – w Łącku, Maszkowicach i Jazowsku, a także po sąsiedzku w Kamienicy, dzięki zaangażowaniu wielu osób. Warto niewątpliwie wyruszyć w te wyprawy, aby odkryć na nowo, to, co wydaje się tak dobrze znane. Odznaką honorową i tytułem Ambasadora Questów została wyróżniona Bernadetta Wąchała-Gawełek, animator lokalny z regionu Górali Białych.

Następnie przyszła pora na prezentacje prac wolontariuszy w ramach bloku pt. „Twórcy ludowi z południowej Małopolski oczami młodzieży”. Zobaczyć można było zdjęcia Kuby Mrówki z naszego regionu, przedstawiające kilku twórców regionalnych przy pracy, a także posłuchać o tym, jak te zdjęcia powstawały. Był również film z regionu Kliszczaków autorstwa Michała Leśniaka pt. „Franciszek Jędrocha – rzeźba ludowa”, a mówił o nim Bartłomiej Dyrz – dyrektor CKiS w Tokarni. Po tej pierwszej części prezentacji gadkę ludową swojego autorstwa zatytułowaną „Kora bosko” powiedział Marek Lipień, a po nim wystąpił Zespół Regionalny „Górale Łąccy” po kierunku Łukasza Uklei w wiązance łąckich tańców i śpiewów. Po tych występach głos zabrali Stanisław Pason radny Województwa Małopolskiego i Roman Potoniec przewodniczący Rady Powiatu Nowosądeckiego, którzy podziękowali organizatorom za zaproszenie na seminarium doceniając jednocześnie jego wagę dla społeczności lokalnych południowej Małopolski.

W trakcie przerwy można było obejrzeć prace twórców ludowych z wszystkich regionów biorących udział w projekcie „Skarby Górali”, gdyż pod taką również nazwą ten projekt funkcjonuje. Wzbudziły one wielkie zainteresowanie, ale i zasłużony podziw u wszystkich uczestników, były to rzeczywiste, tym razem materialne, skarby dziedzictwa kulturowego. Czas przerwy wypełniony był rozmowami i wymianą doświadczeń pomiędzy uczestnikami seminarium.

Po przerwie nastąpił ciąg dalszy prezentacji dokonań młodzieży. Obejrzeć można było film Julii Buckiej z regionu Zagórzan pt. „Rzeźba – Zygmunt Wójtowicz”, opowiedziała o nim Małgorzata Wierzbicka-Wójtowicz z Muzeum im. Wł. Orkana w Rabce-Zdroju. Tę część zakończyła projekcja filmu „Splecione ręce” Wioletty Baranowskiej i Anieli Kulig z regionu Górali Nadpopradzkich z komentarzem Izabeli Kulig – animatorki lokalnej. Najciekawsze prace dziennikarskie i fotograficzne młodzieży są opublikowane w książce zatytułowanej „Skarby Górali. Poznaj Górala spoza Podhala”. Właśnie tę publikację otrzymali wszyscy uczestnicy spotkania. Z naszego regionu znajdują się tam prace Magdaleny Ślabaszewskiej, Łukasza Setlaka, Gabrieli Matusiewicz, Klaudii Jawor, Łukasza Szeleca, Grzegorza Setlaka i Kuby Mrówki. Dodam tylko, że otrzymały one bardzo wysokie lokaty w ramach konkursu rozgrywanego wśród wszystkich wolontariuszy biorących udział w projekcie.

Efekty badań naukowych u Górali Łąckich przedstawił dr Łukasz Sochacki z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Koordynatorką na naszym terenie była etnolożka Anna Barbasz-Bielecka, pracująca w Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, pisząca pracę doktorską nt. muzealnictwa na wolnym powietrzu. Spostrzeżenia tak swoje jak i studentów, którzy spotykali się z mieszkańcami naszej gminy zawarła w rozdziale pt. „O krajobrazie, pokucie za grzechy i certyfikowanym produkcie. Refleksja z etnograficznego pobytu w Łącku” w książce „Góralczyzna mniej znana. W poszukiwaniu lokalnych tradycji”.

Ostatnim punktem programu seminarium był panel dyskusyjny nt. „Czym jest twórczość ludowa i produkt regionalny? Jak mogą wpływać na rozwój regionu i jak skutecznie je promować?” W dyskusji jako paneliści wzięli udział: Agata Turczyn – przedstawicielka Warsztatów Kultury w Lublinie organizujących Jarmark Jagielloński, odpowiedzialna za kiermasz rękodzieła, koordynatorka projektu Masterklasy rozwijającego kompetencje twórców ludowych, Małgorzata i Antoni Plechtowie – regionaliści, związani z łąckim folklorem, tradycją i kulturą od wielu lat, prowadzący Sklep Ola Folk i Styl z pamiątkami, jak również właściciele Regionalnego Żłobka i Przedszkola „Mały Baca”, w którym zaszczepiają zamiłowanie do folkloru od najmłodszych lat, Małgorzata Polańska-Kubiak – twórczyni regionalna zajmująca się tkactwem charakterystycznym dla jej regionu, ale i innymi formami rękodzieła, reprezentująca Górali Nadpopradzkich, regionalistka, Joanna Dziubińska – właścicielka Galerii Krzywa Jabłonka w Szczawnicy /Górale Pieśnińscy/, w której można nabyć prace wykonane przez twórców ludowych, pamiątki i upominki regionalne, organizowane są tam również wystawy, Krzysztof Maurer – właściciel PPHU Tłocznia Maurer w Zarzeczu /Górale Łąccy/, który kontynuuje pokoleniowe rodzinne tradycje sadownicze, przekształcił on mały zakład produkcyjny w świetnie

prosperujące przedsiębiorstwo produkujące znane nie tylko w Polsce naturalne soki, ale również w ostatnich latach uzyskał koncesję na produkcję destylatów owocowych, w tym łąckiej śliwownicy. Była to niezwykle ciekawa dyskusja, pokazująca blaski i cienie twórczości regionalnej, tworzenia marki produktu, ale również uświadamiająca, że pasją i zapałem można osiągnąć wspaniałe efekty.

Seminarium zakończyło się w godzinach popołudniowych. Ze strony organizatorów możemy powiedzieć, że zainteresowanie tematem, jak również tak liczny udział wielu osób z różnych regionów, przeszedł nasze najśmielsze oczekiwania, co tylko utwierdza w przekonaniu, że był to temat ważny dla środowisk lokalnych i ze wszelkich miar potrzebny.

Projekt pt. „Odkrywanie skarbów dziedzictwa południowej Małopolski” jest finansowany z Funduszy Europejskich w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Województwa Małopolskiego na lata 2014-2020.

Więcej informacji na stronie: www.skarbygorali.pl



Ja ze swej strony chciałam podziękować młodym ludziom, którzy byli wolontariuszami w tym projekcie, za ich zaangażowanie, pasję i zapał. Wierzę, że wszystko to, co robiliście, przyniesie kiedyś piękne efekty. A byli to:

2017/2018

Sekcja dziennikarska: Magdalena Słabaszewska, Kamila Tomasiak, Jakub Stapkowicz, Dominik Majerski, Krystian Pustulka

Sekcja foto-video: Edyta Gromala, Klaudia Jawor, Mateusz Mróz, Łukasz Setlak, Kuba Mrówka

2018/2019

Sekcja dziennikarska: Klaudia Jawor, Edyta Gromala, Anna Chlipała, Jakub Lipień, Łukasz Setlak, Grzegorz Setlak

Sekcja foto-video: Gabriela Matusiewicz, Wojciech Citak, Szymon Citak, Zbigniew Turek, Łukasz Szelec.

Dziękuję również z całego serca Marzenie Setlak – za wsparcie przy warsztatach terenowych oraz Agnieszce Szlęk, Małgorzacie Bieniek, Edycie Gromali, Klaudii Jawor i Łukaszowi Setlakowi za pracę przy rejestracji uczestników seminarium.

(b. w-g)



Od lewej: Józef Strączek, dyr. GOK w Łącku, Jan Dziedzina, wójt Gminy Łącko



Anna Jarzębska z Fundacji Mapa Pasji przedstawia projekt



Uczestnicy seminarium. W tle stoi Marek Lipień



Zespół Regionalny „Górale Łąccy” im. Marii Chwalibóg



Od lewej: Józef Strączek, Stanisław Pasoń, Roman Potoniec, Jan Dziedzina



II cz. seminarium, panel „Czym jest twórczość ludowa”



Od prawej: Krystyna Sukiennik i Maria Janiczak, artystki ludowe z Łącka



Mariusz Obrzut – malarstwo

Fot. Łukasz Setlak fp Skarby Górali

Aleksander B. Skotnicki
– profesor medycyny, społecznik, badacz losów,
i wielki przyjaciel Żydów uratowanych z Holocaustu

*„Jeśli człowiek niszczy jedno życie, to jest tak,
jak gdyby zniszczył cały świat.*

*A jeśli człowiek ratuje jedno życie, to jest tak,
jak gdyby uratował cały świat“*

Talmud Babiloński, Sanhedryn, 37a

Spotkanie z prof. Aleksandrem Skotnickim, w 4 marca 2020 roku, w Sąddeckiej Bibliotece Publicznej im. Józefa Szujskiego, w Nowym Sączu, zgromadziło wielu słuchaczy, zarówno byłych pacjentów, rodziny ocalonych z Holocaustu, przyjaciół, jak i tych, którzy chcieli spotkać i poznać tę niezwykłą postać. Wszystkich zgromadzonych przywitał p.o. Dyrektora biblioteki, Marek Rylewicz.

Spotkanie porowadzili Maciej Kwaśniewski i Łukasz Połomski, a wśród gości m.in. Anna Grygiel-Huryn, z domu Kępińska.

Okazją była promocja książki *Arka opowieść o życiu i przetrwaniu. Aleksander Skotnicki w rozmowie z Katarzyną Kachel i Maciejem Kwaśniewskim*.



Od lewej: prof. Aleksander Skotnicki, Marek Rylewicz, Łukasz Połomski



Anna Sokołowska

Sokołowskiej był Starostą w Żytomierzu. Po wybuchu rewolucji bolszewickiej w 1917 roku, mąż Anny Sokołowskiej został aresztowany i zamęczony w więzieniu. Anna Sokołowska z synami Tadeuszem i Zygmuntem, kilkumiesięczną córką Aliną, oraz umierającą teściową, musiała uciekać, gdyż była poszukiwana przez WczK (później NKWD). Przez pięć lat ukrywali ją prości ludzie, w wiejskiej chałupie, na terenie jej dawnego majątku. Do Polski za sprawą szwagra, Władysława Sokołowskiego, wróciła w 1923 roku. Po Warszawie i Miechowie, w 1928 roku zamieszkała w Nowym Sączu, była nauczycielką języka polskiego w II Gimnazjum i Liceum im. Króla Bolesława Chrobrego. Podczas II wojny światowej działała w konspiracji, miała pseudonim „Babcia”. Początkowo działała w Służbie Zwycięstwu Polski, następnie w Związku Walki Zbrojnej, i w Armii Krajowej. Dom Anny Sokołowskiej, przy ul. Szujskiego 10, był skrzynką kontaktową Inspektoratu „Niwa”, dawał schronienie ludziom, którzy udawali się na Węgry, oraz zbiegom. Pomagała Żydom w getcie, w Nowym Sączu, dostarczając leki, ubrania i jedzenie. W getcie spotykała wielu swoich uczniów, ich rodzeństwo, rodziców. W getcie spotkała Reginę Riegelhaupt-Kępińską, w zaawansowanej ciąży, i pomogła jej uciec przed likwidacją getta. Regina i jej córka Anna przeżyły. Ukrywała w swoim mieszkaniu dwie żydowskie farmaceutki. Anna Sokołowska była od dłuższego czasu obserwowana przez gestapo, które wtargnęło w nocy do mieszkania. Obie dziewczyny zostały zamordowane na miejscu, a Annę Sokołowską aresztowano, przewieziono do więzienia na Montelupich, w Krakowie. Po siedmiu miesiącach, w czerwcu 1944 roku przewieziono ją do obozu w Ravenbruck, koło Berlina, tam spotkała Zofię Rysiównę, która przeżyła, i opowiedziała jak Anna Sokołowska została zamordowana zastrzykiem z fenolu, w lutym 1945 roku. Nie ma grobu, ale ma swoje drzewko w Alei Sprawiedliwych

Prof. Aleksander Skotnicki jest profesorem medycyny, hematologiem, transplantologiem, twórcą i długoletnim ordynatorem Kliniki Hematologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, następcą prof. Juliana Aleksandrowicza. Jest też Profesorem społecznikiem i badaczem losów Żydów, uratowanych z holokaustu przez Oskara Schindlera.

Przez swoją babkę, Annę Sokołowską, związany emocjonalnie z Nowym Sączem, i w sposób emocjonalny, i bardzo ciepły opowiedział losy babki i matki.

Anna Sokołowska urodziła się w 1878 roku we wsi Sławów, koło Żytomierza, w bogatej rodzinie. Była osobą niezwykle stanowczą i zdeterminowaną, ukończyła dwa wydziały: rolniczy i filozoficzny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Mąż Anny



Anna Sokołowska

Wśród Narodów Świata w Jerozolimie, oraz odznaczona została Medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata w 1989 roku.

Alina Sokołowska (rocznik 1917), tak jak matka, była idealistką, i miała taką samą potrzebę pomagania innym, mimo trudnych osobistych doświadczeń i przeżyć. Obie były tolerancyjne i przewrażliwione na antysemickie zachowania, nie myślały schematycznie i stereotypowo. Alina jako dziecko bardzo długo chorowała, wydawało się nawet, że nie przeżyje. Zamiast do pierwszej klasy, pojechała do Zakopanego, do sanatorium przeciwgruźliczego, i spędziła w nim 3 lata. Dzięki protekcji i staraniom matki, dostała się do Prywatnego Gimnazjum Sióstr Niepokalanek w Nowym Sączu. Mimo, że nie chodziła wcześniej do szkoły, zaliczyła wszystkie klasy i w 1936 roku zdała maturę. Wyjechała na studia do Warszawy, zaczęła studia na kierunku psychologicznym, a rok później na dziennikarstwie. Studia przerwała wojna. Wróciła do Nowego Sącza, zakochała się, i szybko wyszła za mąż za hrabiego Juliusza Russockiego. W 1940 roku wyjechała do rodzinnego dworu męża w Odrzechowej, koło Sanoka, oczekiwała dziecka, ale je straciła podczas choroby na gorączkę połogową. W 1943 roku doczekała zdrowego syna, Stanisława. Szczęście zastąpił strach o męża, którego aresztowali Niemcy. Ponieważ nic mu nie udowodniono, został wypuszczony, musiał jako właściciel majątku dostarczać Niemcom obowiązkowy kontygent. Wraz z nadzieją Rosjan, i frontu wschodniego w 1944 roku, został zmobilizowany do II Armii Wojska Polskiego, zginął w bitwie o Wał Pomorski w lutym 1945 roku.

Po śmierci męża, na mocy ustawy o pomocy wdowom i matkom poległych żołnierzy, dostała poukraiński majątek w Nowosielcach, pod Sanokiem. Wydawało się,

że nastąpiły spokojniejsze czasy, i będzie można spokojniej żyć, więc sprowadziła z Nowego Sącza rodzinne pamiątki. Wszystko spłonęło w sylwestrową noc 1945/46, kiedy wieś podpalili banderowcy, zabijając 17 osób. W ostatniej chwili udało się im wydostać z płonącego domu. Wszystko straciła, i wraz z teściową, i synkiem zamieszkali kątem u znajomych. Nie chciała nadużywać ich gościnności, wyjechała szukać pracy w Krakowie, a następnie na zaproszenie koleżanki z gimnazjum, do Wrocławia. Przez pewien czas kierowała Domem Starców i Zakładem dla Kobiet Wracających z Sybiru. Syn Aliny, Stasiu, zaraził się gruźlicą i znowu musiała zmienić swoje rodzinne plany, przeprowadziła się na wieś. Podczas jednego ze zjazdów ziemiaństwa, na których się spotykali byli ziemianie, utrzymując ze sobą kontakty, mimo, że reforma rolna pozbawiła ich majątków, poznała Romana Skotnickiego, inżyniera rolnika, wyszła za niego. Wraz z mężem i synem przeniosła się na wieś pod Chorzów, do poniemieckiego majątku.

W 1948 uroku urodził się Aleksander Bartłomiej, gdy był niemowlakiem, rodzina przeprowadziła się do Krakowa. Alina Skotnicka wróciła na studia, na Uniwersytet Jagielloński. Po skończeniu studiów pracowała jako psycholog kilniczny w klinice Chorób Wewnętrznych, którą kierował prof. Julian Aleksandrowicz, była współzałożycielką krakowskiego Telefonu Zaufania.

Profesor Aleksander Skotnicki jako przedszkolak zachorował na chorobę Heinego – Medina, tylko dzięki szczepionce, którą przywiózł ojciec z Czerwonego Krzyża, ze Szwajcarii, przeżył bez trwałych porażeń.

Od najmłodszych lat prof. Skotnicki interesował się historią i geografią, to pozostało mu do dzisiaj. Papiery na studia złożył na chemię, ale w ostatniej chwili wycofał, i złożył na medycynę, a to za przyczyną, jak opowiadał, siedmiotomowej *Anatomii* Adama Bochenka, którą kupił mu ojciec, który bardzo chciał by został lekarzem. Studiował w latach 1966-1972.

Po studiach, ze względu na pochodzenie, i brak politycznego poparcia, trudno było mu znaleźć pracę. Jedyny wakat był na patologii, więc został lekarzem w Zakładzie Anatomii Patologicznej, i jednocześnie wolontariuszem na hematologii, u prof. Juliana Aleksandrowicza. Gdy zwolniło się miejsce na klinice III Wewnętrznej, późniejszej Klinice Hematologii, którą prowadził prof. Julian Aleksandrowicz, rozpoczął tam pracę.

Prof. Julian Aleksandrowicz, filozof medycyny, żołnierz kampanii wrześniowej, w getcie krakowskim prowadził szpital, po ucieczce z getta, wraz z żoną i małym synkiem, szukał schronienia wśród byłych pacjentów, żołnierz AK na kielecczyźnie. Po wojnie został szefem Kliniki Hematologicznej Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie. Profesor Julian Aleksandrowicz to także prakursor polskiej ekologii i specyficznej, nowatorskiej, jak na tamte czasy, filozofii leczenia. Klinika Hematologii, którą prowadził prof. Julian Aleksandrowicz, była czwartą na świecie i pierwszą, za żelazną kurtyną, kliniką, która zajmowała się polskim, hormonem grasicy, tymozyną.

Profesora Aleksandrowicza pacjent interesował nie tylko jako jednostka chorobowa, chciał wiedzieć dlaczego zachorował, znać przyczynę, interesował się rodziną pacjenta, jego otoczeniem, warunkami życia i pracy. Profesor był naukowcem więc próbo-



Od prawej: prof. Aleksander Skotnicki, Łukasz Połomski, Maciej Kwaśniewski



W I rzędzie w środku: Anna Grygirl-Huryń (zd. Kępińska), stoi prof. Aleksander Skotnicki, siedzi Maciej Kwaśniewski

wał to badać, był niecierpliwy, i od razu chciał wprowadzać w życie swoje spostrzeżenia i odkrycia. Profesor Julian Aleksandrowicz był wizjonerem i prekursorem badań nad przewlekłą białaczką limfatyczną. Nie przejmował się krytyką, przekraczał granice wąskich specjalności, i leczył po swojemu: muzyką, książkami, sztuką, i wiarą, że chory znając swoją chorobę, jest w stanie nad nią zapanować. Takie podejście do chorego czerpał prof. Julian Aleksandrowicz od Hipokratesa, i tego uczył swoich uczniów.

Dzięki uporowi i różnym zabiegom prof. Juliana Aleksandrowicza, oraz zbiorce pieniędzy wśród polonii amerykańskiej, w 1958 roku, Halina Poswiatowska (1935-1967) młoda, świetnie zapowiadająca się poetka, przeszła skomplikowaną operację serca. Ta operacja, która w tamtych czasach kosztowała ogromną sumę 100 tys. dolarów, przedłużyła Poświatowskiej życie o prawie 10 lat.

Prof. Aleksander Skotnicki jest wiernym uczniem prof. Juliana Aleksandrowicza i Hipokratesa, dlatego uważa, że sprawą bardzo ważną jest edukacja pacjenta. Chory musi wiedzieć jak wygląda przebieg choroby, jaki jest mechanizm choroby, w tym wypadku białaczki, wtedy łatwiej przychodzi mu walka z chorobą, zażywa regularnie leki, przestaje się bać choroby, oswaja się z nią, kontroluje. To nie jest łatwe, ale konieczne bo tylko kompleksowa terapia ciała i psychiki daje oczekiwane rezultaty. Takiego podejścia do chorego uczy prof. Aleksander Skotnicki swoich studentów.

Profesor Aleksander Skotnicki interesuje się swoimi pacjentami, ich życiem, warunkami bytowymi, otoczeniem, rodziną, a gabinet profesora jest swoistym muzeum, pełnym fotografii i dokumentów, i każdy ma swoją historię.

Wśród pytań zadanych Profesorowi, było i to, kiedy zaczął się interesować przeszczepami szpiku i stworzeniem kliniki leczenia białaczki. Profesor opowiedział o swoim pierwszym, naukowym stypendium w Londynie, od października 1974 do marca 1975 r. Pracując w Instytucie, nie miał kontaktu z pacjentami, zajmował się biologią komórek krwi chorych i zdrowych pacjentów, była to praca laboratoryjna, i bardzo mu brakowało kontaktu z pacjentami. Za sprawą swojego szefa, miał okazję odwiedzić szpital, którego szefem był słynny hematolog i onkolog brytyjski John Goldman, który w 1974 roku, założył ośrodek przeszczepu szpiku. Wtedy po raz pierwszy mógł obserwować pionierskie przeszczepy. Profesor Aleksander Skotnicki postanowił sobie wtedy, że założy taki ośrodek w Krakowie.

Realizacja tego projektu zabrała Profesorowi dwadzieścia dwa lata, w 1997 roku, nastąpiło otwarcie kliniki.

Przez rok był Profesor stypendystą Fundacji Fulbrighta, w Waszyngtonie, na George Washington University, i ten czas był ogromną szansą na rozwój zawodowy, kulturowy i emocjonalny. Chcąc wykorzystać ten czas jak najlepiej, pracował prawie na okrągło, bo wiedział, że w kraju nie będzie miał takich możliwości. Wyjeżdżając na stypendium zostawił w kraju żonę i małego synka, i jak sam mówił, to był bardzo stesujący dla Profesora okres.

Po powrocie ze stypendium w Waszyngtonie, przeszedł wszystkie szczeble awansu od asystenta, przez adiunkta do ordynatora, pracował na izbie przyjęć, dyżurował, leczył chorych w kilnice, stosunkowo dużo publikował i pisał doktorat.



Promocja książki w Sąddeckiej Bibliotece Publicznej



Prof. Aleksander Skotnicki z reżyserem „Listy Schindlera” Stevenem Spielbergiem (slajd)

To co go napędzało, jak sam twierdzi, to dążenie do optymalnego i skutecznego leczenia, na najwyższym poziomie białaczki.

Budowę nowoczesnego ośrodka leczenia białaczki rozpoczął Profesor w 1994 roku. Na ośrodek trzeba było adaptować zabytkowy obiekt z końca XIX wieku przy ul. Kopernika.

Z perspektywy czasu, Profesor twierdzi, że to było największe wyzwanie w życiu, ponieważ musiał powstać nowoczesny, zupełnie sterylny ośrodek transplantacji szpiku. Wyzwaniem było także zdobycie funduszy na adaptację, ponieważ ani Szpital Uniwersytecki, ani Collegium Medicum nie miały środków. Zdobywał Profesor te środki z Ministerstwa Zdrowia, organizował aukcje dzieł sztuki w Nowym Jorku, Krakowie, Calgary. Za zdobyte pieniądze kupowano specjalistyczny sprzęt diagnostyczny, który trzeba było konserwować, utrzymywać, oraz nauczyć personelu jego obsługi. Fundacja Profilaktyki i Leczenia Chorób Krwi im. Prof. Juliana Aleksandrowicza, wspomagała Szpital Uniwersytecki finansowo w tym dziele. Powstały wysokospecjalistyczne laboratoria: pracownia cytologiczna, immunofenotypowa, cytogenetyczna, molekularna z wyśmienicie wykształconym personelem, i była to integralna część kliniki, to było „oczko w głowie” profesora. Gdy laboratorium zaczęło przynosić zyski, pracując także dla celów komercyjnych, jedną administracyjną decyzją, przestało być integralną częścią kliniki, a stało się Pracownią Hematologiczną Szpitala Uniwersyteckiego, był to dla Profesora ogromny cios, tym bardziej, że dowiedział się o tym nagle, wewnętrzną pocztą internetową, stracił jedną czwartą kliniki.

Klinika, która kosztowała 10 milionów złotych, krok po kroku edukowała specjalistów, by na samym końcu mogła robić przeszczepy szpiku.

Aukcje dzieł sztuki są przeprowadzane do dzisiaj, a uzyskane pieniądze przeznaczone są na rozwój kliniki, pomoc pacjentom po przeszczepach. Z tych dodatkowych pieniędzy udało się zaadaptować dziewiętnastowieczną kuchnię na duże laboratorium. Centrum Pobierania i Zamrażania Komórek Macierzystych, z poddasza kliniki, przeniosło się do nowej siedziby.

Prof. Aleksander Skotnicki z ogromną empatią opowiadał o pacjentach po przeszczepie szpiku, a wykonano tych przeszczepów ponad tysiąc dwieście. Większość pacjentów po przeszczepie żyje. Pierwsza pacjentka u której w 1997 roku dokonano przeszczepu szpiku, żyje do dzisiaj. Pacjenci po przeszczepie, nie zrywają kontaktów z kliniką, przyjeżdżają na spotkania ludzi po przeszczepie, zapraszają na wesela, przesyłają okolicznościowe życzenia.

Podczas tego spotkania padło też pytanie: skąd u Profesora zainteresowanie ocalałymi z holokaustu. Okazało się, że początek tego zainteresowania to książka Stelli Muller-Madej *Oczami dziecka*, którą w 1991 roku zobaczył na wystawie księgarni. Profesora od zawsze poruszał i interesował los dzieci, które swoje dzieciństwo przeżyły w czasie okupacji, w szczególności dzieci żydowskich.

Po długich poszukiwaniach, nie bez trudu, odnalazł autorkę, jedną z ocalałych przez Oskara Schindlera. Okazało się, że mieszkała w Polsce, i w Bukowinie Tatrzańskiej prowadziła pensjonat.

Książka ta, i spotkanie z autorką, była, znając pasje historyczne i dedektywistyczne Profesora, przyczynkiem do zainteresowania się zarówno ocalonymi jak i Oskarem Schindlerem.

Stella Muller-Madej, zaprzyjaźniła się z Profesorem, w dowód tej przyjaźni przekazała Profesorowi rękopis książki. Do końca swojego życia powtarzała, że życie zawdzięcza Oskarowi Schindlerowi, tak jak przeszło tysiąc innych ocalonych. Profesor postanowił sprawdzić, czy inni, tak jak Stella Muller-Madej, również w ten sam sposób wypowiadają się o Oskarze Schindlerze, i zaczął poszukiwania innych ocalonych. Poszukując, dotarł do Niusi Horowitz-Karakulskiej, od której dostał listę adresową ocalonych, którą sporządził Leopold Pfefferberg. Taką samą listę otrzymał Steven Spielberg przed realizacją swojego filmu *Lista Schindlera*.

Profesor postanowił napisać monografię o ludziach z listy Oskara Schindlera, tych, których udało mu się odnaleźć, dotrzeć do nich, i namówić na zwierzenia było około pięćdziesięciu.

To były lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku, przez dziesiątki lat ocaleni tak głęboko byli dotknięci traumą, że milczeli. Kontakty listowne, telefoniczne i osobiste w Izraelu, Australii i Stanach Zjednoczonych sprawiły, że otworzyli się, i z tych opowieści powstała krakowska historia polsko-żydowska sprzed 1939 roku.

Przed wojną było w Krakowie ponad sześćdziesiąt tysięcy Żydów, ocalało cztery tysiące z czego Oskar Schindler ocalił tysiąc.

Wielu ocalonych nie wróciło do Krakowa z powodu traumy, tu zginęły ich całe rodziny, ale byli też i tacy, którzy zostali, wśród nich rodzice Stelli Muller-Madej, prawie cała uratowana rodzina Horowiczów i Rosnerów.

Profesor Aleksander Skotnicki z niezwykle empatią, a wręcz czułością opowiadał o swojej schindlerowskiej rodzinie, której poświęca, swój wolny, towarzyski czas, który jak twierdzi rozwija go intelektualnie, i zawodowo wzbogaca. Ludzie ci stali się dla Profesora ważni, tak jak ważny jest dla nich. Profesor interesuje się życiem ich rodzin, uczestniczy w rodzinnych uroczystościach. Powoli odchodzą, mają po ponad dziewięćdziesiąt lat.

Dzięki filmowi Stevena Spielberga *Lista Schindlera* otrzymali „trzecie życie”. Po premierze filmu ocaleni stali się sławni, mogli bez strachu opowiadać swoje losy, wielu, którzy milczeli przez całe lata, wreszcie się otworzyło, i opowiedziało swoją tragiczną historię.

Profesor poszukuje, i ma kontakty nie tylko z ocalonymi z listy Schindlera, ale także z ocalonymi z Holocaustu krakowskimi Żydami.

Prowadzi Profesor bardzo ożywioną działalność społeczną i publicystyczną, dokumentując historię Żydów krakowskich, których II wojna światowa rozrzuciła po świecie.

Wraz z Krakowskim Towarzystwem Fotograficznym, którego jest członkiem, oraz jako prezes Fundacji Stradomskiego Centrum Dialogu, jest organizatorem licznych wystaw fotografii i dokumentów.

W 2016 roku był współorganizatorem powstania, i uczestniczył w odsłonięciu ławeczki Jana Karskiego w Krakowie, na ulicy Szewskiej. Z tej okazji ukazała się także publikacja Profesora *Jan Karski – człowiek, który chciał zatrzymać Holocaust*.

Profesor Aleksander Skotnicki jest też autorem monografii *Społeczność żydowska w Polsce. Zwyczaje i udział w walce o Niepodległość* (2006), oraz trzech monografii poświęconych twórczości polsko-żydowskiego artysty Artura Szyka.

W tej walce o pamięć ocalałych, i ich wybawcy, Profesor wyręcza historyków, a książka *Oskar Schindler w oczach uratowanych przez siebie krakowskich Żydów* (2007), jest też pewnego rodzaju walką o dobre imię Oskara Schindlera. Tę walkę o dobre imię Oskara Schindlera prowadzi metodycznie, naukowo, szukając faktów.

Do tej pory powstały następujące monografie dotyczących Oskara Schindlera, których autorem jest Profesor: *Żydowscy współobywatele Krakowa uratowani przez Oskara Schindlera* (2010), *Oskar Schindler – Sprawiedliwy z Krakowa*, *Pożegnanie Oskara Schindlera* (2014), *Relacje publicystyczne o Oskarze Schindlerze* (2007).

Na zakończenie pragnę wspomnieć o dwóch artykułach, które ukazały się w Almanachu Łąckim nr 3/2005 *Żydzi łąccy, których pamiętam*, we wspomnieniach Marii Urbaniec zd. Sobolewska i Almanachu Łąckim nr 15/2011 *Podróż sentymentalna. Garść wspomnień i historia jednego życia... Józef Horowitz*, autorki Jadwigi Jastrzębskiej.

W obu występują nazwiska, które znajdują się w *Arce*, i opowieści Profesora podczas spotkania w dniu 4 marca br.: Horowitz, Lustig, Riegelhaupt, Rosner.

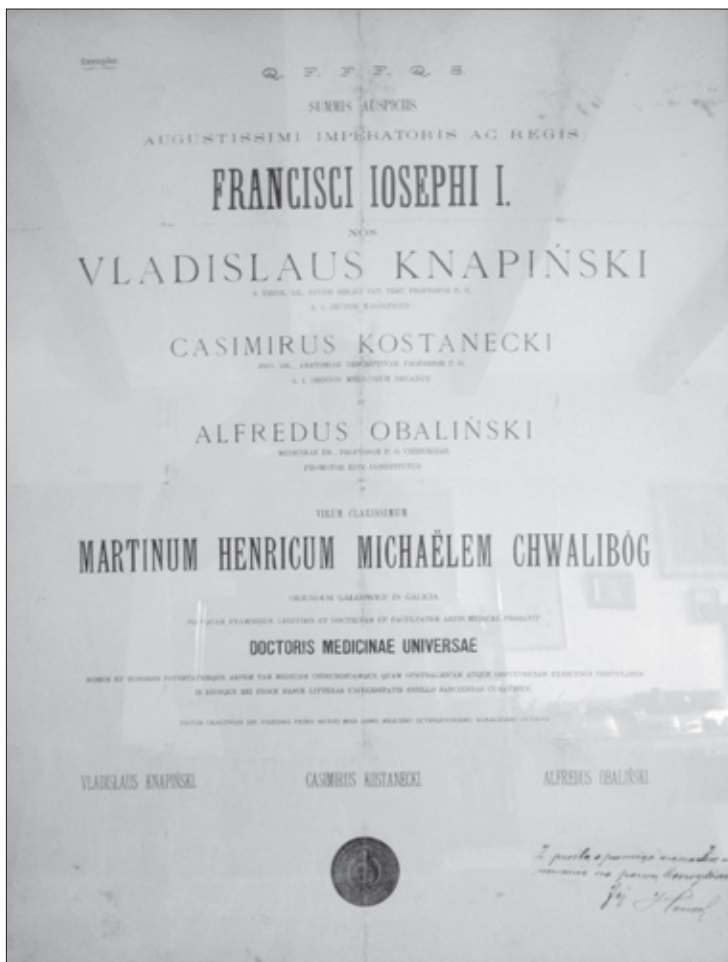
Podarowałam Profesorowi Aleksandrowi Skotnickiemu te numery *Almanachu Łąckiego*.

Oprac. na podstawie udziału w spotkaniu i książki „Arka, opowieść o życiu i przetrwaniu...”.
Fot. Bogusław Kołcz

TRZY DYPLOMY
Łącko – i Krzysztof, Marcin Chwalibóg
zakochany w górach i... góralach

Piszę ten osobisty tekst z nadzieją, że wyrazi on w jakimś stopniu mój, i naszej rodziny, stosunek do tego niezwykłego miejsca na mapie Polski, jakim jest Ziemia Łącka.

To dla mnie szczególnie miejsce, gdzie rodzina Chwalibogów pozostawiła swoje serca i grób dziadka mojego męża, Marcina Henryka Michała Chwaliboga pierwszego, w historii Łącka nad Dunajcem, lekarza medycyny uniwersalnej, jak zapisano na dyplomie wiszącym w mojej pracowni w Warszawie.



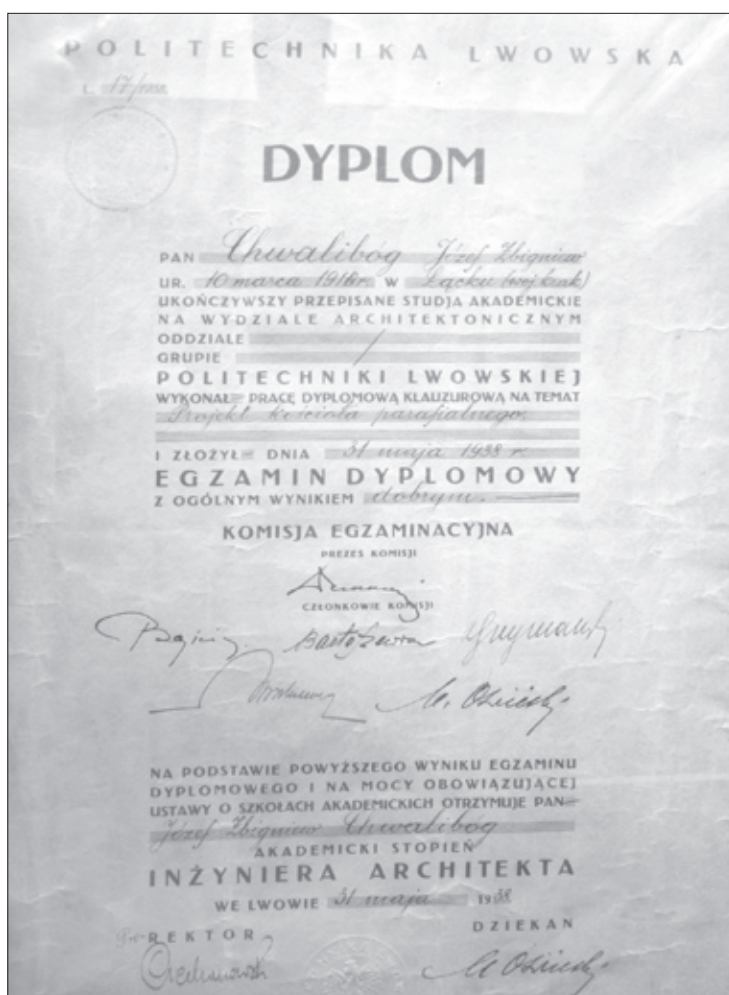
Dyplom o wymiarach...60 x 45 cm, o historycznym zapisie



Henryk Chwalibóg

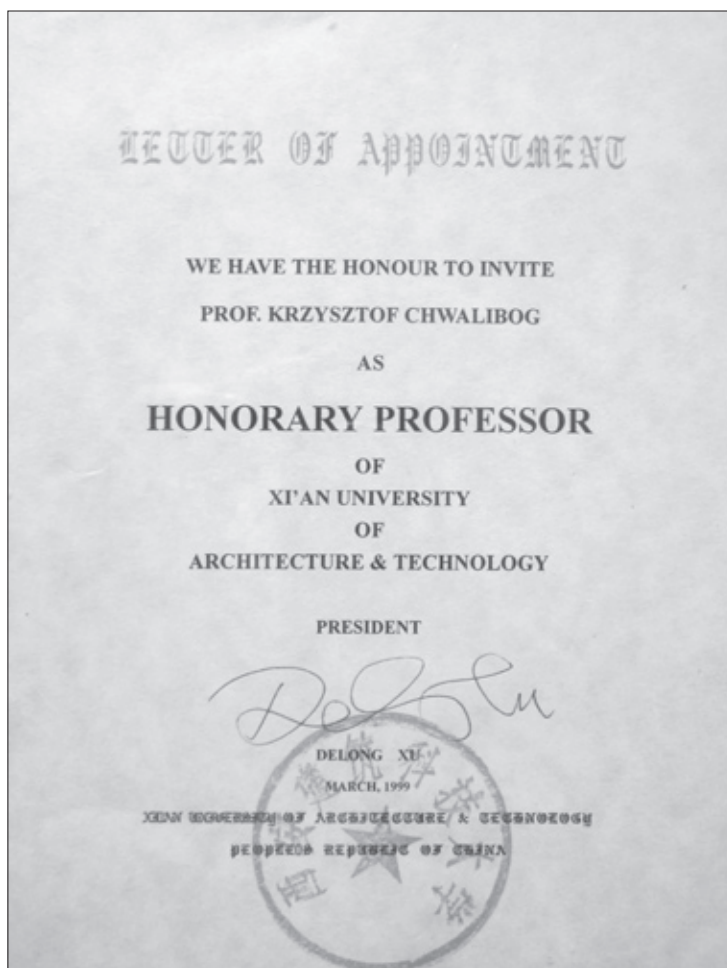
Dyplom lekarza napisany po łacinie, która w tamtych latach była językiem podstawowym w medycynie. Data wystawienia to 1898 rok. Uczelnia w Krakowie, który był pod zaborem austriackim, i dlatego powagę tej chwili podkreślają osoby nadające ten dyplom na czele z Cesarzem Austrii Franciszkiem Józefem I, Rektorem Władysławem Knapińskim, Dziekanem Kazimierzem Kostaneckim, Promotorem Alfredem Obalińskim.

W mojej pracowni wisi też dyplom ukończenia Wydziału Architektonicznego Politechniki Lwowskiej z dnia 31 maja 1938 roku mojego teścia Józefa Zbigniewa Chwaliboga urodzonego w Łącku w 1910 roku.



Dyplom mniejszy, o wymiarach 30 cm x 40 cm.

Najmniejszy wymiarowo dyplom, wielkości 13 cm x 17 cm, to nadanie w 1999 roku tytułu Profesora Honorowego Uniwersytetu w Xi'an w Chinach Wydział Architektury i Technologii mojemu mężowi Krzysztofowi Marcinowi Chwalibogowi urodzonemu we Lwowie.



Naszych dyplomów Politechniki Warszawskiej Wydział Architektury nie da się powiesić, bowiem są to „książeczki” o wymiarach 10 cm x 14 cm. Tę uczelnię skończyli: mój mąż, ja i moja młodsza córka Anna. Syn Krzysztofa Samuel, także architekt, ukończył studia we Francji, gdzie pracuje.

Stryjeczny brat Krzysztofa, Andrzej Chwalibóg syn Henryka, jest również znanym architektem.

Dyplomów wisi w pracowni więcej, to historia rodziny w Polsce. Jednak te trzy stanowią o dorobku życia i zdobywaniu wiedzy przez kolejne pokolenia.

Wielopokoleniowa rodzina architektów jest związana z Łąckiem na zawsze.



Zbigniew Chwalibóg



Krzysztof Chwalibóg

Jedyna córka doktora Henryka Chwaliboga, Maria zwana Maryną, bardzo kochała to miejsce, chociaż losy II wojny światowej rzuciły ją przez Syberię do Anglii, gdzie jest pochowana, myślę że chciałaby do Łącka powrócić. Jej bracia – Henryk, Jan i Zbigniew zostali na zawsze w Polsce – Marii los wyznaczył inne miejsce.

Krzysztof Chwalibóg od lat w „Almanachu Łąckim” pisze o historii rodziny, ale nie o sobie.

Taka cecha osobowości, bo jako najstarszy z żyjących Chwalibogów, których kołębka od tysiąca lat są Janowice leżące 50 km od Łącka, swoje życie poświęca innym. O jego dokonaniach zawodowych w skrócie można przeczytać w Internecie. Krzysztof Chwalibóg ma bardzo wszechstronne zainteresowania i zdolności. Kontakty z całym światem architektonicznym pozwoliły mu wykazać, jak bardzo możemy być dumni z naszych dokonań, chociaż lata po II wojnie światowej zamykały nas w sferze oderwanej od wiedzy i dokonań naszych kolegów zza żelaznej kurtyny. Przebicie się przez powojenny okres to czas nauki opartej na dokonaniach naszych ojców. Udało się wykształcić pokolenia architektów tworzących do dzisiaj naszą przestrzeń dla przyszłych pokoleń. Ojciec Krzysztofa Józef Zbigniew Chwalibóg po wojnie pracował jako profesor na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, gdzie uzyskał stopień naukowy doktora (dyplom 38 cm x 50 cm). Jego zainteresowania to także malowanie akwrel, głównie krajobrazów, a także – z Łącka – i wędkarstwo. Krzysztof miał jako przykład dokonania ojca. Po ojcu odziedziczył umiłowanie tego pięknego niepowtarzalnego zakątka Polski. Znad Dunajca przecież wywodzi się ród Chwalibogów herbu Strzemińczyk. Miał czas pracy po studiach w Paryżu, gdzie założył pierwszą rodzinę. Zainteresowania zawodowe Krzysztofa zostały rozszerzone na działalność społeczną na rzecz Stowarzyszenia Architektów Polskich, którym kierował przez 12 lat i pozostał jego członkiem do tej pory. Obecnie, pełniąc funkcję Przewodniczącego Polskiej Rady Architektury, od lat pragnie przywrócić właściwe miejsce dla twórców przestrzeni Polski w każdej skali, w każdym miejscu. Jako żona architekta, także architekt, współpracowałam w SARP z mężem, co pozwalało nam prowadzić działalność społeczną uzupełnioną o moje kwalifikacje, także prawne i administracyjne Aktualnie wspólnie opracowujemy czwartą edycję Pol-

skiej Polityki Architektonicznej – dokumentu scalającego działania na rzecz normalizacji gospodarki przestrzennej Polski z merytorycznym i perspektywicznym rozwojem kraju. Działania Krzysztofa na arenie międzynarodowej są wysoko oceniane, zwłaszcza w Międzynarodowej Unii Architektów, gdzie jest dyrektorem projektu „Architektura dla wszystkich”. Konkurs, jaki zorganizował na temat kształtowania przyjaznej przestrzeni, ma skalę globalną; jego celem jest promowanie jakości otoczenia dającego poczucie bezpieczeństwa, harmonii i satysfakcji. Powstający w wyniku konkursu zbiór najlepszych projektów i realizacji z całego świata ma wartość sprzyjającą budowie wizji lepszej przyszłości przestrzeni naszego życia.

Trudno jest ograniczyć się do tak krótkiej relacji, jeśli mowa o moich związkach z Łąkiem, dlatego pozwolę sobie jeszcze na kilka rodzinnych informacji i osobistych wspomnień. Od ponad dwudziestu lat spędzamy czas w Łącku, bo to miejsce, to nie tylko miłość Krzysztofa; pozwala nam zachwycać się przestrzenią przyrody, która jest dla mnie największą radością, bo po wojnie moja rodzina na wieś nie mogła wrócić. Mieszkająca w Łącku kuzynka po kądzieli Krzysztofa, Bogusia Czech, jest dla nas jak rodzona siostra. Jej Reksio i jego szczekanie przez telefon, gdy z nami „rozmawia”, przypomina nam czas urlopów spędzanych w Łącku.

Spacery nad Dunajcem i obowiązkowe układanie kamieni to dla Krzysztofa wielka radość.

Ja przywożę do Warszawy okazy głazów, które zdobią nasz ogródek w Warszawie.

Chociaż na świecie Łącko jest rozpoznawalne głównie poprzez „łącką śliwowicę”, dla nas to jeden z najpiękniejszych zakątków Polski.



Bożenna Turant-Chwalibóg, Krzysztof Chwalibóg

Fot. archiwum rodzinne Krzysztofa Chwaliboga

Historia rodziny Chwalibogów w czasach II wojny światowej to trudne czasy, gdy polski patriotyzm był zwalczany przez okupantów niemieckich i sowieckich. Pomimo tego, nadal jest to miejsce, gdzie rodzina Chwalibogów pozostawiła na zawsze swoje dzieje.

Ten tekst nie byłby kompletny, gdyby pominąć kwestię wydawnictwa, w jakim jest publikowany. Dlatego pragnę napisać kilka słów dotyczących wielkiego znaczenia, jakie ma istnienie „Almanachu Łąckiego” dla upowszechniania wiedzy o historii i kulturze Łącka, i całej ziemi łąckiej. To ogromna zasługa Pani Jadwigi Jastrzębskiej Prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej i całego zespołu redakcyjnego. Ich praca i talent tworzą nieocenioną wartość. Trzeba tylko życzyć, by Łącko nadal rozwijało się, i tacy ludzie jak ona, dawali możliwość zarejestrowania przeszłości, teraźniejszości z wizją przyszłości. To także wielka zasługa tych wszystkich osób i instytucji, w tym oczywiście władz gminy Łącko, wspierających „Almanach Łącki”!

Konkurs pt. „Porozmawiaj z babcią, zapytaj dziadka”

Okazuje się, że „Almanach Łącki” dociera do wielu ludzi w całej Polsce, inspiruje młodzież do szukania swoich korzeni, czego przykładem jest Michał Turek z Ptaszkowa w woj. dolnośląskim.

Konkurs pt. „Porozmawiaj z babcią, zapytaj dziadka” to wspólny projekt „Gazety Wrocławskiej”, Ośrodka Kultury i Sztuki we Wrocławiu oraz Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego organizowany we współpracy z Dolnośląskim Ośrodkiem Doskonalenia Nauczycieli. Konkurs, którego adresatami byli młodzi mieszkańcy województwa, został powołany dla uwiecznienia na papierze losów osób, które zasiedliły Dolny Śląsk po II wojnie światowej. Były to sentymentalne historie o ciężkich czasach oraz trudne wspomnienia, lecz dzięki próbie, którą podjęła młodzież, historia nie zapomni lokalnych bohaterów.

W regulaminie konkursu „Porozmawiaj z babcią, zapytaj dziadka” organizowanego cyklicznie przez Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu dla uczniów szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych można przeczytać, iż: *Celem konkursu jest pobudzenie świadomości na temat dolnośląskich migracji po II wojnie światowej, poznanie aspektów politycznych, gospodarczych i historycznych. Tych, którzy migracji doświadczyli w jej całym wymiarze, bądź w pokoleniu późniejszym, pamiętającym proces wrastania w nowe ziemie.*



Michał Turek, turniej szachowy w Polanicy Zdroju, sierpień 2017 r.

czyli w jej całym wymiarze, bądź w pokoleniu późniejszym, pamiętającym proces wrastania w nowe ziemie.

Michał Turek postanowił wziąć udział w w/w konkursie i, będąc wówczas uczniem klasy pierwszej gimnazjum, napisał pracę pt. „Szli na Zachód osadnicy...”. Przedstawił w niej losy swoich krewnych, którzy po II wojnie światowej osiedlili się na Ziemiach Odzyskanych i zamieszkali w okolicach Ptaszkowa. W nowej „małej ojczyźnie” musieli poradzić sobie z wieloma przeciwnościami losu i dostosować do trudnych warunków. Jury doceniło tę pracę i opublikowało w „Gazecie Wrocławskiej” (wydanie z dnia 6 czerwca 2017 roku).

Michał Turek powiedział: *Wspomnienia o życiu ówczesnych osadników napisałem na podstawie rozmów z najbliższymi żyjącymi krewnymi pamiętającymi tamte czasy oraz informacji zawartych w książce „Almanach Łącki”, wydanej przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej. Członkiem tego Towarzystwa jest moja ciocia Rozalia Kulasik, która zebrała wszystkie wiadomości. Na ich podstawie powstały wspomnienia o rodzinie, która tak bardzo rozproszyła się po wojnie. Marzeniem cioci jest, by wspomnienia pozostały w pamięci dzieci oraz wnuków i były całością wiedzy o rodzinie.*

Michał Turek urodził się 9 lipca 2003 roku we Wrocławiu, w czasie gdy jego rodzice właśnie ukończyli studia. Do rodzinnego domu we wsi Ptaszków przybył kilka



Porozmawiaj z Babcią, zapytaj Dzia

Szli na Zachód osadnicy...

● Moja rodzina przyjechała na Dolny Śląsk z Zarzecza, niewielkiej wsi na obrzeżach gminy Łącko, po prawej stronie rzeki Dunajec. Przyjechali „za chlebem”

Michał Turek
redakcja@gazetawroc.pl

Zaczynijmy od początku. Zarzecze to niewielka wieś, położona na obrzeżach gminy Łącko i powiatu nowosądeckiego, po prawej stronie rzeki Dunajec. Przed wojną była bardzo biedną i przeludnioną wsią. Już wtedy co odważniejsi mieszkańcy wyjeżdżali za chlebem w świat.

Jedni z „szyfkarci” (bilet okrętowy) do Ameryki, inni do Niemiec czy Danii lub w polski Śląsk i na Opolszczyznę. Wsią rządził wójt i tylko on mógł udzielić zgody na wyjazd. Czynił to jednak bardzo niechętnie, gdyż w ten sposób pozabawiał się taniej siły roboczej. Gdy jednak zgodził się na jakiś wyjazd, pozostała we wsi rodzina przez dłuższy czas odrobiła pozwolenie w jego gospodarstwie.

W drodze!

Po zakończeniu II wojny światowej i powrocie do Polski ziem zachodnich rozpoczęła się akcja osadnicza. Informowały o niej plakaty rozwieszane najczęściej w okolicach kościołów. Na Zachód ruszyli osadnicy z południa Polski, z gminy Łącko koło Nowego Sącza i z sąsiednich powiatów, w tym z Zarzecza.

Zarzeczanie masowo opuszczali wieś w poszukiwaniu lepszego życia. Wyjeżdżali przeważnie w kierunku Wrocławia i dalej za Odrę, gdzie górzysty krajobraz zdawał się przynosić im ro-

ci, którzy powrócili z przymusowych robót. Zdecydowali się w jednej chwili. Nie mieli nic do stracenia. Za nimi poszli następni, przeważnie młodzi.

Nowe życie

Latem 1946 r. z Zarzecza wyruszyli bracia mojego dziadka, Marcin i Józef Jurkowsky, mój pradziadek Antoni Gromala, obecni i byli sąsiedzi oraz wielu krewnych. Byli to ludzie bardzo młodzi. Zarzeczanie osiedlili się w rejonie Kamienniej Góry, Wałbrzycha, Jeleniej Góry. Tam objęli domy i gospodarstwa rolne, niektórzy znaleźli pracę w fabrykach i kopalniach.

Tamte odległe i nieco wyblakłe w pamięci lata wspomina mój dziadek, Wojciech Jurkowski: Moi najstarsi bracia – Marcin i Józef – wyjechali na Ziemię Odzyskaną latem 1946 roku. Osiedlili się wraz z innymi zarzeczanami w Ptaszkowie pod Kamienną Górą. Marcin podczas wojny przeżywał na przymusowych robotach we Wrocławiu. Wkrótce poznał siostrę mojej teściowej, Stanisławę Jaworską, z którą się ożenił.

Dziadek też tak opisuje swój początek w Ptaszkowie: „Przyjechałem na Dolny Śląsk w lipcu 1957 roku, 11 lat później niż moi bracia. Miałem ukończoną szkołę, zawód w ręku i chciałem się usamodzielnic. W Zarzeczcu nie widziałem dla siebie przyszłości. Bracia również zachęcali mnie do przyjazdu. Dałem się namówić. Zamieszkałem u Marcina, bardzo szybko znalazłem pracę w wyuczonym zawodzie szewca. W wolnym od pracy czasie no-

magalem braćmi w polu. Uczestniczyłem w życiu wsi, działając w straży pożarnej. Żony też nie szukałem daleko. Znalazłem ją w Ptaszkowie. Kryśka jest córką osadnika Antoniego Gromali z Zarzecza”.

W latach 1947-1948 mieszkający jeszcze w Ptaszkowie Niemcy zostali przesiedleni do swojego kraju, a osadnicy zostali sami. Brakowało im jednak rąk do pracy, stali więc listy do rodzin, prosząc o przyjazd. I tak następna partia osadników znalazła się na ziemiach zachodnich. W początkowych latach osadnicy stanowili jedną, sąsiedzką rodzinę. Wszyscy pomagali sobie w pracach, wspólnie świętowali z okazji imienin czy też z innych uroczystości.

Nie wszystko złoto...

Dziadek wspomina, że przez prawie 30 lat po wojnie osadnicy nie czuli się na tych ziemiach zbyt pewnie, ponieważ bali się, że Niemcy wrócą na swoje ziemie. We wsi bywało niespokojnie, zwłaszcza nocą, kiedy rozlegały się strzały, słychać było szuranie sprzętów i bieganie ludzi. To głasowały bandy szabrowników. Aby się przed nimi bronić, osadnicy założyli oddział samoobrony. W późniejszych latach przekształcił się on w ochotniczą straż pożarną. Komendantem został śp. Antoni Cwikowski, nasz sąsiad i pełnił tę funkcję bardzo długo. Później komendantem został mój pradziadek, śp. Antoni Gromala.

Wspomnienia pradziadka

Interesujące dla mnie są rów-



► Kamiennogórski bazar w początkach lat 60. XX w.

tam, bardzo tęsknił za bliskimi i rodzinną wsią. Zdecydował się na ucieczkę.

Uciekł późnym latem i pieszo wędrował przez Austrię, Węgry i Słowację. Drogowskazem było słońce. Miał świadomość, że jest poszukiwany, dlatego unikał ważnych szlaków, ludzi i zabudowań. Żył w tym, co znalazł w polu. Szedł około 3 miesięcy.

Gdy doszedł do granicy polsko-słowackiej, został schwytany przez tamtejszą policję. Za ucieczkę groziła mu śmierć

laman, który był kamiennogórskim chłodem z Sade- sto przyjeżdżał mawiać do osad- niach zachodnie

Pradziadek w nych ludzi z Zar- li na Zachód. Wy- wość Fogelsdor- Ptasia Wieś lub F- nie wieś nazywa- Zamieszkałi wu- miecka rodzin- dwóch latach- do Niemiec.

dni po narodzinach. Do trzeciego roku życia był jedynakiem, w 2006 roku przyszła na świat siostra Alina, a w 2010 roku brat Wojtek. Rodzeństwo jest bardzo ze sobą zżyte. Obok nich mieszka kuzyn Antek Maziakowski, urodzony w tym samym roku co Alina, oraz kuzynka Ala Komorowska urodzona w 2007 roku. Wszyscy spędzają ze sobą wiele czasu podczas zabaw, gier, grillowania, świąt i wielu innych rodzinnych uroczystości. W siódmej klasie został ministrantem i lektorem w parafii św. św. apostołów Piotra i Pawła w Kamiennej Górze. Michała od najmłodszych lat interesowały nauki ścisłe. W latach 2017–2019 uczęszczał do Społecznego Gimnazjum Edukacji Europejskiej w Kamiennej Górze. W tamtym czasie opisał losy swoich dziadków, którzy przybyli do Kamiennej Góry z okolic Łącka. Praca „Szli na Zachód osadnicy” została opublikowana w „Gazecie Wrocławskiej” 6 czerwca 2017 roku. Obecnie Michał jest uczniem liceum ogólnokształcącego o profilu matematyczno-fizycznym. Ma szerokie zainteresowania, bierze udział w licznych turniejach szachowych. Zdobył wiele nagród w ogólnopolskich turniejach, w tym mistrzostwo powiatu w tej królewskiej grze. Grą w szachy zaraził go wujek Marcin, mistrz szachowy, który od najmłodszych lat uczył go zasad i strategii tej najbardziej strategicznej gry. W wolnych chwilach trenuje piłkę nożną oraz eksperymentuje w kuchni, szczególnie ceni kuchnię włoską. Michał jest również chórzystą w szkolnym chórze działającym przy liceum ogólnokształcącym – śpiewa basem, a jego sympatia Julia, która zaangażowała go do chóru – sopranem. Swoją przyszłość Michał wiąże z aglomeracją wrocławską, tam chciałby ukończyć studia politechniczne, podobnie jak tata i wujek Marcin, założyć rodzinę, zamieszkać na obrzeżach tego pięknego miasta, a w wolnych chwilach wracać do rodzinnego Ptaszkowa.

Od redakcji:

„Almanach Łącki” jest wydawany od 2004 roku, to półrocznik historyczno-kulturalno-społeczny. W roku 2019 wydano numery 30 i 31. W kilku tomach ukazały się materiały dotyczące migracji ludności z terenów Ziemi Łąckiej na Ziemię Odzyskane. Autorką tych artykułów jest Rozalia Kulasik z domu Myjak, która urodziła się w Zarzeczcu.

Akcja osadnicza na ziemiach zachodnich rozpoczęła się niedługo po zakończeniu II wojny światowej. Informowały o niej plakaty, rozwieszane najczęściej w okolicach kościołów.

Na Zachód ruszyli osadnicy z południa Polski, z gminy Łącko, koło Nowego Sącza i sąsiednich powiatów, w tym z Zarzecza.

Zarzeczce to niewielka wieś, położona na obrzeżach gminy Łącko, i powiatu nowosądeckiego, po prawej stronie rzeki Dunajec. Przed wojną była bardzo biedną i przełudnioną wsią. Już wtedy co odważniejsi mieszkańcy wyjeżdżali „za chlebem” w świat. Jedni z „szyfkartą” (bilet okrętowy) do Ameryki, inni do Niemiec, czy Danii, lub w poznańskie czy na opolszczyznę. Wsią zarządzał wójt, i tylko on mógł udzielić zgody na wyjazd. Czynił to jednak bardzo niechętnie, gdyż w ten sposób pozbawiał się taniej siły roboczej. Gdy jednak zgodził się na czyjś wyjazd, pozostała we wsi rodzina odrabiała pozwolenie w gospodarstwie przez dłuższy, i dokładnie nie określony czas.

Po zakończeniu wojny i powrocie do Polski Ziem Zachodnich, Zarzeczanie masowo opuszczali wieś w poszukiwaniu lepszego życia. Wyjeżdżali przeważnie pod Wrocław, i dalej za Odrę, gdzie górzysty krajobraz zdawał się im przypominać rodzinne strony. Ruszyli masowo, na dopiero co odzyskane Ziemie Zachodnie, na których obiecywano domy, ziemię, lepsze życie. Bez żalu pozostawili nędzne, rozrzucone na zboczach, małe, przykryte słomą chaty. Niektórzy jednak nie dowierzali, że można za darmo coś otrzymać.

Najodważniejsi okazali się ci, którzy powrócili z przymusowych robót. Zdecydowali się w jednej chwili, nie mieli nic do stracenia. Za nimi poszli następni, przeważnie mężczyźni.

Z Zarzecza pełną falą, latem 1946 roku wyruszyli: bracia mojego dziadka Marcin i Józef Jurkowsy, mój pradziadek Antoni Gromala, obecni i byli sąsiedzi, wielu krewnych. Byli to bardzo młodzi ludzie. Zarzeczanie osiedlali się w rejonie Kamiennej Góry, Wałbrzycha, Jeleniej Góry. Tam objęli domy i gospodarstwa rolne, niektórzy znaleźli pracę w fabrykach i kopalniach.

Pamięć o tamtych czasach pozostała wśród żyjących moich krewnych.

Tamte odległe i nieco wyblakłe w pamięci lata wspomina mój dziadek Wojciech Jurkowski.

Dziadek mówi tak: „Moi najstarsi bracia, Marcin i Józef, wyjechali na Ziemie Odzyskane, latem 1946 roku. Osiedlili się, wraz z innymi Zarzeczanami, w Ptaszkowie pod Kamienną Górą. Marcin podczas wojny przebywał na przymusowych robotach we Wrocławiu. Wkrótce poznał siostrę mojej teściowej, Stanisławę Jaworską, z którą się ożenił”.

Dziadek tak opisuje swoje początki w Ptaszkowie: „Przyjechałem na Dolny Śląsk w lipcu 1957 roku, 11 lat później niż moi bracia. Miałem ukończoną szkołę, zawód

w rękę i chciałem się usamodzielnąć. Zamieszkałem u Marcina, bardzo szybko znalazłem pracę w wyuczonym zawodzie szewca.

W wolnym od pracy czasie pomagałem braciom w polu, uczestniczyłem w życiu wsi działając w straży pożarnej. Żony też nie szukałem daleko. Znalazłem ją w Ptaszkowie. Krysia jest córką osadnika Antoniego Gromali, z Zarzecza.

Dziadek wspomina, że przez prawie 30 lat po wojnie, osadnicy nie czuli się na tych ziemiach zbyt pewnie, ponieważ bali się, że Niemcy wrócą na swoje ziemie.

We wsi bywało niespokojnie, zwłaszcza nocą, kiedy rozlegały się strzały, słychać było szczekanie psów i bieganie ludzi. To grasowały bandy szabrowników. Aby się przed nimi bronić, osadnicy założyli oddział samoobrony. W późniejszych latach, przekształcił się on w ochotniczą straż pożarną. Komendantem został śp. Antoni Cwi-kowski, nasz sąsiad, i pełnił tę funkcję bardzo długo, później komendantem został mój dziadek, śp. Antoni Gromala.

W latach 1947-1948 pozostali w Ptaszkowie Niemcy zostali wysiedleni do swojego kraju, Niemiec, osadnicy pozostali sami. Brakowało im jednak rąk do pracy, ślali więc listy do rodzin, prosząc o przyjazd. I tak następna grupa osadników znalazła się na Ziemiach Zachodnich.

W początkowych latach osadnicy stanowili jedną, sąsiedzką rodzinę. Wszyscy pomagali sobie w pracach, wspólnie świętowali z okazji imienin, czy też innych uroczystości.

Interesujące były dla mnie również wspomnienia mojego śp. pradziadka Antoniego Gromali, Zarzeczanina, który zapisał bogatą, i ciekawą w wydarzenia kartę w swoim życiorysie. O tych wydarzeniach opowiedziała mi moja babcia.

Pradziadek w wieku 21 lat został wywieziony na przymusowe roboty do Austrii. Przebywając tam, bardzo tęsknił za bliskimi i rodzinną wsią. Zdecydował się w końcu na ucieczkę.

Uciekł późnym latem i pieszo wędrował przez Austrię, Węgry i Słowację. Drogowskazem było słońce. Miał świadomość, że był poszukiwany, dlatego unikał ważnych szlaków, ludzi i zabudowań. Żywił się tym co znalazł w polu. Szedł około 3 miesięcy. Gdy doszedł do granicy polsko-słowackiej został schwytany przez tamtejszą policję. Za ucieczkę groziła mu śmierć lub obóz koncentracyjny. Przebywając w tymczasowym obozie, cudem nie zachorował na tyfus. Tam też go zastał koniec wojny. Po demobilizacji powrócił do ukochanego Zarzecza. W Łącku los zetknął go z człowiekiem o nazwisku Kalman, który był pierwszym kamiennogórskim starostą. Pochodził z Sądecczyzny, i często przyjeżdżał do Łącka namawiać do osadnictwa na Ziemiach Zachodnich. Pradziadek wraz z grupą innych ludzi z Zarzecza, wyjechali na Zachód. Wybrali miejscowość Fogelsdorf, po polsku Ptasia Wieś, lub Ptaszyn. Obecnie wieś nazywa się Ptaszków. Zamieszkali wspólnie z niemiecką rodziną, którą po dwóch latach przesiedlono do Niemiec.

Czas poszukiwań lepszego życia, wśród Zarzeczan, trwał do połowy lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, w późniejszych latach ilość wyjazdów wyraźnie uległa

zmniejszeniu, chociaż młodzi ludzie dalej wyjeżdżali za pracą, po ukończeniu szkół. Było im łatwiej, bo drogę utorowali starsi kerwni.

Wspomnienia o życiu ówczesnych osadników napisałem na podstawie rozmów z najbliższymi, żyjącymi krewnymi, pamiętajacymi tamte czasy, oraz informacji zawartych w „Almanachu Łąckim”, wydawanym pod patronatem Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej. Członkiem tego Towarzystwa jest moja ciocia Rozalia Kulasik, która zebrała wszystkie wiadomości, i na ich podstawie powstały wspomnienia o rodzinie, która tak bardzo rozproszyła się po wojnie. Jej marzeniem jest to, by wspomnienia te pozostały w pamięci dzieci i wnuków, i były całością wiedzy o rodzinie.

Urodzić się, a obudzić, to dwa całkiem odmienne stany.

Nie mówmy więc o urodzeniu. Mój stan cywilny nie istnieje.

Nie mam metryki, dowodu tożsamości, aktów małżeńskich, a nawet nazwiska.

Nie zostawię testamentu, bo nawet nie mam komu. Niczego też nie posiadam. Jedynym aktem po mnie, zostaną zapisane przez ciebie słowa: moja opowieść, którą odziedziczysz. A jeśli się postarasz, podobnie jak ja, opowieść ta może trwać i trwać, nieznająca początku ani swojego końca. Jeśli się postarasz!

Zostawiam ci wolną rękę i najszersze otwarte pola, z których jeśli wola twoja możesz zbierać nieograniczone niczym plony. Możesz brać nie tylko to, co wyrosło ze mnie. Zaś aby żniwa były obfitsze, spichlerze bardziej pełne, zgarniaj też co twoje. Bierz nawet z innych, jeśli uznasz, że warto. Bądź panem i władcą szerokich zagonów. Nie bądź jak głos stojącego z założonymi rękami zapisany w księgach: „Żniwo wprowadzie wielkie, ale robotników mało”, lecz otwórz własne, zbierając nimi i zapisując aż do strony ostatniej. Choćbyś czasami mnie nie słyszał. Nie dostrzegał nad sobą, daję ci prawo nie przerywać. Iść od zdania do zdania. Wkraczać na margines. A nawet, niech Cezar Rubikon, przekraczać go; na wzór Charona żeglować po białych morzach papieru. Niech słowa będą niczym dusze. A twoja w tym sprawa czy zostaną na żywotnym brzegu, czy przewieziesz je do krainy umarłych. Będąc nikim, czy tylko nim, nie mam prawa zabronić ci niczego. Proszę tylko o jedno: nie zostaw mnie takim, aby uwierzyli, że moja postać to całkowita fikcja. Nie uczyni mnie takim, by byli przekonani, że mogę być bezgranicznie prawdziwym. Pamiętaj, mój stan cywilny nie istnieje! A teraz siadaj i pisz, a ja opowiadać ci będę.

W krainie żywych chcesz zostać, a zarazem być w niej nieobecnym.

Chcesz mówić, milknąć i zasypiać, pojawiać się i znikać. Zaiste, anielską rolę pozostawiłeś dla siebie. Wiedz jednak, że nie podjąłbym się czegoś podobnego, za nic nie usiadł nad kartką papieru, gdyby nie to, że zostawiasz mi wolną wolę i rękę.

Nie będę narratorem, świadkiem twojego bytu czy też nieistnienia.

Powiem, że chociaż marne są moje możliwości literackie, odpowiada mi taki stan rzeczy. Niemniej sam biorę odpowiedzialność za powodzenie czy klęskę naszego projektu, bo w razie porażki ty i tak nie istniejesz.

Jeśli więc chcesz mnie sprawdzić, wysługiwać się mną, postaram się sprawić, abym to ja, a nie ty, te karty rozdawał. Na nic więc twoje znikanie, zasypianie.

Znajdę cię, gdzie sam zechcę. Obudzę w najbardziej nieodpowiednim momencie, miejscu i czasie. Dla własnej korzyści dam ci imię, a może wiele imion. Zmienię język z archaicznego na współczesny, nawet kiedy będzie to sprzeczne z obyczajem panującym w czasie. Wpiszę w prawdziwe nazwy miejscowości, krainy, rzeki, miasta, nie



omijając przy tym miejsc wiecznego spoczynku. Zachowując równowagę między życiem a śmiercią, o którą sam zresztą prosisz.

Śmiechem wykopię cię spod ziemi, abyś uwierzyć mógł mi łatwiej,
że nawet kamień można zmienić, kiedy się wszystko pięknie zacznie.
A kiedy już mi zaczniesz chodzić, zwiążę ci palce w dłoniach mocno,
abyś mógł wrogom nimi grozić, kiedy nie będziesz mógł ich dotknąć.

Zgarnę ci, chłopcze włosy z przodu, zwiążę w kok poniżej karku,
byś nimi nie wycierał podłóg, byś się nie kłaniał, bóg wie za co.
Na końcu cię nauczę płaczu, choć powinienem z pierwszym krokiem,
byś mógł doświadczyć, co to znaczy, kiedy poczujesz, że to koniec.

Zaczynamy...

To była biedna i cicha wieś. Cicha jak bieda, biedna jak cisza – pełna symetria między zjawiskiem fonetycznym, a pojęciem ekonomicznym. Symetria i wzajemna adoracja ciszy chodzącej z biedą pod rękę lub (jak kto woli) leżącej na przednówkowej chłopskiej miedzy z wygłodniałymi oczami wpatrzonymi tam, gdzie pańskie i plebańskie srebrzą się okna.

Zaczekaj!

Jakim prawem dajesz im oczy?! Gdzie tu sens, aby zjawisko z pojęciem układać na chłopskiej miedzy? Dlaczego filozofujesz i kluczysz, a nie powiesz, że to ja. On. Ten,

który nigdy się nie urodził, a właśnie przebudziłeś go ze snu. Ten, którego wiara nie kończy się na jednym, lecz wielu odejściach, po których kolejne przebudzenia nie są podobnymi kolejami losów, lecz różnorodnością przeplataną dramatami połączonymi z ziemskim szczęściem, dla którego matka ziemia to nic innego jak okrągła mydlana bańka połączona początkiem i końcem w punkcie, którego nie sposób odgadnąć, odszukać. Może inaczej widzę to wszystko jak inni, jak ty sam, ale gdybyśmy wszyscy patrzyli jednakim rozumem, czyż nie byłibyśmy jak pospolite baby praczki, które nad brzegami potoków mydłanymi oczami wygladzają niebo, śniąc o archanielskich skrzydłach, które im kiedyś układać przyjdzie. O śnieżnobiałej materii, osnowie wiecznej rozkoszy jakże odmiennej niż tarte z wściekłością stare chłopskie gacie.

To moja wieś, więc pozwól, że sam, w pierwszej osobie opowiem o niej.

Nie pozwolę, by ją poniżyć, oczerniać, przedstawiać w niekorzystnym świetle – jak choćby te pańsko-plebańskie pałace srebrzyste.

Głodny jestem i chłód wygnał ciepłość z mojego ciała. Ech! Gdyby w tej wiosce była jakaś maleńka plebania... Gdyby świecił jakikolwiek dwór... Podobno kiedyś w Majdańskiej dolinie dymiły huty szkła. A gdzie dym, tam i ciepło, bo nie masz „dymu bez ognia.” Najlepszy to druh człowieka wędrownego, bez własnego domu, kufajki i filców.

Chodził po wsi i z wiatrem się bawił.

Obejmował rękami i głaskał.

Ten mu przy tym kieszenie dziurawił
i kapelusz „co łaska, co łaska”.

Ponoć chodził i trzymał też z psami.

Wodę w miskach zamieniał im w wino,

coś rozmnażał i potem tym karmił

(choć w tym pewnie już mniej prawdy było).

Wieczorami rysował anioły.

Często kładł się tuż przy nich na piasku,

między skrzydła układał tył głowy,

by dziecinnie udawać, że zasnął.

Wstawał wcześnie. Przywracał kształt piórom;

twarze z nocy podkreślał im na dzień;

a odchodząc, uśmiechał się głupio,

jak cerkiewny pastuszek do marzeń.

Szedł, a w ręce oglądał koralę.

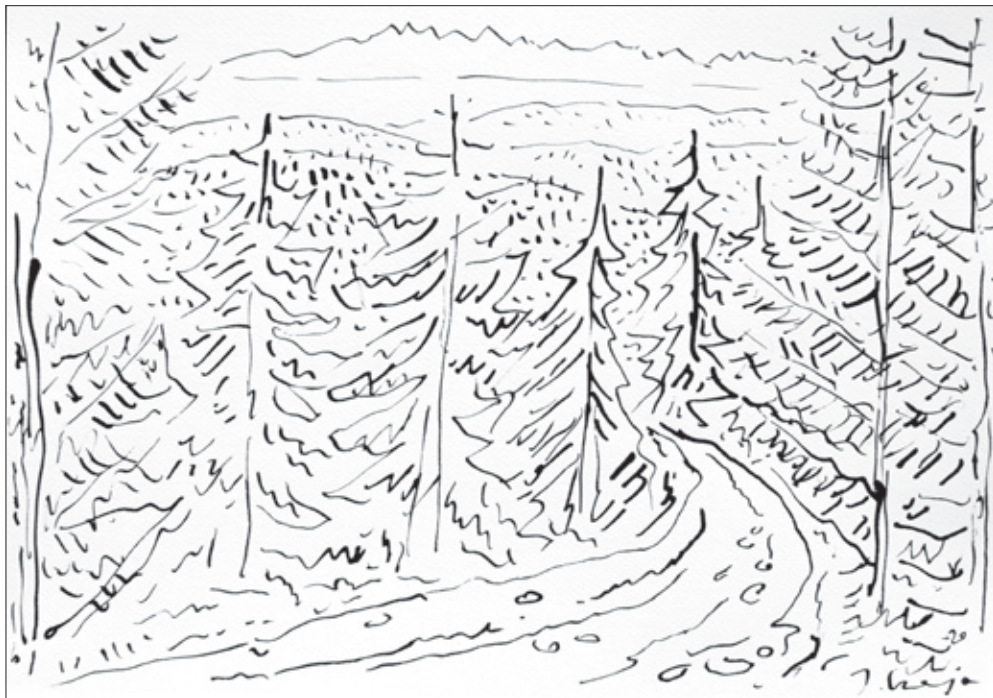
Co w nich szukał, kornika czy Boga?

Raczej Boga, bo nisko się kłaniał,

jego śladom wiszącym przy drogach.

Znowu wracał i bawił się z wiatrem.
Obejmował, oplatał w różaniec.
A przed nim przekwitały już sady,
w jego wiosce drewniano-słomianej.

Wiersze. Są i tacy, co twierdzą, że literackie dzieła, jak małe ogniska sprawiają radość. Dają ciepło. Kurczą żołądki, aby przestrzeń przeznaczoną dla uczucia głodu wyssać, zaś wolne miejsce zostawić dla brzęczących skrzydełkami kolorowych motyli. Szanując każdą istotę, nie będę wypowiadał się w czyimś imieniu, tym bardziej że moja rola, jak w powyższych strofkach z góry skazana jest na to, aby każdy wznioślejszy temat pożegnać niskim skłonem głowy, sztubacko zagrzebując przy tym pasterskim kijkiem głęboko w ziemi. Zakończyć wszechobecnym słowem – amen. Odejść i nie wracać już nigdy do tematów przypisanych filozofom lub innym jednostkom czerpiącym nieograniczoną wiedzę i moce z nektarów przenoszonych na skrzydłach nietoperzy. Mówiąc: amen i odchodząc od wspomnianych już tematów, nietrudno dostrzec, że wszystko, co w nich zawarte nie zaspokaja mojego głodu, a nawet, „ni ziębi mnie to wcale, ni grzeje”. Nie spływa na mnie żadna jasność, nie napęlnia mojej duszy, nie wypełniła innej części ciała. Nie odganiam przy tym kolorowych motyli, pozwalając im istnieć w przestrzeni, jaka mnie otacza. Nie zasłaniam ani nie bronię nikomu dostępu do jasności, pomny i godzący się z zasłyszonymi kiedyś słowami, że światło w przeciwieństwie do mroku to zjawisko nadzwyczaj drogie, przypisane wielkim bogaczom, bądź istotom próżnym, niezdającym sobie sprawy, że rachunek za nie wraz



z wieczystymi księgami trafi w końcu przed oblicze niezawisłego sądu a nieprzekupny komornik rozliczy z każdej kilowatogodziny zapisanej licznikiem żywota.

Nie nazywajcie mnie też istotą ciemności, kiedy powiem, że o wiele częściej to właśnie mrok, a nie jasność bywa dla mnie bardziej przytulnym i ciepłym otoczeniem. Tak, tylko ciemność potrafi sklejać przytulne ściany domów. Zamykać do nich drzwi, zasłaniać okna, jak kocem otulać do snu. Kiedy tymczasem otwarta jasna przestrzeń to nic innego jak śmierć, kostucha czyhająca na ciebie w otwartym polu. Nie zbudujesz z niej szałasów czy domu. Jest niczym zerwany welon z uciekającej panny młodej, im dalej od niej, tym bardziej zimową mgłą zamiast gorączki nadchodzącej nocy przypominający. Niczym wyborczy plakat darowany z czasem psu na budę, z którego prawa strona ma jeszcze nikłą nadzieję, że trafi do środka i chociaż pies z kulawą nogą będzie mordę z niej lizał.

Piszą o nas, opowiadają. Ile w tym prawdy. Ile bajek mitów czy faktów. Nie dbamy o to i wiercie mi, my wcale nie jesteśmy ludźmi mroku. Pewnie widzą nas czarną stroną wsi. Mrocznym marginesem miast zepchniętym na przedmieścia, ale nie jesteśmy w tym pierwsi jedyni czy ostatni. Naszym prawem jest być, nie sądzić. Mówcie o nas, jak chcecie, ale nie zabierajcie nam woli, kiedy dziad do dziada, żebrak do nędzarza zechce powiedzieć – bracie. Kiedy niewidomy, rzucając grochem o ścianę, trafi wreszcie głuchoniemego i nazwie światłem swoich oczu, a ten zaślepiony na odwrót swoim szczęściem niepojętym pomyli fazy księżycy wypowiadając czymś tam, niezrozumiałe dla innych słowa:

Jutro, kiedy znowu
wyjdziemy na ulicę,
powiedz wszystkim ludziom,
że cud się stał
na ich oczach.

A ja,
jak potrafię najpiękniej,
będę udawał, że widzę,
tak, by ich wielka radość
obsypała nas
złotem...

Niemniej nie twierdzę, że neguję wszystko, co wyżej napisane. Powiem nawet, iż zgadzam się z fragmentami, szczególnie kiedy chodzi o charakterystykę mojej własnej osoby. Postaci dziwaka. Odludka oderwanego od rzeczywistości, ludzi a nawet czasu. Oddając się wolną chwilą podobnym praktykom, wynikającym nie z chęci, lecz ukształtowania mnie przez Stwórcę. Matkę naturę, która dała mi te wszystkie rekwizyty przyrodnicze, jak i z czasem wyzwoliła taki, a nie inny sposób obcowania z nimi. Każda tamta, a nawet współczesna wieś ma, często nawet po kilku podobnych mnie,

niesłusznie spychanych na margines, lub całkowicie wykreślanych z parafialnych ksiąg postaci. Nie dbamy szczególnie o to. My, przeważnie nieumiejący czytać, niepiśmieni. Żyjemy w tych społecznościach pełną piersią. O kim, jak nie o takich najczęściej się opowiada, tworząc przy tym nawet prawdziwe legendy, podkolorowane dla większych wrażeń, aby wydzwięk naszych sylwetek, losów budził w oczach słuchających jak najmocniejsze wrażenia. Skoro wyzwalamy podobne refleksje, to nie powinniśmy być odbierani jako bezużyteczne „dobro” zsyłane na ziemię. Nie jako pocziwe „zło” przypisywane jej dla równowagi. Choćby nazywać nas jakimiś odpadami, śmieciem nadającym się jedynie do koszy współczesnej cywilizacji.

Nic tego nie zmieni, jesteście wspólnym twórcywem ziemskiej wspólnoty.

Ekosystemem tworzącym całokształt ekologii. Jesteście potrzebni, choćby jako ostatni paciorek w koronce, bez którego nie zamkniesz jej w całość. Jako najślabszy kwiat z jabłoni, z którego potrafi wyrosnąć najdojrzałszy, najsmaczniejszy owoc. Jeśli jesteście ostatnim guzikiem u płaszcza. Oderwij nas. Wyrzuć. Może będzie ci lżej, ale gdy przyjdą słoty, wietrzne czasy, będziesz nas szukał zmarzniętymi rękami. Nie znajdując, w końcu wyrzucisz swoje okrycie, bo po co kapota, spod której ucieka ciepło, a w jego miejsce dostaje się wiatr i deszcz.

Jest jeszcze ktoś, kto dalej mnie słucha? Pewnie wielu odeszło mówiąc: Nie przygotowałeś się chłopcze. Płaczesz i powtarzasz zasłyszane od kogoś tematy. Jesteś zwyczajnym epigonem, tak w przedstawianych sytuacjach jak i w całej swojej nikczemnej postaci. Jesteś młodocianym złodziejem powtarzającym mądrości wiekowych starców. Wyrośniętym bucem okradającym z marzeń małe dzieci...

Drewniana wieś.

Która to już siekiera, który ośnik, jakie ze sobą noszę.

Wykruszyło się, połamało. Ale tak to jest, kiedy młodość daje ci prawa, by słabość nie była wytykana palcami. Nie była kolejną łatą na potarganych konarami portkach, czy koszuli zapiętej na zardzewiały od potu, z każdym rokiem coraz cieńszy drut, który tym różni się od dratwy, że łatwiej go zwinąć, a nie, aby ją związać delikatnych palców i świętej cierpliwości wymaga.

Lasy były i są tutaj wszechobecne. Gromadami, jak rycerze oblegający twierdzę schodzą ze zboczy, wdzierają się w rzeczne kotliny, zaglądają w okna każdej chaty, zabierają ogródki, przywłaszczają pola.

Walka z nimi trwa od świtu do nocy. Bywa, że nawet tygodniami nie gasną wielkie ogniska podsycane wciąż i na nowo tym diabelnym chwastem, który gdyby nie to, że nadaje się na budulec albo opał w piecu niechybnie przeklęty szczelby, lub na wieczne potępienie skazany został.

Wybaczcie, tym złorzecznym słowom małego wyrobnika, nieposiadającego woźniczych uprawnień, ani byle jakiej pociągowej chabety służącej do zwózki czarnego złota, jak nazywają niektórzy wsiowi wybrańcy połacie dorodnych jodeł, świerków, buków rosnących nad potokiem w Jasienniku, pod Dzwonkówką, Bukowiną czy w innych oddalonych od wioski okolicach.

Zimowe ślizgawice to dla furmanów najlepszy czas na żniwa.

Ładują więc skoro świt na ciężkie lasowe sanie, łańcuchy, siekiery, capiny. Wygrzebany z sąsiedka najlepszy owies jako obrok dla konia i ruszają opatuleni niczym Eskimosi albo inne syberyjskie plemię do swojej tajgi czarno-złotej.

Hej! Niesie się potem po lasach głośne: Hejta, wiśta, wioooo! Jakby sam Wyrwidąb z Waligórą za bary się brali, walcząc na śmierć i życie albo chwalili własne męstwo przed zachodem bajki.

Czy żyją gdzieś na ziemi ludzie nieznający bajek?

Jeśli tak, to pewnie są oni bardzo głupi. Nie wiedzą, że nawet za siedmioma rzekami, siedmioma górami wcale się ona nie kończy. Nie wierzę w latające smoki, ale tylko dlatego, że żaden jeszcze nie przelatywał po moim niebie. Nie mam też potrzeby wątpić w ogromne zamki, okręty pływające po rzekach zwanych morzami. Królestwa krasnali leżące daleko za każdą z siedmiu. Skąd ja to znam, kiedy nie pamiętam, aby ktoś mi je opowiadał. Pewnie to sny nauczyły mnie ich, podobnie jak marzeń.

Sen i marzenie, jakie to bliskie, jednoznaczne. Sam najczęściej marzę o śnie. Gdybym jeszcze potrafił wyśnić spełniające się marzenia, pewnie pierwszym byłoby, aby dobry sen należał mi się zawsze, a nigdy nie był niespodziewanym podarunkiem od losu.

Wracając do furmanów, ściągali oni całymi dniami potężne kłody aż nad sam brzeg Dunajca, oddając skubikowany dorobek w ręce flisaków, z którego ci tworzyli potężne tratwy, płynąc potem na nich daleko, daleko, gdzie nawet ludzka myśl sięgając, pobłądzić może. Wraz z zachodem zimnego słońka, spoza wszystkich wzgórz otaczających furmańskie szlaki wlewał się siarczysty mróz, polerował, wygładzał torowiska pozostałe po ściągniętych kłodach, tworząc z nich bajeczne zjeżdżalnie, na czym się dało dla wsiowej dzieciarni, a nawet starszych, którym chłód zimowych wieczorów wydawał się mniejszy na polu, niż we wnętrzu własnych kuchni, gdzie rozgrzany zapiecek służył w pierwszym rzędzie dla dziadka i nieodłącznego smakosza ciepłego udoju czarnego kocura Błażeja.

Szczęśliwcem był ten, któremu udało się cichaczem wykraść ze szopy wąskie świńskie koryto, podwędzić niedziurawą jeszcze miednicę, jakiś cebrzyk nie za bardzo kanciasty... To nic, że darły się przy tym matki, ojcowie, porcieta. Najważniejsze było to, aby choć przez chwilę poczuć, że goniący ich czas w jednej chwili tak prędko potrafi uciekać.

Słomiana wieś.

Myliłby się ten, kto sądzi, że słoma to synonim ubóstwa, a jako materiał nadaje się najbardziej na posłanie i gnój. Słoma podobnie jak drewno była bogactwem tej wsi. Jakże bliski mi dzisiaj ten kłujący siennik u pewnego gospodarza, który darował mi go wraz z kącikiem w wilgotnej komórcie własnej chaty.

Chatki, gdzie pod słomianą strzechą mieszkali w zgodzie, tak Bóg, człowiek, jak i pożądana gromadka domowego ptactwa i zwierząt.

Noe! Nie wyrzucaj mnie nigdy z tej arki przymierza. Pozwól, abym i ja mały mógł śledzić odlatującego białego gołębia i doczekać chwili, kiedy nie powróci już nigdy. Dając jasne sygnały, że i ja kiedyś za górami, za lasami znajdę podobnie szczęśliwy łąd, zbuduję własny dom, posadzę drzewo...

Ja, który w razie potrzeby dla całej reszty byłem jakby mnie wcale i nigdy nie było. Starczyło zachodzące słońce, a już gubili mnie przy bukowym stole, na którym wieczera z jednej miski byłaby dla mnie nie tylko codziennym dopełnieniem odchodzącego ciężkiego dnia, ale rozpoczynającym się wstępem do najciekawszego preludium długich jesienno-zimowych wieczorów, podczas których pierwsze skrzypce odgrywał gospodarz. Pan i władca nie tylko rzeczowego ogniska, ale wielu innych ról odziedziczonych po dziadku. Dzisiaj staruszkę, wyschnięty niczym jaworowy listek lub gruba sieczka pogruchotanego tytoniu rozłożona na obrusie w miejscu pozbawionym wilgoci. Tym samym ojcem ojca, który z wiekiem ze środka kuchennej sceny na zapiecek popchnięty został. Zdarzało się niejednokrotnie i mnie samemu uczestniczyć z bliska w tej duchowo cielesnej uczcie. Nie był to raczej jakiś nadzwyczajny dopust boży, lecz niedobór słuchaczy, przed którymi wszechmogący gazda swoje szumne szopki odgrywał. Zaharowany po łokcie za dnia. Pociągający cichaczem i dla kurażu, jeden raz przepędnoną labaruchę, poukrywaną w różnych zakamarkach, sąsiekach, ptasich gniazdach czy lipowych dziuplach w głębiach lasów pochowanych, wieczorem odważnie stawiał całą pękatą litrówkę na bukowym. Blaszyany garnuszek przy niej. Jak długi kładł się na szlufanku i dalejże zdrówkać do wszystkich starszych nie omijając przy tym i dziadka, szeleszczącego paciorki na rozgrzewającej krzyże piecowej nalepie. Gwiazdorstwo gazdy, początkiem wysublimowane. W spojrzeniu, gestach i myśli wciąż trzeźwe, z biegiem ubywającego w butli płynu, stawało się coraz bardziej śmiałe, nonszalanckie, rubaszne a nawet w dalszej kolejności w grozę przechodzące. Nie kto inny, jak on ci to był. Tym, który oczyścił kładkę za Starą Karczmą z siedzącego na niej potwornego dziada, diablím kopytem nazwanego. On jedyny, pierwszy i ostatni przetrzymał całą noc, włócząc się i targając z wieloraką odmiennością duchów zamieszkujących pewną chatkę nad Dziołem. Uwolnił ją w końcu od czarnych mocy, chociaż zbyt późno, gdyż moce te zebrały swoje nieczne żniwo, topiąc w potoku jednego z muzykantów wiejskiej kapeli o nazwisku Koza, którego zawodzenia można po dziś dzień usłyszeć, przechodząc drogą nieopodal. Coraz bardziej rozgrzany, przejechał się jeszcze na kilku duchach błędzących tamtymi czasy po okolicy. Uzbrojony w ponadprzeciętne męstwo i słoiczek święconej wody uśmiercił po drodze kilka czarownic. Oczyścił leśne bagienko z taplających się w nim topielic, pozbywając się przy okazji filcowych gumiaków, zbyt luźnych na jego wierzgające z przejęcia nożęta, które odpadając jako pierwsze, wieszczyły rychłe zakończenie kuchennych jasełek z przewodnią rolą Turonia, mistrzowsko odtwarzaną przez dzisiejszego bohatera wieczoru. Myliby się jednak ten, kto przypuszczał, że wraz z oderwanymi od reszty filmami taka sama filcowana cisza i senność zagości wreszcie na scenie, pozwalając ziewającej działwie zmówić wieczorny pacierz, przytulić błogi sen, choćby w połowie podobny, jak ten przytulony przez dziadka na nalepie, którego wzmocnione procentami chrapanie przesuwalo pokrywki na garnkach, drzemiące na zimnej już kuchennej blasze. Chyba jedynie ja, jako wnikliwy obserwator odgrywanych przez gazdę poszczególnych sekwencji. Przewidujący też jego artystyczne zapędy i możliwości, nie myliłem się, że to nie przypadek, ani żadna inna śmierć zżuły z chłopą gumowce. (Nagle o zawrót

głowy przyprowadzające), lecz odpadły na klepisko tylko z jego własnej inicjatywy. Pozbywając się tego, nieco ciężkiego balastu zerwał się z ławy. Dopiół resztę samogonu i niczym głuszcę, dostając nagle skrzydeł w trymiga przytaszczył z sieni drewnianego dziada, służącego z pokolenia do różnych gospodarskich pomocy. Kiedy bosymi nogami wdrapał się na drewniaka. Wzniósł ręce ku powale. Wiedziałem, że akt ostatni jego dzisiejszej sztuki, niczym amen w pacierzu niechybnie nastąpić musi. Jedno mnie tylko zaskoczyło, a mianowicie już sam początek przedstawianej z rozmachem opowieści. Rękę bym sobie dał obciąć, że nie dalej jak kilka miesięcy wcześniej w podobny sposób odgrywał ją, przebudzony nagle, śpiewający zbóżne piosenki wysuszony dziadek na nalepie. Inaczej to wyglądało niż dzisiaj.

Chociaż obydwaj przypisywali sobie udział w tym zdarzeniu. Dziadek, niestety, miał mniej rekwizytów oraz odbiorców odgrywanej właśnie sztuki. Jego jedynym rekwizytem było to samo drewniane dziadziśko przywleczone z trudem do stodoły. Widzę, niestety, tylko ja sam, niemniej, gdyby nie wyjazd na jarmark reszty domowników, odegranie tej sztuki przez dziadzię nie miałoby najmniejszej szansy powodzenia, tak przez dostępność manekina, jak i procentowych wspomagaczy, zamykanych przed nim jak święcona woda przed diabłem. Wracając do samego scenariusza, nie różnił się on szczególnie treścią przedstawianą w obydwu wersjach, może jedynie ta, przedstawiana przez młodszego, była nieco bardziej potłuczona i większe czyniła szkody, tak dla samego odtwórcy oraz wspólnego gospodarskiego dobytku gromadzonego z dziada pradziada, choć w gruncie rzeczy przedstawiająca podobne wartości. Jeśli idzie o same nadprzyrodzone duchy, wywoływane wcześniej do tablicy i bezwarunkowe rozkładanie ich potęgi na czynniki pierwsze, rzecz wydaje się dziecinnie prosta, wręcz banalna, o czym świadczyły ziewające odgłosy, pochrapywanie dziadziunia, dogasające iskierki w popielniku. Heroiczna opowieść o morderczej walce człowieka (gazdy) wracającego z grzybów od Prehyby, który na swoim szlaku, gdzieś nad Nową Wsią staje oko w oko z przepowiadającym od wieków ludożerczym gadem, królem węży z koroną na głowie i całodzienna walka z nim. Samymi odgłosami mroząca krew w żyłach okolicznej ludności, aż poza granice Skrudziny, poza Gaboń, Dunajec i Poprad. Jednak sama opowieść nie wystarczyła bosonogiemu pogromcy, gwiazdowskiemu tamtego wieczora. Niczym oparzony wrzątkiem kocur ułapił się dyndającego pod powalą orczyka, wytrzymującego tonaż pokaźnego wieprza domowego chowu (co najmniej ze spyrką na cztery palce), okręcił się wokół niego przepisowe trzy razy, splunął za siebie – na psa urok, pomijając nawet to, że tym razem trafiło na dziadka, jakimś cudem, (w wielkiej nietrzeźwości swojej), zrobił karkołomny wymyk, odbił się gołymi piętami od powały i niczym szturmujący myśliwiec wpadł na dziada. Tak samo tutaj, jak i tam na leśnej polanie bestia nie dała za wygraną.

Rozkwaszona dolna warga. Powiększający się z każdą sekundą, jak u jednorożca guz na środku czoła, rozwścieczył podniebne najeźdźcę do tego stopnia, że nie zważając już na żadne ubytki, tak w dobytku, jak i na ciele, roztrzaskując do reszty węża dziada, wgryzł się w jego szyję zębami, czego dowodem były ostatnie dwa tkwiące w uprzątniętym nazajutrz ciele bestii. Bóg raczy wiedzieć, na czym za-

kończyłoby się to przedstawienie. Nie zatrzymały go nawet baby skubiące pierze w drugiej izbie.

Niczym ludożerczy Don Kichot wpadł tam niby w pogoni za niedokończonym gadem. Rozpirzył babski urobek spoczywający na białym prześcieradle, wrzeszcząc w niebogłosy, że to trociny z rozszarpanej bestii, a nie pierze ścielą właśnie plac jego bitwy. Jego wielkie zwycięstwo i dorzynywanie potwornego gada nie miałoby pewnie końca, gdyby nie porwał się za garnki spoczywające na blasze, w które wysuszony dziadek dla podtrzymania rytmu walił laską jak najęty. Można pokonać na kładce za Starą Karczmą diabła z kopytami. Całą noc wytrzymać z nieobliczalnym plemieniem duchów, wiedźm i upiorów. Można pokonać samego króla węży. W zasadzie można wszystko, ale odebrać dziadkowi jego ulubione zabawki?

Tak jak wspomniałem powyżej: Widziany najbardziej za dnia podczas najcięższych robót w zagrodzie czy w polu. Wieczorem stawałem się niewidocznym.

Byłem jak pies na łańcuchu. Tylko mnie w odróżnieniu od niego, nie za szczekanie, lecz za

milczenie należała się miska strawy, garnuszek wody zaczerpnięty ze studziennego wiaderka.

Leży przy budzie i marzy,
że gdzieś tam, gdzie łańcuch nie sięga,
gdzie istnieje świat nieobwążany,
gdzie nie wiąże żadna przysięga,
nie uciska języka kaganiec.

A gdzieś tam z łańcucha urwany
wciąż zaszczuty skazany na dzicz
odda wszystko za łańcuch kaganiec,
byle znowu mógł leżeć i śnić.

Czułem ten łańcuch. Uciskał mnie kaganiec, ale gdzie miałem odejść.

Ja, nienarodzony, ale obudzony w tej właśnie wiosce. Nieznający szerszego świata, bo coś znaczył ten kawałek nieba od Sopotowca po Koziarz. Od Przysłopu w otwartą jazowską dolinę, gdzie i tak bystry Dunajec był żywą granicą dla ludzi roztropnych, bojaźliwych. Albo jak w moim przypadku zbyt młodych na desperację. Ciekawiło niezmiernie, jak tam jest (podobno wszystko większe).

Czy i tam wielkimi krowami orzą pola. Jak potężne muszą być wilki z lasu, aby rzucać się na ogromne owce w stadzie, porywać je i wracać po następne. Jak wielki musi być dzwon, którego głos północne wiatry roznoszą daleko po górach.

Wszystko tajemnicze i groźne. Na dodatek straszły się wiejskie dzieci czarnym ludem, ciągnącym okrągły rok za jakimś taborem, który stale wygłodniały białą rasę pożera, a najmniejszych z niej nawet na surowo.

Pewnie starsi przeprawiali się tam z przewoźnikiem, ale moja pozycja i wiek oniesmiały, aby zadawać komukolwiek pytania o równie, bo tak zwykło nazywać się tamte ziemie za wodą. Był jednak ktoś mający rodowód z tamtego brzegu. Nikt jednak nie wiedział, skąd się tutaj wziął, jak się przeprawił i w końcu, dlaczego postanowił na stałe osiąść nie gdzieś indziej, lecz właśnie w tej wiosce drewniano-słomianej.

Tak, jedynym, do którego miałbym śmiałość i który naprawdę potrafiłby mnie słuchać był nie kto inny, ale sam Naczelnik. Niewidzialny dla innych, jednak i mnie zniknął gdzieś ostatnio. Pewnie znów ruszył swoim „partyzanckim” szlakiem, tropiąc grubego zwierza. A może minąwszy pasmo Radziejowej, odnalazł gdzieś na południowych stokach bardziej przyjazne miejsce. A może nawet swój własny dom.

To moja wieś, odchowala mnie, wykarmiła.

To nic, że za dnia jestem w niej nikim, głupkowskim parobkiem do wszystkiego.

Albo całkiem do niczego, jak głoszą wszem i wobec odprowadzający mnie po sezonie kolejni gospodarze. Niestety wraz z dojrzałością wymaga się ode mnie więcej i więcej.

Każdy błąd, małe potknięcie potrafi zniweczyć dobre uczynki i znów postawić w szeregu niedojdów, matolów czy nawet gorszych pomiotów niegodnych człowieczej godności. Przywykłem do tego, lecz coś zaczyna mi stopniowo majaczyć, że granica, to nie tylko miedza, czy odległy na południu żyworodny Dunajec.

Coś, czego nie nauczyłem się z bajek. Być może słowo to inne przybiera w nich znaczenie a lekka i delikatna wymowa czyni mniej groźnym niż rzeczywistość potrafi je urealnić. Kiedyś, kiedy jeszcze pasalem im krowy, a mój świat i role, jakie odgrywałem były o wiele mniejsze, czułem się dużo lepiej. Pewniej stawiałem małe kroczki. Z większą śmiałością patrzyłem w zwierzęce czy też ludzkie oczy.

W tych pierwszych, szczególnie krowich, w których niemal cały mógłbym się schować, budziłem ciekawość a czasami nawet jakieś większe zainteresowanie. Kiedy opowiadałem coś albo siedząc przy małym ogniku, zamyślony z cicha na liściu grałem. Krowie wielkie oczy w przeciwieństwie do innych zawsze były smutne. Rozumiałem je jednak doskonale. Dla nich nawet skubanie najlepszej koniczyny nie było celebrowaniem smakowitej uczy, ale pośpiechem, by jak najprędzej się najeść, napełnić brzuchy do syta.

Ich przeznaczeniem, ziemskim bytowaniem było nie tylko dawanie mleka.

Nie dziwi więc, dlaczego miały go tak mało, skoro niemal każdego dnia po spędzie z łąki czekało na nie ciasne jarzmo z uprzężą do kolec i pług, jak również drabiniastego wozu, na którym zwoziło się plony z pól. Siano z odległych hal, czy też liście z lasu na posłanie stajennej trzodzie.

Być może przez te smutne krowie oczy nauczyłem się nie tylko gry na liściu. Z czasem nawet cienkie źdźbło trawy zdawało mi się posłuszne. Drzewa nie odmawiały materii, kiedy mi przyszło wymyślne fujareczki z nich strugać.

Grałem więc przy tym swoim lichym ogniku nie tylko ku własnej radości, ale pewnie również po to, aby w te ogromnie smutne krowie oczy wszczepić chociaż przez mgnienie powiek jakiś błyszczący implant zainteresowania, który nie zmarnieje

w tym miejscu, ale promyczek ciepła przesła dalej w głąb, aż w nieokreślony widokiem środek bydlęcej duszy.

Być może te moje zrywane bądź wystrugane dźwięki budziły ciekawość i u innych. Kiedy pochylałem niżej głowę, widziałem u swoich stóp maszerujące oddziały mrówek. Przyspieszałem wtenczas, a i one zdawały się zacieklej i żwawej dreptać, dźwigając niczym portowi tragarze belki igliwia czy inne prochy przyrody, ku wzbogaceniu i umocnieniu pałacowego kopca rosnącego z minuty na godzinę niczym drożdżowy bochen na stolnicy.

Zwalniałem, aby nie pospieszać zmęczonego ślimaka z budą. Kiedy ni z tego, ni z owego skwarem dnia przyszło mu do głowy wystawić rogi z innej strony polany.

Podniósłszy znowu głowę, grałem dla podniebnego świata. Szerokiego rodzaju ptactwa, motyli, a nawet siedmiobarwnej tęczy. Niebiańskiej anielicy rozkwitającej po dopiero co skończonym deszczu.

Kilka lub więcej razy przerywałem, czując nieokreślony dreszcz. Jednak kiedy odwracałem głowę, nie dostrzegałem nic poza cieniem chowającym się przed moim wzrokiem. Nie chcąc wywoływać wilka z lasu, wyjmowałem z kieszeni zakrzywiony kozik i rzeźbiłem na pasterskim kiju swoją nigdy niekończącą się opowieść.

Opowieść bez ładu i składu. Bo tylko wtenczas wracałem do niej, aby spłoszony czymś, zaskoczony udawać, że nic się nie stało, że właśnie to dłubanie w kiju jest na ten czas najważniejszą sprawą pod słońcem tak dla mojej twórczości, jak i biednej laski zmęczonej tęym ostrzem krzywika.

Dopiero po długim czasie wracałem w miejsce cienia tylko po to, aby utwierdzić się, że i tym razem nie był to żaden wilk z lasu, duch polany, zmora dusząca usypiających. Nigdy też nie znalazłem wystraszonego potwierdzenia, ale instynkt podpowiadał mi, że nie był to nikt inny jak Naczelnik, albo Jan – Pustelnikiem zwany. Ten jednak nie za bardzo kojarzył się z cieniem. Był nad wyraz prawdziwym i swoją obecnością mocne ślady zostawiał w okolicy.

Piekiełko.

Uboga skorupka ziemi, którą łaskawy wiatr okrył z czasem gołe kamienie leżące nad potokiem, czego dowodem były ich białe piszczele tuż nad lustrem wody, gdy ta wartko szorując w dół, oczyszczała je, wystawiając na widok niczym wiejska dziewczka grube kolaniska podczas dojenia krów albo skrobania ziemniaków.

Skąd wzięła się ta nazwa. Czort jeden wie.

Jednak na mój rozum zaczerpnięty z bajek, jak nic, właścicielem albo zarządcą tego miejsca był jakiś olbrzym o imieniu Piekieł.

Dobry musiał być i przyjazny dla środowiska, o czym świadczą ostatnie dwie litery z nazwy tego małego zakątka przy wodzie, bo gdyby nie one, szkoda gadać i włos się jeży na głowie. Skoro był dobry, na pewno w korycie rzeki miał zainstalowane ogromne młyńskie koło służące do mielenia ziarna całej wiosce. Miał też potężny chlebowy piec wydłubany we wnętrzu zbocza wznoszącego się bystro, aż pod Równicę.



Szkoda, że ktoś obudził mnie zbyt późno. Na pewno znalazłoby się jakieś zajęcie nawet dla małego chłopca w tym mocno rozwiniętym kombinacie olbrzyma.

Sprzątałbym mu tę jego ogromną młynnicę. Nie zmarnował ani jednego ziarnka zboża. Ani jednej skibki rozsypanej mąki. Zeskrobywał codziennie mech obrastający kolisko. Drugą połówką dnia miesiłbym w wielkiej dzieży ciasto na bochny. Szlifował łopaciska do wsadzania ich w piec a wieczorami, kiedy już wszystko gotowe roznosił po wsi darmowe rumiane chleby z białą etykietką opisującą proces tworzenia, instrukcją spożywania z wieczną datą ważności nigdy nieprzeterminowanego produktu. W niedzielę, kiedy i inni szczęśliwi, nie głodni, odmodleni za dobry tydzień, dary nieba i piekła. Sam czułbym się jak w raju. Zostawiając w spokoju pana, leżącego jak długi przy swoim piecu. Na młyńskim kole bym się huśtał, najpiękniej przy tym na liściu grając.

Prawdą jest, że ta wieś, leżąca na końcu świata, (choć z każdej strony otacza ją co najmniej siedem gór i rzek) oszukana musiała zostać, kiedy Stwórca dzielił ziemią i równinami wszystkie inne. Zaledwie dwa większe koryta rzeczne, dolinami zwane, przy których prócz kamienistych szlaków ostało się miejscami jakieś szersze miejsce na zagrodę. Jakieś liche poletko pod ziemniaki, owies czy karpiele. Poza tym las, krzaki i odwieczna walka z nimi. Wojna na śmierć i życie.

Marne te gazdówki, w których mizerni gospodarze lub baby nienauczone trzymać ostrej siekiery, motyki w garści. Smutne okna w tych chatkach, kiedy głód twarzą drzew w nie zagląda. Korzeniami wypija wodę ze studni a nocą sowim hukaniem wieszczy czyjąś śmierć dreszczami przeszytą.

Nawet niebo nad ich głowami, świetlisty ołtarz, do którego co dzień wznoszą modlitwy i spracowane ręce okrojony górami im został. Zasłonięty konarami szalejących drzew, które ledwie poczują wiatr, zaczynają swój chocholi taniec, doprowadzając chłopski korowód do pomieszania zmysłów sen i ośpienie.

Prawdą jest, że inaczej jak gdzieś za Dunajcem, niewiele jest tutaj równych miejsc pod zabudowę. Niemniej Piekiełko było ostatnim nadającym się do tego celu.

Dlaczego właśnie tam postanowił sklecić małą lepiankę i uczynić z niej swoje małe gniazdko na tym nadrzecznym łożu padole?

Tego nie sposób odgadnąć, a tym którzy nie słuchali bajek, nawet się domyślić.

Jak i tajemniczej postaci Jana. Zwanego też i Apostołem, kiedy czasem z pustelni zechciał wyjść do ludzi i niektórym wybrancom głosić swoje prawdy. A może tylko własnym językiem nowe bajki opowiadać.

Kiedy go poznałem, był już najstarszym człowiekiem w okolicy. Chodziły słuchy, że najstarszym był on tutaj od zawsze. Nawet prawie dziewięćdziesięcioletni Wiktor Łabuda nie miał co do tego żadnej wątpliwości:

Jan Pustelnik przyszedł tutaj jako najstarszy. Żyje jako najbardziej sędziwy i tak zostanie do końca, o ile ten koniec kiedyś nadejdzie – mawiał Wiktor, przyklepując i kończąc krótką metrykę wiecznego starca, gdy komuś zapytać o to przyszło. Nie pytałem o niego nikogo, miałem na to swój sprawdzony wcześniej sposób. Tak, aby fakty z mitami, maszerując prosto, jak po sznurku układały się w logiczną całość. Choćby tylko na własny użytek i zadośćuczynienie swoim wątpliwościom, czego dobitnym przykładem była nieznana innym historia Piekiełka.

Doświadczony w podobnych sytuacjach. Zaplątanych niczym gordyjskie węzły. Zwyczajnie sięgnąłem po ten cienki sznureczek i powoli, powoli po nitce do kłębka zacząłem rozplątywać tajemniczy żywot Jana.

Siwe, rzadkie włosy do ramion. Podobnie broda, podczas porywu wiatru daleko za ramiona sięgająca. Wysmukła chuda postać, kapelusz i laska. Nie! Moja wioska, to nie jakaś mroczna kraina Mordoru, choć przypominająca położeniem tamtą, gdyż otaczające siedmiogóry jak najbardziej śródziemniem ją stanowiły.

Powie ktoś, że tym razem mity wzięły górę nad faktami wyplątanych z cienkiego sznureczka. Niech mówią, niech się śmieją, prawda i tak zostanie po mojej stronie.

A prawda jest jedna. Jan Pustelnik, czasem Apostołem zwany nie był nikim innym, jak najzwyklejszym czarownikiem.

Może trochę bardziej niż najzwyklejszym. Choćby z racji nieprzemijającej starości swojej, czy też miejsca na ziemskie bytowanie, jakie sobie wybrał.

Czarodziej pospolity w dzisiejszych czasach to typowe zjawisko. Przede wszystkim na ziemiach oddalonych od świątyń, kiedy jeszcze nie wymyślono kropideł długich na kilkanaście mil morskich, a kadzidło ze świętego ognia więcej żaru niż dymu wydziela. Kiedy większość cywilizowanych ksiąg za grubymi murami Jagiellońskimi pozamykano lub wtrącono w podziemia Watykanu. Wypowiadając przy tym magiczne zaklęcie „Idź złoto do złota”. Tam ci ciepłej będzie.

Czarodziei od zabrania krowie mleka. Od zesłania czarów na zdrowo rosnące dzieci nielubianych sąsiadów. Uroków rzucanych na domowe zwierzę, czy samych gospodarzy jest co niemiara. Szczególnie wśród baców, jak i wiedźmowatych bab, którym nigdy nie udało się wskrzesić własnego domowego ogniska, więc z czasem same, przeklinając to wszystko, imają się magii, aby te wszystkie ogniska pogasić.

Owszem, budzą strach a czasami i szacunek ich ponadludzkie wyczyny. Ale coraz większe rzesze wieśniaków są w stanie znaleźć antidotum na ich czarodziejskie fokus-pokus, czary-mary czy to w konkurencyjnej działalności magicznych agencji a w razie konieczności u znachora w Ośrodku Zdrowia za Dunajcem.

Jak pewnie nietrudno zauważyć, powyżej sklasyfikowałem te dwa gatunki na czarodziei pospolitych oraz czarowników. Nie był to błąd popełniony przez wsiowego małolata, ale najprawdziwsze stwierdzenie zaobserwowanych faktów.

Faktem więc jest, że: Czarodzieje, to po prostu pospolite beztalencia, po których zabiegach, coś tylko się dzieje. Działalność, nawet zwyczajnego czarownika wyróżnia się tym, że z zastosowania jego talentu, mówiąc najogólniej, coś wynika.

Pewnie nigdy nie uda mi się rozwiązać ostatniego węzła z długiego sznureczka żywota Jana. Nie dbam jednak o to. Inaczej niechybnie musiałbym życzyć mu śmierci.

Nie życzyłem jej jeszcze nikomu i chociaż wiem nawet po sobie, iż często może ona być ulgą i wybawieniem dla nieszczęśnika utrudzonego ciężkim losem ziemskiej niedoli, to i tak pewien nie jestem, co dalej. Czy aby właśnie ta ziemská niedola nie jest obiecany w końcu niebem. Tym bardziej, że nie wysłuchałem jeszcze nigdy w życiu bajki, w której ludzie bywają do końca szczęśliwi. Nie mając niczego, o tak niewiele prosimy a każda cząstka nam darowana, bywa największym skarbem, jaki może przytrafić się nieoczekującym tego. Czym jest ta mała cząsteczka darowana bogaczom, których prośby i oczekiwania przewyższają rozmiarem najwyższe szczyty sięgające nieba? Inną istotą sprawy jest ta, że choćbym nawet życzył, kto pochylił się, aby wysłuchać prośby małego robaczka, którego najczęstszymi są te, aby znaleźć jakiegokolwiek zajęcie, dach nad głową czy odrobinę pożywienia, jako zapłatę za pracę.

Jedno mnie zastanawia. Rozplątując sznureczek żywota Jana, nie dowiedziałem się niczego o jego pochodzeniu, młodości, jego rodzinie.

Czyżby był kolejną jak ja nienarodzoną a tylko przebudzoną istotą w tej wiosce?

Niech było, jak chciało. To nasza bajka i piszmy ją dalej po swojemu.

Nie mam w tej chwili co ze sobą zrobić. Nie wiem gdzie pójść. Gdzie pytać o pracę.

Jestem bez zajęcia, więc na użytek naszego wspólnego dzieła pozwól, że wcielę się w jego postać. Nieważne, jaki to będzie moment istnienia. W zasadzie i tak nie mam wyboru, skoro Jan Pustelnik nie mając młodości, od zawsze za starca był tutaj postrzegany. Uważaj, zasną teraz na nowo. Ty zbudź, jak tam na miedzy, i sam zacznij o mnie opowiadać, a ja jak potrafię najlepiej, poprowadzę twoje słowa tak, aby wiarygodnie oddać ducha tamtych czasów.

A gdybym to ja był dzieckiem,
które mój ojciec porzucił,
by, stać się królem niebieskim,
zamiast mnie życia nauczyć.

Pewnie bym krzywo dorastał,
pijakiem został lub łotrem,
wynańcem z własnego miasta
pustynnym gadem lub ostem.

Nikt by przede mną nie klękał,
zaś wszyscy, co wszystko wiedzą,
wołaliby na mnie bękart,
bo nie nazywam się Jezus.

Kim mógłby być Jan, gdyby urodził się zwyczajnie. Tak jak inne małeńkie dzieci, które z postaci matek, ojców pochylających się nad kołyską odczytują powoli rysy twarzy i zapamiętują je jak własną piastkę wsadzaną do głodnej buzi. Które niczym dzikie zwierzątka wchłaniają ich zapach, bezpieczeństwem utulający do snu.

Jakie wzorce przyświecałyby mu w dalszym życiu, gdyby od małego kreowane były czynami i postawami najbliższych. Gdzie tradycja, wiara i miłość są nieodzowną trójką domowego ogniska. O ile bliższe byłoby dla niego niebo nad głową obleczone nie tylko chmurami, ale wypełnione całym majestatem. Dla początkujących uczniów



wiary zawartym w tysiącach dokumentów. Świętych pism czy innych środkach masowego przekazu... Pytania? Można je dzielić na tysiące mniej ważnych czy też najważniejszych przypadków. Komu dzisiaj chce się pochylać nad tymi o mniejszym znaczeniu. Są pomijane jak zwyczajne skinienie głową mijanemu na drodze wędrowcowi. Ignorowane jak dalekie szczekanie głodnego psa. Jak odlatujące z jesienią ptactwo, szukające cieplejszych klimatów i nowych miejsc na gniazda.

Czy to ludzie z czasem stają się coraz bardziej głusi, czy też czas z ludźmi zawiera ciche przymierza o nieprzeszkadzaniu sobie w sprawach błahych. Pomijaniu kwestii dotyczących jednostki a skupieniu się na milionach. Ignorowaniu samych zer, o ile nie postawiono przed nimi żadnej cyfry większego znaczenia.

Czy z czasem zubożemy? Zmniejszymy się jeszcze bardziej, szkice zastąpią nazwiska, czego dzisiejszym przykładem jest jakiś tam Gniadek z Opijówki.

Akreć zza góry, dawni niechlubni dzierżawcy lichych gruntów na Dorchowce.

Ile pytań, tyle odpowiedzi, może nawet podzielone przez wiele. Więc może ten czas ma jednak rację, kiedy tyle światów nieodkrytych, zostawmy znajome, a pędźmy dalej, do końca, ku wieczności, bez odpowiedzi na zbędne pytania, bez zastanowienia, bo to w końcu cel uświęca środki a nie odwrotnie.

O ile uboższy bez tego wszystkiego był Jan. Obudzony pewnego razu na zarośniętej chaszczami równince Piekiełkiem zwanej. Sam jak palec. Bez przyjaciół, rodziny, żadnego dobytku, a nawet bez nazwiska. Podobnie jak ja, kiedy obudziłeś mnie wcześniej na miedzy. Przetarł oczy, rozejrzał się dokoła i powiedział: Nic to, od dzisiaj to też moja wioska. Wpiszę się w nią powoli. Ośmielę do siebie. Znajdę przyjaciół, dam radę. Na pewno miałbym gorzej, gdybym był sam niczym rozbity żeglarz na bezludnej wyspie. Jeśli udało się kiedyś osiedlić tutaj pierwszemu, a nawet Grońskiemu, co to aż na Skalskiem założyli swoje gniazdo, uda się i mnie.

Nie bez przyczyny, co potwierdzali wcześniejsi. Nazwa tej wsi w niewielkim tylko znaczeniu różniła się od słowa – bieda. Od niej też miała wziąć swoje miano i pewnie do końca trwać w tym niezmieniona. Powie ktoś, że niewdzięczne wzięła na siebie brzemię. Jednak zdaniem Jana, i pewnie nie tylko jego, nazwa ta wcale nie była jej uwłaczająca, lecz pełna pokory i szacunku względem otaczającego ją świata.

Była też pewnego rodzaju wybawieniem dla mieszkających w niej chłopów.

Wszak to nie oni musieli się wstydić. Tłumaczyć ze swojego niedostatku odwiedzającym ich przybyszom, którzy wiedząc jak brzmi jej nazwa byli przygotowani na całą nędzę, jaką w niej zastaną, a może nawet bardziej.

Nie dziwił się też niczemu, co tutaj zastał. Przechodząc drogą, widział rozwalające się płoty z próchniejących żerdzi, powiązane ze sobą niedbale, przez które gromadki kur pod dowództwem jarzębiatych kogutów wyruszały na poszukiwania pożywienia w nierozgrzebanej jeszcze ziemi. Spotykał za drogie na miskę polewki, a teraz bezpańskie psy włóczące się bez celu tam i z powrotem. Słyszał bardziej zdziczałe, które trzymając się z dala od zagród, polowały na podchodzące do wsi leśne zwierzątka. Za słabe jednak i zbyt tchórzliwe, aby polować w wyższych partiach, gdzie ponad wszystkim innym, nawet najgrubszym zwierzem panował niepodzielnie Naczelnik, pan i władca

swojego królestwa rozciągniętego aż poza siódme albo jeszcze dalsze góry znanego tutaj świata. Widział ubogie chatki zbudowane jednak ciesielskim kunsztem z płazów ciosanego drzewa. Wysokozrębowe, omszone szczelnie w miejscach nakładających się na siebie płazów. Zapraszające w wysokie progi sosnowe drzwi. Najczęściej deskowolistwowe z zastrzałem. A w niektórych dwu, a nawet trójpłycinowe, gdzie widok zakrzywionej kłamki był tak samo na miejscu, jak u tamtych zwykły drewniany skobel, czy inny kołowrotek, którym gdyby nie podpórka, wiatr kręciłby jak diabeł żarnowym kołem w niepoświęconym nadrzecznym młynie.

Podziwiał pewnie Jan te niewyróżniające się bogactwem domostwa. Bo jakimż to szczęściem niepojętym dla niego było posiadanie choćby najskromniejszej chałupki pod prawdziwym dachem pokrytym strzechą z najdłuższej żytniej słomy, jaką w stanie jest wydać tutejsza jałowa gleba. Mieć własny dom, to nic innego jak dostać własną ciepłą przestrzeń na szczęście. Szczęście, które nie ucieknie przez liche gałęzie ściany szałas. Nie przeniknie do nieba pomiędzy rzadkim igliwem cetyny służącej za pokrycie na nim. Nie wsiąknie w rozmoknięte kroplami deszczu klepisko szałasowej podłogi. Nie zgaśnie wraz z płomieniem, kiedy północny wiatr wedrze się do środka, zatańczy zbójnickiego, potarga wszystko i zniknie wraz z ostatnią iskierką podarowaną kiedyś na szczęście.

Z własnego doświadczenia wiedział, co oznacza szerokie pojęcie słowa, nędza.

Czy nie nosił na sobie ciągle świeżych, swędzących śladów ukąszeń przez pchły? Czy to nie z jego długich włosów kapały na ramiona wypasione i odporne na wytępienie wszy? A kto bardziej, niż te dwa gatunki był synonimem odpowiadającym niedostatkom tamtego okresu.

To była jego wieś. Pewnie jak każdy z jej mieszkańców starał się wskazywać też na inne barwy otaczającej go codzienności. Potoki z czystą wodą, która do źródeł miała przysłowiowe dwa kroki. Owszem zanieczyszczona co nieco, ale unoszące się na niej bańki mydlane kilka metrów za tarką bystry nurt rozbijał o kamienie. Zacierał ślady ludzkiej ingerencji niewymuszonej, ale jakże potrzebnej w codziennym życiu.

Z grzybów, które w lasach można by ścinać sierpem, największym powodzeniem cieszyły się gołąbki i biele. Zawsze na wielkich kuchennych blachach wokół pieczonego placka z ziemniaków bądź plasterka karpia przytuliło się stadko leśnego runa pieczonego na jednym ogniu, jak roztropne gosposie nazywały tego rodzaju oszczędność. Pomijając całą resztę dobrodziejstwa zsyłanego urodzajem pól, łąk i lasów nie sposób pominąć wieśniaków. Największym bogactwem byli tutaj ludzie.

To nikt inny jak ich cieśle wyciosali wielką ramę do obrazu, w który z czasem zaczęły wpisywać się kolejne wątki, a nawet bogate treści ludzkiego żywobycia. Ich kowale wykuli czcionki literopisujący ten obraz. Kobiety nieczujące się nigdy słabszym dodatkiem rozpały ogień obrazu i podtrzymują go bezustannie najtwardszym drewnem z okolicznych lasów, z którego żar wydziela potężną większość oddzieloną od dymu. A sama bieda? Czy nie jest to bezwzględny składnik? Dodatek, który przygarnia ludzkie skupisko? Wypatrzyła pewnie włócząc się gdzieś za Dunajcem ten ogień wpisany w obraz. Pokonała wodę i zameldowała na wieczny pobyt w tej wiosce drewnianej otoczonej przez wszystko razy siedem.

Położył się na chwilę w cieniu rozłożystej lipy i zapadł w sen. Ten sam tajemniczy sen, z którego wybudził się kiedyś na miedzy czy wczoraj na własnym padole Piekiełkiem zwanym. Jak to się stało, że dalej czując się człowiekiem. Patrzy z wysoka na zbliżający się Dunajec, przekracza go i jest po tamtej stronie. W innym świecie, o którym tutaj bajki się opowiada, a może tylko śni?

Równie. Tajemniczy świat, gdzie prawdziwie wszystko wydaje się większe. Ogromne a dal nieograniczona, wciąż niedosięga, uciekająca poza granicę wyobraźni, a nawet dopatrzenia. Nie odwracając się za siebie, nigdzie nie sposób dostrzec wyższych szczytów, poza jedynym Dunajcem nie widać żadnej innej rzeki. Tak! O ile w jego wiosce świat ma wymiar niewiele rozleglejszy jak poza siódmą górę i rzekę, to ten równinny nigdy się pewnie nie kończy.

Zbliża się nieco ku ziemi, aby obejrzeć jazowski kościół, górujący nad wsią i pańskim dworem leżącym nieopodal. Znowu wznosi, aby znad Gruszowa zerknąć w falujące równie Czarnego Potoku. Tam również odnajduje otulony wysokimi lipami drewniany kościółek. Teraz zaczyna rozumieć, dlaczego niziny bywają bardziej łaskawe, bogatsze dla ludzi, niż ziemia, z której tutaj przyleciał. Musi przekazać, kiedy wróci z powrotem, aby i oni wybudowali własny, bo skoro kościoły nazywa się bożymi domami, to pewnie mieszka w nich Pan. (Jakże dosadnie brzmi w tym przypadku przysłowie, że „pańskie oko konia tuczy”). I tak jest w rzeczywistości. Przygląda się bardziej okazałym chałupom, obrobionym czysto większym zagonom pól, całym gromadom sadów, trzymających się południowych wzgórz. Nie tak jak tam. Dzikich czereśni, krzywych jabłoni wyrastających, gdzie dziad pestkę wypłuł, a pies łapą zagrzebał. Powie im, aby przy swoim poświęcili ziemię na cmentarz, jak ma to miejsce w tej części świata, a nie jak psy zagrzebujące gnaty na zapas, chowali zmarłych po lasach, koło dróg. Nie wywozili, nawet tych, co sobie nieświadomie życie odebrali najgorszymi wozami w odludne miejsce Wisielcami zwane.

Powie im...

Nie będziesz nas oceniał ani nawet sądził,
bo nie byłeś sędzią, nie byłeś też wzorem.
Pamiętamy jeszcze, jak bałeś się ludzi,
a przychodząc do nich, siadałeś przed progiem.

Zdejmowałeś buty, jakbyś z Gidel wracał,
albo inny pielgrzym w drodze do Kalwarii.
Rachowałeś w dłoniach, zniszczonych od pracy,
nawleczone na sznur paciorki z koralu.

Dostałeś co łaska. Twój worek żebraczy,
jeśli był sezamem, to na drogę krzyżyk.
I tak wędrowałeś od chaty do chaty,
jakbyś był swojakiem i nie bał się ludzi.

Nie będziesz nam sędzią ni żadną wyrocznią,
nie będziesz roznosił i sprzedawał biedy,
bo z krzyża przy drodze, którą chodzisz nocą,
spoziera na ciebie Chrystus frasośliwy.

Właśnie, bo kim on jest, aby im cokolwiek doradzać, mówić. Czy nie jest najzwyczaj-
szym żebrakiem. Wiecznym starcem, który przespał wszystko, co było do osiągnięcia,
z własną młodością na przedzie?

Poleciał jeszcze dalej, lecz nic nie potwierdzało tego, aby coś zaczęło się zmieniać.
Owszem widział jakieś większe wzniesienia, ale wszystko dostępne, rozłożyste. Z or-
nymi połaciami ziem na ich wierzchołkach.

Zakręcił gdzieś nad Łukowicą. Wracając, widział w oddali duże miasto. Kilka kościel-
nych wież. Jakieś dziwne wozy na drogach, poruszające się bez ciągnących je koni.
Wystraszył go potężny wąż sunący zygzakiem, z łbem ogromnym wypuszczającym
kłęby dymu a jakiś piekielny gwizd zmroził, nadlatując kilka razy z tamtego kierunku.
Uciekał z powrotem, bo czort wie, jakie cuda natury, dziwy, a nawet czary, o które
nie podejrzewał krain zamieszkałych przez Boga, mogły go jeszcze spotkać na tych
ziemiach nieznanych. Zbliżając się znowu do jakiegoś starego miasta, ze zdziwieniem
dostrzegł kolejną rzekę wpadającą do Dunajca. Spojrzawszy w kierunku, z którego
spływa, utwierdził się tylko w przekonaniu, że jeśli wyrastają tam wyższe szczyty gór,
jest ona właśnie drugą z tych siedmiu okalających jego wioskę, przez co pozostałe pięć
znajdują się pewnie w niewielkim oddaleniu. Tworząc jej świat na powrót mniejszym
od równi rozłożonych na północy.

Leciał w dobrym kierunku. O ile kierunek, w którym zmierzał można było tak na-
zwać.

Wieś, w której bieda z nędzą są sztyldami na prawie każdym domostwach. Nazwami
wielu przysiółków, jak choćby: Chudobówka, Dziadki, Kretówki, Wydarta, Suche...
na Nowej Wsi kończąc, która tyle miała z nią wspólnego, że ciągle i szerzej otwierała
oczy jej osiedleńcom na nowszą i coraz bardziej dokuczającą chudobę.

...Gdy minął graniczną rzekę, coś zaczęło nagle ściągać go w dół. Coraz szybciej, co-
raz mocniej odpychało niebo. Przyciągała ziemia.

Kiedy zbudziłem go na nowo, płakał. Ten wieczny starzec płakał jak dziecko, dopiero
potem zaczął opowiadać:

Wiem, kim jesteś. Widzę też, że podjąłeś się nie lada wyzwania. Pewnie wielu ciebie
nie zrozumie. Nie będzie im łatwo rozplątywać nici, jakimi zszywasz swoją opowieść.
Jeżeli byłoby was tylko dwóch, o wiele prościej wyglądałoby to wszystko. Dlaczego dla
większej przejrzystości nie dałeś mu imienia. Czemu litując się nad nim, uśpiłeś zno-
wu, obiecując rolę, jaką sam pod prawdziwym imieniem odegrałem w swoim życiu.
Nie odpowiadaj mi, ja swoje pytania zabiorę do grobu. Tam za Dunajec skąd przesze-
dłem. Rozumiesz, co mam na myśli. Nie prosiłem w życiu o wiele, może nawet wcale,
Ciebie jednak proszę. Kiedy skończę resztę, jaka została mi do powiedzenia, odejdę,
a ty pozwól – zapomnij. Wiem, że jego zbudzisz na nowo. Zrób to, proszę, w innym

miejscu i lepszym czasie. Ostatnia sprawa – Naczelnik, a może to tylko wiatr. Gwiazda uciekająca nocą na ziemię, a może głos szukający odpowiedzi...

Jestem stary. Sam nawet już nie wiem jak bardzo. Nieprawdą jednak jest to, co o mnie opowiadają szczególnie Wiktor Łabuda największy kłamca w okolicy. On jeden widywał, nad czym dumam i pracuję od dawna, często pomagał mi przynieść jakiś wymyślny kawał kłosa, jakieś żeliwo wykute u kowala. Wszystko było w porządku do czasu, kiedy zacząłem go składać. Kiedy zaczął przybierać realne kształty, Frankensteinem, czarodziejem mnie nazwał i odszedł. Wymyślał potem niestworzone rzeczy na mój temat, roznosząc je pomiędzy ludźmi. Po co nazywał mnie wiecznym starcem, właśnie po to, aby mu uwierzyli, że prawdę roznosi, bo tylko czarodzieje w ich mniemaniu potrafią sobie w nieskończoność żywota dokładać, bo kto, jak nie starcy są zmorą i utrapieniem tego świata, tej wioski choćby. Ilu z nich zostało stąd wypędzonych. Ilu wywieźli na najgorszych wozach na wzgórze Wisielcami zwane.

Byłem kiedyś i ja młodym i silnym. Jak inaczej potrafiłbym z tego skalistego i zarośniętego skrawka nad wodą słoneczne Piekiełko uczynić. Pewnie zasmucę i ciebie samego. Rozczaruję, że twoje żywoty Jana rozplątywane ze sznureczka doczesności okazały się nieco mylne. Niemniej dziękuję, że jeszcze przed wybudzeniem mnie wskrzesiłeś pocziwą postać o ludzkim sercu i człowieczej duszy.

Co zaś do czarownika, to niech, chociaż na twoje pocieszenie, jak i całej okolicy zaświadczy to, co dzisiaj widzisz. Rozejrzyj się dookoła i zobacz, co zostało z mojego dorobku, dzieła mojego życia. Umarło właśnie moje dziecko, mój ptak latający. Widzisz te skrzydła z lipowego drewna połamane jak zapalki. Poskręcane wnętrzości wystające z jego jaworowego brzucha. Czy zdajesz sobie sprawę, że jego serce i puls właśnie bić przestały?

Posiwały ci włosy od palców,
bo zbyt długo trzymałeś na rękach
i huśtałeś od płaczu do płaczu,
aż przestało jak suche drewnienko.

Potem mocno z rozpaczyny je rwałeś,
jeszcze złote jak kosy słomiane
i szarpałeś, cesałeś, cesałeś,
jakbyś chciał na stosie je spalić.

Posiwały ci włosy od palców,
bo liczyłeś na cuda do końca,
powtarzając czy odejść, to zasnąć,
zapatrzony w drewnianego chłopca.

Rysunki Jarosław Czaja

– Spowiedź –

Ukrzyżowałem Jezusa – cieślę z Nazaretu.

Przybiłem Mu ręce tępyimi gwoździami,
przybiłem i nogi, rozrywając nerwy,
przebiłem też serce,
które mnie zalało Miłosierdziem
i zdrojem Wody Żywej.

Targałem biedne ciało
biczem szyderstw, bluźnierstw, grzechem
i patrzyłem obojętnie
w Jego święte oczy z diabelskim uśmiechem.

A kiedy szedł ostatkiem sił na Górę Ofiary,
gnąc się pod ciężarem Krzyża – moim odkupieniem,
podłożyłem Mu nogę, a On runął z jękiem i cierpieniem.
Krwia nappełnił usta, oczy zalał łzami,
poznał jak proch ziemi smakuje
i ledwo słyszalnie wyszeptał: D z i ę k u j ę.

Nic nie rozumiałem.

Nie płakał.
Szedł spokojnie, milcząc,
a ja, rozwścieczony Jego uniżeniem,
splunąłem Mu w twarz i pchnąłem ramieniem,
na którym chciał się wesprzeć.

Dopiero, gdy wisiał między zbrodniarzami
i patrzył w Niebo ufnymi oczami,
kiedy spuścił głowę,
gdy się trzęsła ziemia,
dopiero wtedy – grzesznik – zrozumiałem,
że mojego Boga Zbawcę sam zamordowałem.

– Psalm grzesznika –

Przed Tobą, Panie, uginam kolana,
Tobie swą nędzną oddaję duszę,
okaż swą litość i zmiłowanie,
oddal piekielne katusze.

Przebacz, mój Jezu, że miłość Twą wierną
co dzień na większą wystawiam próbę
i od Twojego serca uciekam
– wszystko na moją zgubę.

Ciebie, mój Boże, pragnie moja dusza,
tylko do Ciebie woła w ciemności,
bo bez Twojego światła i mocy
nigdy nie zazna radości.

– Do Pana –

daj mi Ciebie widzieć
w każdym tchnieniu wiatru
w każdej kropli potu
w cierpiącym człowieku

w codziennym znużeniu
w sekundzie zwątpienia
spraw bym nie zapomniał
o sensie istnienia

– Modlitwa –

Stojąc tu, przed Tobą, pragnę Cię przeprosić
za wszystkie obelgi, które musisz znosić,
za moje złe czyny.

Wstyd mi znowu pali duszę utrapioną,
łzami, jak cierniową osnutym koroną.
Wybacz mi, o Panie!

Powracam do Ciebie, mój Jezu, w cierpieniu,
kiedy już nie mogę żyć w osamotnieniu
tylko z moim grzechem.

Znów Tobą wzgardziłem, upadłem ponownie,
zapomniałem o tym, co zrobiłeś dla mnie –
– umarłeś na Krzyżu.

– grób nieznanego człowieka –

pod brzozą zgarbioną
na skraju lasu
jest bezimienna mogiła
nikt tam nie chodzi
nikt nie pamięta
kogo tam ziemia przykryła

może to żołnierz
co zginął za Polskę
a może cała rodzina
co pod podłogą
swoich sąsiadów
przez zwierzętami chroniła
może dziewczyna
co za chłopcem tęskniąc
którego wojna zabrała
przed bydlętami-wyzwoleńcami
w głęboką studnie skakała

dlaczego milczysz brzoza zgarbiona?!
czemuś na prośby tak głucha?!
i tylko bór szumi historię
z nadzieją
że ktoś jej wysłucha...

Był Inny

Mówiono o nim że talenty liczne
posiadał, lecz wołał słuchać
nie gadać. Mówili też niektórzy
że rozum z rozpacz postradał.
Z postury wysoki i chudy jak tyczka
twarz jego niczym granitu cios,
jasne włosy do ramion
i zamyślony zawsze wzrok.
Śmiali się że wiatru słucha
i na chmury lubi patrzeć
gdy po błękitie nieba płyną,
bo więcej takich samych nie zobaczy,
gdy kres horyzontu miną.
Podobno widział ktoś jak z drzewami
niczym z ludźmi rozmawia,
strumyków i potoków słucha,
nimi się napawa.
Biegały za nim ciekawe dzieci
gdy szedł przez wieś.
Nigdy o nic nie prosił,
biedni dawali mu jeść.
W stodole lub komórce
na noc się umościł,
dłużej u nikogo nie bywał
u bogaczy nie gościł.
Pytali go ludzie ciekawi
skąd idzie, dokąd i po co.
Mówił że nie wie, bo zgoła
wszędzie na niego coś woła.
Wołają mnie góry dalekie
za siódmą mgłą ,mawiał.
Wczorajszy świt, spiekota dnia
i zew natury jest drogą mą.
Krzyży na niej nie stawiam.

Godność

Na każdym etapie życia
czy młode jest ono czy stare,
istnieje w nas potrzeba bycia
lecz nie jak grosz na ofiarę.
Krętacz chcąc w łaski się wkupić,
korzyść dla siebie planuje.
Bezduśnie on srebrnik wyrzuci,
uczciwość doszczętnie zrujnuje.
Więc ci co godności nie mają
obca im szczerza działalność,
swe człowieczeństwo sprzedają,
za dobra, chęć władzy i marność

Jestem Połatany

Nie bolą mnie już stare rany,
które mi tamten świat zgotował.
Już jestem w sobie połatany,
skobel przeszłości je zarygłował.
Nie dręczą mnie już zaszłe myśli,
nie dopełnionych powinności.
Odeszły z tymi co niby czyści,
bez znaku skruchy w swej świętości.
Ale minionych lat, co zabrał je wiatr
z pamięci mojej nie wymażę.
Bo chociaż był to naiwny świat,
intencje swoje miał w nadmiarze.

Wierchy

Wierchy wzgórz nad dolinami
Jazowska
na Maszkowską stronę
do Łącka.
Wydeptane kurzem ścieżek,
myte Potokami,
Porębą wygięte
w obrączkę.
Wierchy nasze biedą malowane

a bogate w dujne wiatry
przeklinane.
Ile w Was radości sam Stwórca
umościł a co zgubił diabeł
gdy się biedą sprościł.
Wierchy zapłakane paryjną niedolą,
ilu tu Nas takich
co was więcej wolą.
Od szerokich dolin
szumiących topoli
ziemi nam nie swojej.

Niebiańskie Poste Restante

Nie mogłem być przy Tobie w tedy,
gdy miałaś myślą jasną głowę.
Trzeba mi było zatykać biedy,
które w walizce wziąłem z sobą.
Nie dane było mi też wzrokiem
czesać, jak len Twych siwych włosów.
Musiałem w ten czas stać po chleb
w kolejce mego losu.
A kiedy już mój życia bieg
zobaczył trochę lepszą stronę,
to przyszło mi Cię z braćmi nieść,
tam gdzie nam wszystkim przeznaczone.
Ale wiedz o tym choć po latach,
że byłaś mi jak grudka soli,
gdy jej w pokarmie nastąpi brak,
nie smaczny jest i czasem boli.

Na Nowy Rok

Jak nieprzerwany byt natury
co rodzi zawsze nowe nadzieje,
stare ustępuje choć przeniosło góry.
Niech szumią mu knieje.
Tak Nowe w obliczu małego człowieka,
nadaje sens istnienia i wiarę w życie.
Patrz mu w twarz jak tobie kiedyś,
gdy też trzymano cię na rękach.

Las

W las wejść i wrosnąć ciszą
w jego zielen.
Czujnością płoczej łani słuchać
jak rosną bratnie drzewa.
W kobiercu miękkich mchów,
zmęczone myśli złożyć.
A śpiewnik z ptasich piór i nut,
jak kołysankę snu odtworzyć.
Wyłowić w cieniach smugę słońca,
co przez korony drzew się wdarła,
i jak jodełce młodej srebrny,
pajęczynowy welon skradła.
Ugasić żar pragnienia duszy,
pojąc się szmerem źródlanej wody.
Nakarmić ciszą lasu uszy,
wiecznego w nas Natury głodu.

Korzenie

W ciemnościach wieków minionych błędę,
ze świecą w zmysłach rodów swych szukam.
W tym co odeszło już dawno w przeszłość,
w ziemi, na skale, w jaskini i wodzie
jak ślepiec za nimi brodzę.
Zajrzałem do domów, których już nie ma,
tam w wyobraźni mieszkają ich twarze.
Chodzą nie krocząc, chyłkiem w półcieniach,
w ramionach niosą lotne miraże.
Tylko kamienie co z serc ich spadły
w zarysach zrębów podwalin rodów,
nam pozostały jako ich mienie
i nieme ślady ich skromnych grobów.

Poruszenie

Słońce o zachodzie
nurza się w widnokręgu

zaniósł się rozdeszczyło
pobrzeże pachnie
dawnym potem rolnika
pole przygnębione
moja mała ojczyzna jałowa
jestem świadkiem agonii

należy wczuć się w nastrój
miejscowego cmentarza
aby wskrzesić istotę tworzenia
zamienić odór ugoru
w słodkie żniwowanie
ożywić pastwiska sąsieki stodoł
odnaleźć zatracone bruzdy
utrzymelone miedze

wczuwam się w nastrój
miejscowego cmentarza

Szczepanowice, 16 sierpnia 2011 r.

Przeżycia duszne

W cmentarnym katalogu
poszukuję żywych idei
namacalną pamięcią
ogarniam wszechświat bólu
(niegdyś szczęścia)

w podróży do źródeł czasu
duchowymi ścieżkami
ocienionymi zwątpieniem
gram w drewniane paciorki

na postojach
szkicuję portret zarazy

u źródeł wydziedziczę choroby
wbrew medykom i duchownym
żądnym następnych zbiorów
umarłych

tego nikt nie musi rozumieć
tylko łatwe jest przyswajalne

Niepojętość

Myśleniem o Bogu
uznajesz jego istnienie
czekasz na podanie ręki
a zrzędzisz
coraz puściej wokół

bezbrzeżna samotność
o poetyckim wyrazie
zarumieniona –
gra anioła stróża
jednak samym zawstydzieniem
nie otworzy na oścież
bramy zrozumienia

w drętwiej głowie
uwięziona myśl
w sercu tęsknota
(tęsknota jest wredna)

miało nie być łatwo
i nie jest

takie kipienie krwi
pod rękę z oczekiwaniem
religijne łaknienie bez wiary
czerpanie z niedowierzania

* * *

W ich oczach
delikatne odbicie serc
wypełnia jałowość rozłąki
nektarem wzruszeń

chwile słodkie
jak obiecany tort

szare pnie drzew
namiastki krzewów
zamierające kwilenie
i suchy trzepot
czas wyssał
z łąk zieleni

chwile gorzkie
jak czekolada

przeszłość –
daremna mitręga
przyszłość –
wypełnieniem niebios lazurem

Na ławce

Wokół wilgotne róże
zakorzeniają rozrzewnienie

trzask zerwanej struny
konanie akordów
bezgłos
skupienie nad tym
co w nim zostało

to może być okrutne
jednak w natłoku
skomplikowanych skojarzeń
wędruj ścieżką wspomnień
i dla pozorów
nie spływaj ich głębi

* * *

Droga pnie się w górę
niepokój
tyle razy upadłem

uwodzicielski sens
wciąż trzyma się za ręce
z bezsenssem
a bezsens boli jak puenta
twojego wiersza
odgadnąć chcę dlaczego

odurzenie nie trwa w nieskończoność
kiedyś noc będzie pamięcią
dzień zapomnieniem

znów będzie ciekawie
nieomal
jak w łonie matki

Alegoria

Ptaszyno mój orle
uwięziony na przekór skrzydłom
w szczelinie pomiędzy widnokrzem
sięgającym w zaświaty
a prawym brzegiem

smutek na twoim dziobie
wzniesionym ku górze
niczym krzyż
płaty śniegu całunem

testament twój
niech pochłonie ich morze
spełniony

Kołobrzeg, 19 stycznia 2015 r.



Kazimierz Burnat, ur. w Szczepanowicach nad Dunajcem. Absolwent UW. i AE we Wrocławiu. Wieloletni dyrektor w ZZSD „Polar” we Wrocławiu i w spółkach prawa handlowego. Twórca harcerstwa dla młodzieży trudnej w ramach Nieprzetartego Szlaku. Spadochroniarz, były żołnierz czerwonych beretów.

Poeta, tłumacz, krytyk literacki, eseista, edytor, społecznik... Autor dwudziestu jeden

książek poetyckich, w tym sześciu wznowień oraz sześciu przekładowych z języka czeskiego i ukraińskiego oraz ponad pięćdziesięciu książek zbiorowych z przekładami utworów z tych języków i węgierskiego. Opracował i opatrzył w posłowie lub wstęp 80 różnych książek. Współautor ok. 300. antologii i monografii. Tłumaczony na 43 języki obce.

Organizator lub współorganizator oraz aktywny uczestnik wielu ogólnopolskich i międzynarodowych festiwali i spotkań literackich. Inicjator i współorganizator współpracy kulturalnej z Narodowym Związkiem Pisarzy Ukrainy. Od lat organizator Międzynarodowego Festiwalu Poezji „Poeci bez granic” w Polanicy Zdroju.

W latach 1995-2004 wiceprezes, a od 2004-2015 prezes Grupy Literackiej „Dysonans”; 2006-2011 redaktor naczelny pisma społeczno-kulturalnego „Bez kurtyny”; 2007-2015 przewodniczący Głównego Sądu Koleżeńkiego Związku Literatów Polskich; 2011-2014 wiceprezes, a od 2015 r. prezes Dolnośląskiego Oddziału ZLP we Wrocławiu oraz Członek Prezydium Zarządu Głównego ZLP – przewodniczący Komisji Kwalifikacyjnej. Członek Stowarzyszenia Kultury Europejskiej i Stowarzyszenia Dziennikarzy RP.

Przykazanie ósme

Przyjedzie na kawkę Iksura z Iksową,
siądą na wygodnych krzeselkach barowych,
zaczną swą rozmowę z rozpaloną głową
i z ust ich tysiące plotek płynie nowych.

A bo on jest taki, a ludzie mówili,
że on to tam z tamtą, a ponoć i w trójkę,
no, też to słyszałam, a ponoć robili
takie rzeczy, że aż wywołali bójkę!

Bo... to tak słyszałam, że mąż wcześniej wrócił,
bo miał drugą zmianę, sąsiadka mówiła,
a oni tam, wtedy, no wie pani, no i
jemu się krew z nosa strumieniem puściła!

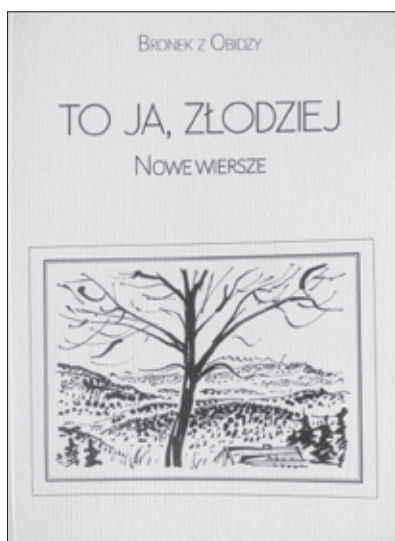
A po tej wymianie zdań jakże treściwej
przyjdą i powoli wejdą do kościoła.
O, Panie, zważ na to, jak Twa służebnica
o Twe wstawiennictwo w swoich sprawach woła.

A wcześniej by trzeba spytać samej siebie
czy słowa przy kawce beztrosko mówione
sprawdzonymi były? Jaką miały cenę?
w jaką naszą duszę prowadziły stronę?

A przyjdzie niedziela, słoneczna niedziela,
jedna z drugą środkiem prezbiterium kroczy,
do pierwszej ławeczki, tak, żeby nie musieć
patrzeć oczernianym ludziom prosto w oczy.

maj 2019

Recenzja tomiku Bronka z Obidzy „To ja, złodziej”



Paciorki wiecznego różańca

Po co się pisze wiersze? Jan Błoński w eseju *Róża, co nigdy nie zakwita* zauważa:

„[...] nie pisze się wierszy po to, aby opisać krajobraz, wzbudzić namietności lub skłonić do roztropnego działania. Wiersze są w istocie fabryką piękna, piękna słownego w poezji, malarskiego w rzeźbie czy malunku, piękna dźwięków w muzyce”.

Niezależnie jednak od intencji samego artysty czy funkcji, jakie przypisujemy poezji, jest ona zawsze wyrazem „światoodczucia” twórcy. Pisząc o wierszach Bolesława Leśmiana, Stanisław Balbus używa określenia „artystyczny wyraz samoświadomości”. Podążę tym tropem, aby zrekonstruować „światoodczucie” Bronka z Obidzy na podstawie jego ostatniego tomiku poetyckiego *To ja, złodziej*.

Złodziej słów

Poeta z Obidzy ma świadomość, że wszystko, co mówi, jest zanurzone w tradycji literackiej i szerzej – w kulturze, zatem w jakimś sensie jest „nie jego”, jest wtórne. Dlatego w wierszu otwierającym tomik przeprasza:

Dziś chcę was mocno przeprosić.
Stoję przed wami skruszony.

Za wszystkie nie moje wiersze,
Za wszystkie nie moje myśli.
(*Przepraszam*, 7)

Świadomy, że czerpie z kulturowego dziedzictwa pokoleń, podmiot wie, że uczestniczy w doświadczeniu ogólnoludzkim oraz że nasze bycie w świecie charakteryzuje powtarzalność i naśladownictwo. Wynika to z samej istoty życia, którego cechą jest przemijanie, a także z faktu zanurzenia we wspólnej tradycji, czyli w tym wszystkim, co nas formuje i określa nasz sposób postrzegania świata:

Wybacście mi, że niczym złodziej
kradłem czasami o świtanu
baśnie tysiąca jednej nocy
i resztki snów zapamiętanych.

Kradłem z proroków, mędrców, wieszczów,
nawet z wędrówki apostołów.
Z muzyki roztrzepanych świerszczy,
z języka ludzi i aniołów.
(*Przepraszam*, 7)

Wychowani w duchu kultury zwanej śródziemnomorską mamy wdrukowany pewien kod kulturowy, który jest częścią naszej tożsamości. Na pytanie, co w takim razie jest jego własne, poeta odpowiada w zakończeniu wiersza *Przepraszam*:

Moje są tylko niepokoje,
nieznane żale i udręka.

Moje jest to, co bez znaczenia,
nie zapisane gdzieś w zeszytach,
słabe i ciche jak westchnienia,
czyli zwyczajna proza życia.

Poezja jest zatem czymś niezwykłym, odświętnym. Czymś, co wynosi człowieka ponad jego własne doświadczenie. Być może jest formą uczestnictwa w sacrum. „Moje” niepokoje, „zwyczajna proza życia” – jak pisze Bronek z Obidzy – nie mają znaczenia, dopóki nie zostaną zapisane w wierszu. Wówczas nie są już tylko jego. Należą do ludzkiej wspólnoty.

Iść to znaczy wracać

Poeta jest zdomowiony w świecie, czyli w najbliższej okolicy. „Nie wychodziłem nigdy zbyt wysoko z dolin” – zwierza się w wierszu *Malinowy szlak*, ponieważ:

Na lodowej górze
Skowronek nie zaśpiewa, świerszcze nie zagrają.

Przehyba, Radziejowa, Koziarz nad Obidzą, Sopatowiec, „trzy korony Pienin” – to miejsca, gdzie podmiot czuje się „sobą u siebie” (gdyby posłużyć się formułą ks. Józefa Tischnera). Dom stanowi centrum, oś świata. Dlatego zawsze wraca tu, gdzie jego cały świat, do siebie:

Samochody, samoloty, pociągi i co z tego?
Choćbyś nawet całą ziemię przemierzył,
w gruncie rzeczy do niczego nie dojdiesz,
bo przez szybę nie poczujesz, nie dotkniesz.

A za sobą kilka metrów lub bliżej
zostawiłeś najpiękniejszy czas, zwany światem.
To tam kiedyś dziesięć kroków (odliczając od miedzy)
Uczyliło cię najbogatszym człowiekiem.

To tam właśnie zbudowałeś dom, miałeś dzieci i drzewa,
raj na ziemi, pachnące owocami jabłonie.

(To nie Ewa, przyjacielu, to nie Ewa, 45)

W wierszach z tomu *To ja, złodziej* często pobrzmiewa tęsknota za czasem dzieciństwa, kiedy świat był mały i bezpieczny, bo ograniczał się do domu, który dawał schronienie. Nie znaczy to jednak, że przemawia przez poetę gorzkość. Przeciwnie, wyłania się z tych strof człowiek pogodzony z sobą i ze światem, akceptujący życie, któremu wartość nadaje właśnie świadomość przemijania.

Podmiot „najbogatszy w samotność”, chociaż idzie własną drogą, żyje wśród ludzi (o których często i z sympatią pisze) i dla ludzi. Nie narzeka, lecz cieszy się z tego, co ma, „nie sięga wyżej”, bo ma wiarę i nadzieję, „dopóki jeszcze cień człowieka może odróżnić z lasów krzyż” (*Czym dalej w las*, 25).

Historia bliższa i dalsza powraca w kilku wierszach jako „przeklęty czas”. Jest w tych utworach bezradność, bunt i gniew, jakich doświadcza człowiek w obliczu zbrodni i okrucieństwa (*Wołyń*, 108), a także sprzeciw wobec zakłamywania historii (*Na litość diabła*, 41), wobec politycznej manipulacji (*Przeklęty czas*, 42) i wobec mieszaniny religii do polityki (*Wielkamoc*, 84).

O śmierci bez przesady

Podmiot wierszy Bronka z Obidzy to ktoś, kto istnieje w czasie, a więc przemija. Przemijaniu towarzyszy jednak przekonanie, że człowiek jest częścią większej całości, czyli bytu, a „byt to Bóg” – mógłby powtórzyć autor za Mistrzem Eckhartem. Człowiek „nie wszystkim umiera”:

Więc nie szukajcie mnie tam w górze
(niebem się bawią marzyciele),
ja nie odchodzę, aby umrzeć,
odchodzę tylko częścią siebie.

Częścią Jakuba, brata, szwagra,
może któregoś z apostołów,
więc jeśli dziś nas wiatr potarga,
jutro podniesie znów z popiołów.
(*Juhasom*, 9)

W wierszu *Mendelssohnem* o śmierci mówi bez patosu, z humorem, jakby odwracając ludowe przysłowie: „Starość – nie radość, młodość – nie wieczność, śmierć – nie wesele”:

Gdy ci się skończy ostatni bieg,
a pozostanie jedna prosta,
nie smuć się bracie, tylko śmiej
już inni będą cię nią nieśli.

Pójdzie ksiądz, ludzi rząd i organista.
Smętny grabarz uśmiechem przyklepie,
Bo już czeka kompania i czysta,
Twoje zdrowie przepiją pod sklepem.
(*Mendelssohnem*, 48)

Tytuł wiersza nawiązuje do znanej piosenki zespołu „Dwa plus jeden” *Windą do nieba*, z której cytaty pojawiają się w tekście. Orszak pogrzebowy staje się orszakiem weselnym, a stypa weselem. Śmierć zostaje oswojona i zwyciężona przez śmiech. Jest to śmiech groteskowy, karnawałowy, który godzi przeciwieństwa: życie i śmierć, radość i smutek.

Bóg w wierszach Bronka z Obidzy jest łaskawy i pobłażliwy, ponieważ zna pragnienia człowieka, jego słabości i wszystko rozumie. Podmiot wierzy, że Bóg kocha prostotę i „ułomność”, czyli niedoskonałość, więc najlepiej przemawiają do Niego „proste słowa”:

Aż gdzieś za wsią ostatnią, za ostatnim dymem,
zatrzymały Cię w końcu jakieś proste słowa.
[...]
Odbita z dna kuferka, spod strzechy słomianej,
z próchna rzeczne koła, ileż jeszcze można?
Wyszła Ci na spotkanie pastorałka z gwoździa.
Dla Ciebie najpiękniejsza, kolęda ułomna.
(*Pastorałka z gwoździa*, 14)

Paciorki w różańcu

W wierszu *Pocztówka z Obidzy* podmiot liczy tych, którzy na Obidzy żyją i tych, którzy odeszli. Stanowią oni jakby „paciorki w różańcu”. W ten sposób różaniec staje

się metaforą czasu, który pochłania kolejne pokolenia, ale także metaforą życia, które jest święte, czyli Boże:

A gdyby tak zebrać dzisiaj wszystkich naszych,
nie na „kocią łapę”, lecz zameldowanych,
byłoby nas pewnie ze trzydzieści razy,
licząc od początku do końca, różaniec.

A gdyby tak zliczyć tych, co stąd odeszli,
umarli, bądź tylko wsiąknęli gdzieś w ziemię,
to pewnie by trzeba znowu ze trzydzieści,
nie samych różańców, lecz pełnych tajemnic.

(Pocztówka z Obidzy, 37)

Po co się pisze wiersze? Poeta z Obidzy być może odpowiedziałby: żeby przekraczać siebie, mieć udział w wiecznym kole życia, być częstką wiecznego różańca, i żeby trwać, bo tylko to, co zostało wypowiedziane, a więc jest artystycznym wyrazem samoświadomości twórcy, może istnieć, kiedy nas już nie będzie.

Człowieczy los w wierszach Marzeny Setlak. Recenzja tomiku poetyckiego „Przemaalowani”

Na początek pozwolę sobie zacytować słowa Bronka z Obidzy, że „Malować, czy też pisać potrafi wielu”. I zgadzam się, że techniki można się nauczyć, że układ słów w wersach można szlifować przez lata i nawet dojść w tej kwestii do doskonałości, ale czy poezja niepisana sercem może być coś warta? Słowo samo w sobie nic przecież nie znaczy. To emocje nadają mu sensu, nie mówiąc o głębi; to indywidualne przeżycia generują słowa układające się potem w ciąg znaczeniowy wpisany w ramy wiersza.

Czym jednak byłby ten twór bez osobowości poety? Jego uczuć wyrażanych z pewną nieśmiałością, nienachalnie, bez fałszywej skromności? Taki właśnie obraz podmiotu mówiącego wyłania się z tomiku Marzeny Setlak *Przemaalowani* (Łącko 2019). W zebranych tutaj wierszach nie ma patetycznych słów, nie ma nadmiernej egzaltacji, nie ma nadmiernie wyeksponowanego „ja”, w czym celowali chociażby poeci epoki romantyzmu, nie ma zadęcia, moralizowania i patrzenia na czytelnika z góry. Chwilami nawet odnoszę wrażenie, że podmiot liryczny bierze go przyjaźnie pod rękę i prowadzi przez krajobrazy niedawnego Łącka – z furmankami jadącymi na tutejszy jarmark, furą siana na tle jabłoniowych sadów, krowami na pastwisku albo leniwymi letnimi popołudniami – pewnie niedzielnymi – niczym z filmów retro, z płynącymi się z offu słowami piosenek Mieczysława Fogga. Łącka, którego już nie ma, a które sama doskonale pamiętam.

Lektura tego niewielkiego tomiku, dopełnionego równie nostalgicznymi obrazami Mariusza Obrzuda, obudziła we mnie tak wiele wspomnień z czasów dzieciństwa spędzonego w nieodległej Kamienicy, że wciąż nie potrafię wypłatać się z chaosu skojarzeń. A może wcale nie powinnam się z nich wypłatywać, skoro rolą poezji jest pobudzanie odbiorców do myślenia, do wzruszeń, do wspominania dawnych dni zagrzebanych gdzieś głęboko pod nawalem codziennych spraw? Czytając wiersze Marzeny, każdy zapewne odnajdzie w nich coś innego (i taka jest zaleta poezji), ja natomiast odnalazłam własne dzieciństwo i nie potrafię już spojrzeć na nie chłodnym okiem krytyka.

Dla mnie to podróż w przeszłość, gdzie proste rzeczy i proste smaki, jak kromka zwykłego chleba bez masła, zyskują niesamowity wymiar. Takiego chleba z domowego wypieku, gdy ugniatało się ciasto w dzieżach, gdy podpatrywałam, jak rośnie



w uplecionych ze słomy koszykach przykrytych czystą ściereczką, a potem asystowałam mamie, gdy wkładała na drewnianej łopacie wyrośnięte bryły ciasta do nagrzanego chlebowego pieca. A kiedy po domu unosił się zapach, jaki po latach „poczułam” po lekturze jednego z wierszy, wyciąganie rumianych bochnów z pieca – z pozoru zwyczajna czynność – urastało do rangi święta.

Są chwile proste jak zapachy:
ze świeżym chlebem o poranku
z wrześnieją ziemią zaoraną,
sianem przed burzą, mlekiem w garnku.

W trakcie lektury tego fragmentu czytelnika ogarnia nie tylko aromat świeżego pieczywa, ale feeria innych dawno zapomnianych zapachów dzieciństwa, poczynawszy od zapachu mleka prosto od krowy, a skończywszy na zapachu rozoranej ziemi. Ten ostatni łatwo zresztą skojarzyć z obrazem wykopków Mariusza Obrzuda, którego realistyczne wyobrażenia świata powoli odchodzącego w przeszłość są doskonałym dopełnieniem utworów Marzeny.

Symbiotyczna wizja obojga artystów nie tylko składa się na ciekawą formę tomiku, ale i stanowi doskonałą kronikę codzienności – nienadzwyczajnej, ale w swojej prostocie pięknej; tak samo pełnej radości, jak i smutków; wypełnionej ciężką pracą, zwierzeniami przy flaszcach; banałami, a czasami pytaniami: „dokąd? jak? i po co?”. Dzięki prostym zabiegom stylistycznym czytelnik z łatwością zauważa, że człowieczy los nie jest bajką ani snem. Nieprzypadkowo parafrazuję tu słowa Anny German, bo podczas lektury wierszy wciąż pobrzmiwała mi w głowie melodia ze słynnej piosenki. Obrazy zwyczajnych szarych dni wyłaniające się z wierszy Marzeny, codziennej domowej krzątania albo matczynej troski „malowane” zwyczajnymi słowami są przejawem głębokiego humanizmu poetki, której nic co ludzkie, nie wydaje się obce.

Chociaż człowieczy los poza miłością i radością nie szczędzi smutków i trudów, poetka nie kłóci się ludźmi ani z Bogiem, a wręcz przeciwnie. Odbywa z nim spokojne, intymne rozmowy:

Po niedzielnej mszy siedzącej, nieuważnej,
wezmę Cię dziś na bok PANIE i opowiem
tak zwyczajnie i po świecku o tym życiu,
gdzie powszedniość brzmi dosadnie
i niezłomnie.

Z dojrzałością – by nie powiedzieć: ze stoickim spokojem – przyjmuje wszystko, co niesie ze sobą każdy dzień. Nawet jeśli nie narzuca czytelnikowi swoich opinii ani go nie poucza, nietrudno pokusić się o stwierdzenie, że nie powinniśmy marnotrawić życia na bunt („nie żyję tu za karę”) wobec tego co nieuniknione: upływu czasu czy nawet śmierci wspomnianej nie tylko „w listopadowej zadumie”. Żalobę i ból po stracie kogoś bliskiego trzeba po prostu przeżyć, choć „nie ma łatwych rozstań”.

Jeden tylko zegar ścienny
bim odmierza.

W bam podaje rozkład świąt i dni powszednich.

Gdy pogubisz w życiu chwile niepotrzebnie,

bim zawoła, bam dopowie: Pora wrócić.

Doceńmy zatem to, co mamy – podpowiada nienachalnie poetka – nawet te z pozoru nieważne chwile, które na ogół nabierają znaczenia dopiero po latach. Chwile spędzone z drugim człowiekiem, z Bogiem czy na łonie przyrody, z którą kojarzy się kolorystyka tomiku. Zieleń to kolor wiosny, pory w rocznym cyklu życia, w której odradza się przyroda tak bliska sercu Marzeny. Przyroda pięknie usposobiona w wierszach, jak choćby stary Dunajec poganiający wody, wiatr kołyszący łąki, halny śpiący na halach czy świerszcze dające koncert. Zieleń to również kolor nadziei. Nadziei w lepsze jutro, na spełnienie marzeń, na spotkanie z Bogiem. Nadziei przewijającej się między wersami tak subtelnie i z taką nieśmiałością, jak kiedyś mała istotka na dnie puszek Pandory.

„Subtelność” to także słowo idealnie pasujące do wierszy zebranych w tomiku, łączących teraźniejszość z przeszłością, w których wspomnienia dawnego Łącka, dzieciństwa poetki, ludzi czy krajobrazów nasuwają skojarzenia z obrazami impresjonistów malowanymi delikatnymi barwami i pociągnięciami pędzla. Na zakończenie znowu odwołam się do tekstu Bronka z Obidzy zamieszczonego na tylnej okładce *Przemaalowanych*, bo nie znalazłam lepszego wyrażenia na określenie charakteru poezji Marzeny, niż użyte przez poetę „pastelowe słowa”.

Z pełnym przekonaniem zachęcam do lektury, bo o tych wierszach opowiedzieć się nie da. Trzeba je po prostu przeczytać, wczuć się w ich klimat i pozwolić się porwać słowom, które potrafią obudzić w czytelniku dawno zapomniane zapachy i dźwięki.

Zatrzymane w kadrze



Piotr Kurzeja syn Wojciecha i Marii zd. Ćwikowska



Wiktoria Kurzeja zd. Arendarczyk córka Jakuba i Franciszki zd. Kałużna



Zofia Kurzeja I voto Klag II voto Ukleja córka Piotra i Wiktorii zd. Arendarczyk i Antoni Klag z Kuciówki syn Franciszka i Anny zd. Pasiud



Maria Kurzeja córka Piotra i Wiktorii zd. Arendarczyk i Michał Myjak



Władysław Kurzeja syn Piotra i Wiktorii zd. Arendarczyk i Janina Pasiud córka Stanisława i Zofii zd. Kurzeja



Helena Kurzeja córka Piotra i Wiktorii zd. Arendarczyk i Jan Więclawek



Franciszka Arendarczyk zd. Kałużna, córka Jana i Tekli zd. Florian



Zofia Pasiud zd. Kurzeja córka Wojciecha i Marii
zd. Ćwikowska



Franciszka Kurzeja córka Wojciecha i Marii zd. Ćwi-
kowska z mężem Janem Pałką



Zofia Pasiud zd. Kurzeja córka Wojciecha i Marii zd. Ćwikowska z najmłodszym synem Janem Pasiudem



Zofia Pasiud zd. Kurzeja córka Wojciecha
i Marii zd. Ćwikowska



W górnym rzędzie, stoją od lewej: Franciszek Pasiud syn Jana i Franciszki Ćwikowskiej, jego brat Stanisław Pasiud i Jan Bogucki. W środkowym rzędzie, siedzą od lewej: Zofia Pasiud zd. Kurzeja córka Wojciecha i Marii Ćwikowskiej, Franciszka Pasiud zd. Ćwikowska córka Antoniego i Marianny zd. Jaworskiej, Jan Pasiud syn Józefa i Marii zd. Majkrzak, Jadwiga Bogucka zd. Pasiud, córka Jana i Franciszki zd. Ćwikowska. Siedzą w dolnym rzędzie: Stanisław Bogucki, Wiesław Bogucki, Kazimierz Bogucki synowie Jana i Jadwigi zd. Pasiud

Piękno naszej ziemi

Kapliczka w Kiczni z 1882 roku po renowacji



Porządkując domową bibliotekę, znalazłam ciekawe dokumenty obrazujące jak mniej więcej wyglądało, pozyskiwanie ciekawych książek literatury polskiej i światowej do 1989 roku, i krótko po tym roku.

Książki zamawiane były w Księgarni Wysyłkowej, „Domu Książki” w Krakowie. Paczkę z książkami, za zaliczeniem pocztowym, przynosił listonosz do domu.

W ten właśnie sposób nabyte zostały „Dzieła Emigracyjne” Melchiora Wańkowicza, w tym *Bitwa o Monte Cassino*, *Droga do Urzędowa*, *Wrzesień żagwiący*, *De profundis*, *Polacy i Ameryka*, *Klub trzeciego miejsca*, *Kundlizm*, *Dzieje rodziny Korzeniewskich*, wydane przez Wydawnictwo Polonia w latach 1989-1992, bez cenzorskiej interwencji.

Postanowiłam przekazać te książki bibliotece szkolnej w Zespole Szkół Akademickich, w Nowym Sączu.

Państwowe Przedsiębiorstwo „Dom Książki” Księgarnia Wysyłkowa, zostało założone w 1950 roku. Przedsiębiorstwo przejęło część działających po wojnie prywatnych księgarni, oraz księgarnie należące do wydawnictw, i było głównym dystrybutorem książek w Polsce, wysyłało także zagranicę, działało w takiej formie do 1989 roku.

W strukturze „Domu Książki” działało 17 regionalnych przedsiębiorstw, które odpowiadały podziałowi administracyjnemu Polski w 1950 roku.

Rozpad przedsiębiorstwa rozpoczął się w 1989 roku. W latach 1989-1991, większość księgarni została przejęta przez pracowników, powstały spółki pracownicze. Oddziały „Domu Książki” zostały przekształcone bądź to w spółki pracownicze, bądź przejęte przez Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, sprzedane dużym wydawnictwom np. Firmie Łopuszański, część dostała się w prywatne ręce przedsiębiorców.

Wszystkie te przekształcenia zakończyły się około 2005 roku.



[illegible][illegible]

Od kulis ... Historia Grupy Teatralnej „Berecik” z Łącka

Grupa Teatralna „Berecik” powstała w 2003 roku. Na początku w swoich szeregach skupiała młodzież z grupy działającej przy parafii Łącko. Pierwszy spektakl wystawiony przez grupę nosił tytuł „Nie było miejsca...” i pokazany został w okresie świąt Bożego Narodzenia. Było to widowisko (wg mojego scenariusza), którego akcja toczy się współcześnie, właśnie w tym naszym zabieganym świecie Święta Rodzina szuka miejsca dla siebie. Kilkukrotnie wystawiane, gromadziło zawsze pełną salę teatralną domu katechetycznego w Łącku. Niestety nie były to czasy powszechnie dostępnych aparatów fotograficznych i z tego przedstawienia nie zachowało się żadne zdjęcie. Grupa na przestrzeni lat jeszcze kilkakrotnie



wystawiała spektakle o różnej tematyce. Zaczęła działać oficjalnie pod patronatem Gminnego Ośrodka Kultury w Łącku. Wielkim wyróżnieniem dla prężnie już wtedy działającej grupy było zakwalifikowanie się na XXXII Wadowickie Spotkania Teatralne w Wadowicach ze spektaklem „Dziady” Adama Mickiewicza w dniach 21-22 kwietnia 2005 roku. Oprócz spektakli wystawianych w ramach przeglądu odbywały się również warsztaty teatralne, kluby dyskusyjne. Grupa otrzymała również wyróżnienie na Sądeckiej Wiosnie Artystycznej. Był to naprawdę ciekawy czas, pełen nowych doświadczeń. Po tym niezwykle intensywnym okresie nastąpiła przerwa. Młodzież ukończyła szkoły średnie, wybrała się na studia, do pracy... Zakończył się pewien etap. Warto jednak zaznaczyć, iż był to czas „objawienia” wielkich talentów, nie tylko aktorskich, ale i scenograficznych, dekoratorskich, organizacyjnych, promocyjnych. Wszystko robiliśmy sami, dawało to olbrzymią satysfakcję, a ja ten czas wspominam z wielkim sentymentem.

Reaktywacja grupy nastąpiła w 2011 roku. Powstało również logo grupy zaprojektowane przez Kingę Zbozień. Na pierwszym spotkaniu pojawiła się mocna grupa ze Szkoły Podstawowej w Zagorzynie, z której część pozostała do dzisiaj, pracując nieprzerwanie w szeregach „Berecika” już od ośmiu lat. Udział w XVII Powiatowym Przeglądzie Teatrzyków Dziecięcych i Młodzieżowych w 2012 roku (organizator Powiatowy Młodzieżowy Dom Kultury w Starym Sączu) przyniósł pierwszy sukces reaktywowanej grupie – I miejsce za spektakl „Dziękuję ci, Nietoperzu” wg scenariusza Macieja Wojtyszki (kat. dziecięca) oraz III miejsce za „Świteziankę” Adama Mickiewicza (kat. młodzieżowa) – grupa była dość duża, więc powstała możliwość zapre-

zentowania spektakli w dwóch kategoriach. Nagrodę indywidualną za kreację aktorską otrzymał Szymon Chlipała. Przez kolejne lata grupa brała udział w przeglądach powiatowych zawsze, utrzymując się w czołówce (II miejsca w latach 2012, 2013 i 2015).

W roku 2014 Grupa Teatralna „Berecik” znowu sięgnęła po najwyższą nagrodę w powiecie za spektakl „Śluby Panieńskie” Aleksandra Fredy, tym razem za kreację aktorską został wyróżniony Kamil Korona. Warto zaznaczyć, że grupa brała także udział w konkursach regionalnych na poziomie gminnym, uzyskując kwalifikacje do Powiatowego Przeglądu Grup Kołędniczych w Mystkowie, zajmując tam również



Wadowice

wysokie miejsca. Dodatkowo swoje dokonania prezentowała na terenie gminy w placówkach szkolnych i przedszkolnych, jak również dla jej mieszkańców. Młodzi aktorzy uczestniczyli także w warsztatach teatralnych w Teatrze „Groteska” w Krakowie, jak również w spektaklach, przyglądając się grze profesjonalnych aktorów. Oprócz konkursowych spektakli grupa przygotowywała również jasełka, czy też spektakle pokazywane w okresie wielkiego postu, prezentując je m.in. w Łącku i kościele parafialnym w Woli Piskulinej.

W roku 2017 sięgnęliśmy po „nowe”. Po raz pierwszy zdecydowaliśmy się na udział w Małopolskich Spotkaniach Teatrów Amatorskich w Jabłonce, czyli tzw. Posiadach Teatralnych na Orawie organizowanych przez Małopolskie Centrum Kultury Sokół. Ponieważ młodzież, z którą zaczynałam pracę w 2011 roku, osiągnęła pełnoletniość, można było stanąć w szranki w konkursie dla dorosłych. Pojechalśmy tam ze spektaklem pt. „Król wschodzącego słońca” (scenariusz Adam Piekarczyński). W konkursie wzięło udział 15 grup z ośmiu powiatów województwa małopolskiego, w tym nasza, jako jedyna prezentująca powiat nowosądecki. Trzeba przyznać, że trema była ogromna, tym bardziej, że scena profesjonalna, do tego światła, no i jury... Po spektaklu jurorzy omawiali spektakl wraz ze mną, udzielając cennych wskazówek i porad. Zwrócili wtedy uwagę na bardzo dobrą grę aktorską Eweliny Kutwy. Nie czu-

łam jednak euforii po tym spotkaniu, jak się okazało, niesłusznie. Jury w składzie: Maria Brylak-Załuska – etnograf, Jerzy Hojda – aktor, reżyser, scenarzysta i Andrzej Róg – aktor, reżyser i scenarzysta w uwagach o spektaklach w załączniku do protokołu umieściło taką notatkę: *KRÓL WSCHODZĄCEGO SŁOŃCA* (reż. Bernadetta Wąchala-Gawełek) Grupy Teatralnej BEREK z Łącka – młodzież wraz z reżyserem stworzyli interesujący, poetycki moralitet. Forma ta wymaga wysokiej kultury przekazu słowa, gestu i prawdy emocjonalnej. Życzymy rozwoju sztuki aktorskiej.” I przyznali nam III miejsce (warto zaznaczyć, że I miejsca nie przyznano).

Jeszcze w tym samym roku mój autorski spektakl „Śladami św. Kingi” zdobył I miejsce na Powiatowym Przeglądzie Teatrzyków Dziecięcych i Młodzieżowych w Starym Sączu. Wyzwanie było tym trudniejsze, że w przedstawieniu wzięło udział dwadzieścia pięć osób, wśród których najmłodsi mieli 5 lat.

W roku 2018 po raz kolejny, już tym razem wiedząc w co wchodzimy, zdecydowaliśmy się na udział w kolejnych Posiadach Teatralnych na Orawie prezentując „Dziady cz. II” na podstawie Adama Mickiewicza. Aby jednak zostawić pewną nieprzewidywalność tego widowiska, wspólnie z Marcinem Wnękiem i Szymonem Chlipałą dopisaliśmy dodatkowe sceny na początku i końcu Mickiewiczowskiej części II. Okazało się, że przyniosło to oczekiwany efekt. Od jurorów usłyszeliśmy: *Ale nas zaskoczyliście i jeszcze: Wszystkie uwagi, które napisałem, mogę teraz wsadzić do kosza.* Było to dla nas wielką nagrodą. Jury obradowało w składzie: dr Inka Dowlasz – reżyser, dr hab. Edward Wojtaszek – reżyser, Andrzej Róg – aktor i Benedykt Kafel – etnograf. Ten spektakl również dał nam III miejsce, a tym razem konkurencja była większa, bo udział wzięło aż 17 grup. Przedstawiciele młodszej grupy już wcześniej na Gminnym Konkursie Grup Kolędniczych zdobyli I miejsce, zaś na powiatowym wyróżnienie, a cała grupa zdobyła również wyróżnienie na Powiatowym Przeglądzie Teatrzyków Dziecięcych i Młodzieżowych. W dniu 3 listopada w sali teatralnej domu katechetycznego w Łącku wystawiliśmy nasze „Dziady”, a życzliwe przyjęcie tego spektaklu przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Co więcej, na widowni pojawili się członkowie pierwszego składu grupy, co było dla mnie osobiście ogromnie wzruszające. Sezon teatralny 2018 zakończyliśmy widowiskiem mikołajkowym zaprezentowanym w trakcie Kiermaszu Świątecznego w Łącku.

Rok 2019 okazał się dla grupy niezwykle intensywny, a jednocześnie szczęśliwy. Od początku roku zaczęliśmy współpracować z Chórem Parafialnym „Zew gór”. Marcin Wnęk – łącki organista, jak również dyrygent chóru, który już od ponad roku działał też w naszej grupie, napisał scenariusz traktujący o życiu jego wielkiego poprzednika Tadeusza Moryty. Scenariusz wzięliśmy „na warsztat”. Oczywiście nie było to proste, wymagało pewnych zmian, połączenia ze sobą dwóch grup ludzi, ale jak stwierdziliśmy, dało naprawdę dobry efekt. Co więcej, okazało się że chórzysci obdarzeni artystycznymi duszami posiadają również predyspozycje aktorskie. Do realizacji spektaklu dołączyli również nowi członkowie związani z „Góralami Łąckimi”, których doświadczenie okazało się bardzo ważne, jak również ci, którzy kiedyś występowali w pierwszym składzie „Bereka”. Ogółem w przedstawieniu tym wystąpiło

30 osób. Komisja artystyczna 7. Małopolskich Spotkań Teatrów Amatorskich Posiady Teatralne na Orawie w składzie: dr Inka Dowłasz – reżyser, Łukasz Fijał – reżyser, Andrzej Franczyk – aktor i Zofia Skwarło – regionalista, w trakcie omówień niezwykle ciepło wypowiadała się na temat spektaklu pt. „Muzyką i pieśnią żyłeś razem z nami – Tadeusz Moryto (1914-1969)”. Jurorzy podkreślali jego wagę, zarówno dla środowiska lokalnego, jak również dla tych, którzy ten spektakl mieli okazję obejrzeć w trakcie Posiadów Teatralnych na Orawie. W efekcie przedstawienie otrzymało II miejsce, a Marcin Wnęk nagrodę indywidualną za kreację aktorską. Spektakl został zaprezentowany również w Łącku w trakcie uroczystych obchodów upamiętniających 50. rocznicę śmierci Tadeusza Moryty i, jak się okazało, stał się okazją do wielu wspomnień i wzruszeń, szczególnie dla rodziny Morytów, jak również osób pamiętających śp. Tadeusza.

Młodsza grupa pozazdrościła starszym koleżankom i kolegom sukcesu, oczywiście w pozytywnym tego słowa znaczeniu. W trakcie XXIV Powiatowego Przeglądu Teatrzyków Dziecięcych i Młodzieżowych za spektakl na podstawie scenariusza Marii Kownackiej pt. „O Bidzie i złotych jabłkach” zdobyła również II miejsce, zaś Klaudia Rams indywidualną nagrodę za kreację aktorską. Piękną scenografię wykonała Magdalena Leszko. Przedstawienie zostało pokazane także w Skansenie w Nowym Sączu w trakcie majówki oraz w Łącku w trakcie lokalnych uroczystości. Spełniło ono jednocześnie niezwykle ważną rolę edukacyjną – przypomniało historię oraz dokonania niezwykłego człowieka, prekursora nowoczesnego sadownictwa i dyrektora szkoły w Łącku Stanisława Wilkowicza. Grupa młodsza wzięła także udział w Świętojańskich Dniach Rodzin, prezentując wspólnie ze scholką parafialną pod kierunkiem Anny Muszyńskiej autorskie widowisko pt. „Chcemy kroczyć ku wyżynom” o postaci bł. siostry Celestyny Faron. Wspomnieć również należy o udziale grupy na przestrzeni minionych lat w uroczystościach patriotycznych, a także w Narodowym Czytaniu u boku aktorów Teatru Nowego w Nowym Sączu.

Rok 2020 postawił przed nami kolejne wyzwania. Szykowaliśmy dwa spektakle „Królową Śniegu” z grupą młodszą, zaś z grupą starszą kolejny autorski spektakl pokazujący tym razem kolejną wyjątkową historię związaną z łącką ziemią. „Życie jak teatr – Anna i Jan Bucykowie” to opowieść o nauczycielach Szkoły Podstawowej w Zabrzeżu, którzy zaczęli pracę zaraz po II wojnie światowej i nie bacząc na trudności, dzięki niezwykłej charyzmie i zaangażowaniu, stworzyli placówkę zaliczaną do wiodących w województwie. Jan Bucyk jako kierownik szkoły pozyskał dotację, która pozwoliła na remont zniszczonego w wyniku działań wojennych nowego budynku i przeniesienie właśnie tam działań edukacyjnych i wychowawczych. Współ z żoną Anna powołała do życia teatr lalkowy „Bajdurka”, który w krótkim czasie stał się wizytówką szkoły, ale również regionu. Brał udział w przeglądach i festiwalach uzyskując wysokie lokaty, a przy tym również organizował przedstawienia dla społeczności lokalnej. Sława tego teatru szybko poszła w Polskę za pośrednictwem ówczesnych mediów. Zabrzeż zaczęli odwiedzać znani pisarze, instruktorzy, aktorzy. Wspomnieć tu należy Marię Kownacką, która zafascynowana działalnością Bucyków i ich teatru podarowała im scenariusz

spektaklu „O Bidzie i złotych jabłkach”. Bucykowie przygotowywali również ciekawe prezentacje z olbrzymimi lalkami uatrakcyjnając pochody na Święcie Kwitnącej Jabłoni. To naprawdę skrótowy opis szerokiej działalności Bucyków, jak również ich pomysłów na integrację środowiska zabrzeskiego. Pisząc scenariusz tego spektaklu oparłam się na wspomnieniach dzieci pp. Bucyków – p. Barbary i p. Krzysztofa. Goszcząc w ich domu, spotykając całą rodzinę, w tym wnuczki Agnieszkę i Małgorzatę, przeglądając zdjęcia, oglądając obrazy, które wyszły spod ręki Jana, czując ten klimat, mogłam jeszcze doprecyzować obraz, który już powstał w mojej głowie i został przełany na papier, wykorzystałam w nim również fragmenty przygotowanego z grupą młodszą spektaklu „O Bidzie...”. Scenografię, lalki oraz odtworzoną makietę „Bajdurki” według archiwalnych zdjęć wykonała Magdalena Leszko wraz z mężem Piotrem. Tym razem również nasz spektakl pokazaliśmy na Posiadach Teatralnych na Orawie, mając tym większą treść, że na widowni zasiadła najbliższa rodzina głównych bohaterów spektaklu, a także wójt gminy Łącko Jan Dziedzina z małżonką. To przedstawienie było równie dużym przedsięwzięciem, bowiem na scenie wystąpiło w sumie 27 osób, w tym również dzieci, bo jakże inaczej można było pokazać pracę w szkole. Na ich naturalność zwróciła uwagę szczególnie p. Urszula Gieroń – etnografka. Nie mogę tutaj pominąć faktu, że do grupy dołączyli już jako aktorzy, ci którzy w ubiegłym roku występowali jako chórzyscy w spektaklu o Tadeuszu Morycie. Nasze przedstawienie zostało wyróżnione, otrzymując niezwykle przychylne opinie od jury w składzie: Inka Dowłasz – reżyser, Urszula Gieroń – etnograf, Janusz Michalik – animator teatralny i Jan Zdziarski – instruktor teatralny. Największą jednak nagrodą okazały się łzy wzruszenia ze strony dzieci pp. Bucyków – p. Barbary i p. Krzysztofa, którzy również siebie mogli zobaczyć na scenie odtworzonych przez młodszych aktorów. Towarzyszyli oni nam – mnie i Marcinowi Wnękowi (odtwórcy roli Jana) – w trakcie omówień i spotkania z jurorami. Równie miłą niespodzianką był komentarz na naszym fb, zamieszczony pod zdjęciami ze spektaklu przez p. dr Inkę Dowłasz – członkinię jury, ale przede wszystkim reżyser teatralną, scenarzystkę, psychologa i wykładowcę akademickiego, która napisała: *Widziałam bardzo ciekawy spektakl. Kibicuję Waszemu zespołowi, zaś w wiadomości: Życzę wytrwałości. Bezcenne jest, co robicie.*

To niezwykle skrócona historia Grupy Teatralnej „Berecik”, która mam nadzieję, już na stałe wpisała się w łącki krajobraz kulturalny. Jej skład ciągle się rozszerza, są nowe plany i pomysły na spektakle. Oczywiście wszystko wymaga czasu, ale najważniejsze jest to, że praca w niej daje wszystkim wiele radości i satysfakcji. Naszą działalność najlepiej odzwierciedlają słowa Tove Jansson: Teatr jest najważniejszą rzeczą na świecie, gdyż tam pokazuje się ludziom, jakimi mogliby być, jakimi pragnęliby być, choć nie mają na to odwagi, i jakimi są. Wszystkim, którzy przez te lata współtworzyli tę grupę i ją wspierali, z całego serca dziękuję i do zobaczenia na kolejnych przedstawieniach.



Od lewej: Jolanta Sopata, Krzysztof Bucyk, Wojciech Zasadni, Barbara Bucyk, Marcin Wnęk, Agnieszka Kurzeja, Joanna Pyrdoł, Anna Muszyńska, Patrycja Adamczyk, Karolina Gromala, Wojciech Pyrdoł, Gabriela Chrobak, Wiktoria Pierzchała, Kacper Myjak, Zuzanna Gromala, Marta Hebda, Emilia Tokarczyk, Klaudia Rams, Bernadetta Wąchała – Gawęłek, Gabriela Gromala.
Klęczą od lewej: Małgorzata Zygałło, Jadwiga Pawlikowska, Rita Zygałło, Kamil Gromala, Tomasz Kulig, Paweł Korona, Andrzej Gawęłek



„Dziady”



Jasełka na Woli



Kolędnicy w przedszkolu w Łącku



„Moryto”



„O bidzie i złotych jabłkach”



„Śladami św. Kingi”. I miejsce w Powiatowym Przeglądzie Teatrów Dziecięcych i Młodzieżowych w Starym Sączu

Fot.arch. własne Bernadetta Wąchała - Gawełek, arch. MCKSOKÓŁ w Nowym Sączu, arch. PMDK, w Starym Sączu, arch. GOK w Łącku, Małgorzata Zygałło, Justyna Biel, Monika Wnęk, Marek Harbaczewski, Marek Lipień, Józef Klimek

***Wyróżnienie dla Grupy Teatralnej „Berecik” z Łącka
na VIII Małopolskich Spotkaniach Teatrów Amatorskich
„Posiady Teatralne na Orawie” w Jabłonce***



Wspólne zdjęcie aktorów spektaklu i reżyser przedstawienia

7 marca 2020 r. na VIII Małopolskich Spotkaniach Teatrów Amatorskich „Posiady Teatralne na Orawie” w Jabłonce, Grupa Teatralna „Berecik” z Łącka zdobyła wyróżnienie za spektakl **„Życie jak teatr – Anna i Jan Bucykowie”** (scenariusz i reżyseria Bernadetta Wąchała – Gawełek).

Sztuka opowiada o życiu i twórczości nauczycieli Szkoły Podstawowej w Zabrzeży. Rozpoczyna się fanfarą programu telewizyjnego i zapowiedzią prowadzącej, że w studiu Telewizji Polskiej w Warszawie gościmy Annę i Jana Bucyków – nauczycieli pracujących w szkole podstawowej w Zabrzeży na Sąddeckim, którzy stworzyli amatorski teatr „Bajdurka”. Zapowiedź kończy się pytaniem: „Pani Anno, panie Janie, jak to wszystko się zaczęło?”

W pierwszej scenie widać młode małżeństwo rozpakowujące się w mieszkaniu służbowym. Wieszają na ścianie lampę naftową, obraz narysowany przez Jana i ślubne zdjęcie oprawione w drewnianą ramę. Jan komentuje trudne warunki lokalowe obecnego budynku szkoły, w którym będą mieszkać, m.in. wilgoć i grzyb na ścianach. Mówi też o nowym budynku, który mieszkańcy Zabrzeży postawili

„czynem społecznym” w 1936 roku. Ubolewa nad bezsensownymi stratami poniesionymi w czasie wojny, wspomina poprzestrzelane ściany, rozbity w górnej części piec kaflowy. Anna reaguje łagodnie i optymistycznie na obecne warunki. Zwraca uwagę na dobrych i życzliwych sąsiadów, a także czyste powietrze, które dobrze działa na ich małego synka – Tadzia.

Małżonkowie snują już plany dotyczące pracy w szkole, zauważają brak pomocy naukowych, map, atlasów, dzienników. Planują nadrobić z dziećmi braki w wiedzy i wziąć się za remont budynku nowej szkoły.

W pewnym momencie na scenę wbiega chłopiec, Antek. Przynosi zaskoczonym Bucykom koszyk z wiktem od swojej matki, który ma postarczyć na parę dni. Opowiada przy okazji historię swojego ciężkiego życia. Wspomina o wcześniejszym kierowniku szkoły, panu Makulaku, uczącym ich liter z gazety „Ster”, która, jak dodaje, *barz pod Niomców robiona była, co by z nas ich sługusów zrobić*. Jan zaprasza chłopca aby częściej ich odwiedzał. Razem z żoną cieszą się, *bo jeszcze rano martwili się, że nie mają nic do jedzenia*.

Anegdota ta, wpleciona przez Bernadettę jako wytwór jej wyobraźni, miała miejsce w rzeczywistości. Opowiadała nam później o tym córka państwa Bucyków – Barbara, a także nauczycielka łackiej szkoły, Maria Franczyk, która jako wychowanka Bucyków z zabrzeskiej szkoły wspominała ich bardzo ciepło. To właśnie parobek z ich rodzinnego domu – z Młyna – przyniósł nowym nauczycielom pożywienie.



Od lewej: Marcin Wnęk, Jolanta Sopata, Krzysztof Trzepak, Marta Hebda, Małgorzata Zygadło, Rita Zygadło, Agnieszka Kurzeja, Gabriela Gromala, stoją od lewej: Dawid Kunicki i Kacper Myjak

Ten akt akceptacji ze strony mieszkańców Zabrzeży motywuje scenicznych Bucyków do pracy. Zaczynają snuć plany i marzenia, a Anna w tej pierwszej scenie podejmuje decyzję o prowadzeniu kroniki szkolnej.

W kolejnej scenie widzimy mieszkańców wsi, którzy odpowiedzieli na zaproszenie Jana Bucyka i biorą udział w zebraniu wiejskim dotyczącym remontu budynku nowej szkoły. Jan zabiera głos, w kilku słowach przedstawia swój pomysł co zostaje dość sceptyczne przyjęte przez jednego z młodych mężczyzn, który próbuje wymigać się od pracy społecznej, argumentując, że *sami ledwo po tej wojnie próbują jakosi żyć, wiuzać koniec z końcem*. Jego wypowiedź spotyka się z gwałtownym oburzeniem Wawrzyńca Gałysy, zabrzeskiego aktywisty i społecznika stojącego do tej pory z tyłu. Zapewnia on o swojej pomocy i wsparciu, a następnie prosi kierownika o pokazanie planów budynku. Jego entuzjazm udziela się pozostałym uczestnikom spotkania, którzy obiecują pomoc.

W scenie trzeciej po raz pierwszy pojawiają się dzieci szkolne. Ubrane w codzienne stroje z lat powojennych uczą się czytać pod baczным okiem Anny Bucykowej. Powtarzają wierszyk na pierwsze uroczyste rozpoczęcie roku szkolnego 1945/1946.

Na proscenium widzimy wiejskie kobiety, które komentują obecne poczynania *kierowników szkoły*. Doceniają ich pracę i kreatywność przy tworzeniu lalek kukielkowych *ze starych szmat*. Ze współczuciem wspominają paskudną chorobę, która także Bucykom zabrała dziecko. Chodzi o zapalenie opon mózgowych, na które zmarł Tadeusz Bucyk. Zachwycają się organizowanymi wycieczkami, dzięki którym dzieci miały możliwość zobaczyć Kraków, czy Wieliczkę.

Na scenę wbiega rozentuzjasmowany Jan i oznajmia żonie, że z Kuratorium w Krakowie otrzymali dotację – pięćset tysięcy złotych na dokończenie budynku szkoły. Dzięki tej kwocie uda im się wykończyć dwie sale lekcyjne, stworzyć kancelarię i wyremontować trzy izby mieszkalne na poddaszu.

W kolejnej scenie widzimy krótki obrazek sceniczny przedstawiający zabrzeskie kobiety przygotowujące stroje i lalki. Jan z Wawrzyńcem zbijają dekorację teatryku „Bajdurka”.

W tym miejscu chcę zaznaczyć nieocenioną pomoc Magdaleny Leszko, prowadzącej przy Gminnym Ośrodku Kultury w Łącku Warsztaty Plastyczne. Potrafiła z ogromną precyzją odtworzyć zarówno makietę teatru, jak również lalki w taki sposób, w jaki robił je Jan Bucyk sześćdziesiąt lat temu.

Akt pierwszy kończy się zdaniem: „*I miejsce w powiatowych eliminacjach Szkolnych Zespołów Artystycznych zdobywa teatr „Bajdurka” ze Szkoły Podstawowej w Zabrzeży za spektakl pt. „Miała babuleńka kozła upartego” wg scenariusza Marii Kownackiej.*”

Drugi akt rozpoczyna się sceną łuskania grochu przez zabrzeskie gospodynie w domu Wawrzyńca Gałysy. Kobiety zachwalają sukcesy dzieci, o których jest już głośno w ogólnopolskich gazetach i telewizji. Wspominają barwne krowody podczas Święta Kwitnącej Jabłoni, w trakcie których przez Łącko *paradowały wielkie kukły* stworzone przez zabrzeskiego nauczyciela. Mówią też



Joanna Pyrdol i Marcin Wnęk

o Wawrzyńcu jako *prawej ręce kierownika*, wspaniałym stolarzu i majstrze, który potrafił sam skonstruować domową elektrownię produkującą prąd dla własnego gospodarstwa.

Kolejną scenę rozpoczyna okrzyk Jana – „*Jezus Maria! Autobus już w Wietrznicach! spóźnię się!*” Wybiega na scenę bez koszuli, ubiera się szybko i błaga żonę, aby zbiegła na dół i poprosiła kierowcę, żeby poczekał. Z boku sceny widzimy już Starostę – Komunistę, który w dalszej części zachęca Jana do wstąpienia do Partii. Mimo wielu obietnic i zapewnień Jan pozostaje nieugięty, a ich spotkanie kończy przekornie, że *o niczym innym nie marzy jak o pracy w szkole w Zabrzeży – i to końca życia*.

Tą autentyczną historię opowiedziała córka Jana Bucyka, Barbara. Jan do końca życia nie wstąpił do Partii, mimo że był kierownikiem szkoły. Historia o jego spóźnialstwie i wstawaniu dopiero gdy widział światła w oddalonych o kilometr Wietrznicach także jest prawdziwa.

W kolejnej scenie do klasy szkolnej w towarzystwie Anny Bucyk wchodzi Maria Kownacka. Dzieci są zachwycone obecnością znanej pisarki. Opowiadają o przeszłości tej ziemi, a także o Stanisławie Wilkowiczu, kierowniku łąckiej szkoły, który walczył z tutejszą biedą.

Widzimy dzieci Bucyków, Krzysia i Basię, którzy proszą znaną autorkę „Plastusiowego pamiętnika” o kolejną porcję opowiadań. Maria Kownacka wręcza Annie nowe przedstawienie „O bidzie i złotych jabłkach”. W dalszej części pozna-



Wojciech Pyrdół -komunistyczny starosta

je Bucyków ze swoim znajomym, aktorem, reżyserem i instruktorem teatralnym lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – Stanisławem Iłowskim.

W sieci nie ma ani jednego zdjęcia, na którym moglibyśmy się wzorować, jego postać znaliśmy tylko z pozycji literackich, a także z pięknego wpisu, który zostawił w kronice zabrzeskiej szkoły.

Wraz z Bernadettą – reżyser przedstawienia, wyobrażaliśmy sobie Stanisława Iłowskiego jako wysokiego, dobrze zbudowanego bruneta, z przedwojenną prezencją i nienaganną aparycją.

Tymi kryteriami kierowaliśmy się przy doborze aktora do tej roli. Nasza wizja rozpadła się w proch w momencie naszej rozmowy z córką pp. Bucyków, Barbarą. Na pytanie *Jak wyglądał Stanisław Iłowski?* odpowiedziała: „*To była w zasadzie karykatura człowieka. Niski, łysy, w grubych okularach, cho-*

dził niedbale ubrany. Wyprzedził epokę bo w latach pięćdziesiątych nosił spodnie dresowe z krokiem w kolanach. Nie dbał zupełnie o wygląd.” Spojrzałem w tej chwili na Bernadkę. Patrzyła nieobecny wzrokiem w salaterkę z sosem tatarskim, przygarbiona z lekko otwartymi ustami myślała, jak z wysokiego, przystojnego bruneta, którego wybrała do tej roli stworzyć *karykaturę człowieka*. Nie było łatwo.

Przed występem zadałem pani Basi pytanie: „Czy Iłowski wyglądał podobnie?” spojrzała na Wojtka Zasadniego, wcielającego się w rolę ekscentrycznego reżysera i odpowiedziała „Na pewno chciałby tak dobrze wyglądać.”

Zachowanie Iłowskiego na scenie jest równie nietuzinkowe jak jego wygląd. Mimo widocznej różnicy wieku, z własnej inicjatywy od razu przechodzi z Janem „na ty” i po chwili udziela praktycznych wskazówek.



Wojciech Zasadni jako Stanisław Iłowski



„O bidzie i złotych jabłkach”



Od lewej: Krystian Pustulka, Patrycja Adamczyk, Joanna Pyrdół, Marcin Wnęk, Emilia Tokarczyk, Kamil Gromala, Karolina Gromala, Zuzanna Gromala, Andrzej Gawełek



Portret ślubny Anny i Jana Bucyków (Joanna Pyrdoł i Marcin Wnęk) stworzony przez Małgorzatę Zygałdło na podstawie zdjęcia ślubnego z lat czterdziestych

W kolejnej scenie widzimy fragment przedstawienia „O bidzie i złotych jabłkach”. (Sztuka Marii Kownackiej była przez teatr „Berecik” wystawiana już kilkakrotnie, a na Powiatowym Przeglądzie Teatrzyków Dziecięcych i Młodzieżowych pod patronatem Starosty Nowosądeckiego Marka Kwiatkowskiego grupa zdobyła II miejsce, ponadto grająca główną rolę Klaudia Rams otrzymała nagrodę indywidualną za kreację aktorską.)

Ostatnia scena przedstawia studio Telewizji Polskiej w Warszawie, gdzie zaproszeni zostali Anna i Jan Bucykowie wraz z dziećmi z zabrzeskiej szkoły. Po krótkiej chwili przygotowań, z ust pani redaktor padają słowa, którymi rozpoczęliśmy nasze przedstawienie. Światło gaśnie.

Największym sukcesem dla mnie były słowa Barbary i Krzysztofa Bucyków, którzy po zakończonym spektaklu ze łzami w oczach powiedzieli, że widzieli w nas swoich rodziców. Ich zdaniem potrafiliśmy stworzyć na scenie klimat powojennej Zabrzeży. Chwalili też sceniczną Marię Kownacką (w tej roli Anna Muszyńska) widząc w niej podobieństwo do znanej pisarki. Budujące było przede wszystkim to, że poprzez udział w tym niezwykle przedsięwzięciu udało się nam poznać i przybliżyć innym tak wspaniałych ludzi, jakimi byli Anna i Jan Bucykowie. Ich wkład w rozwój naszej łąkiej, a zwłaszcza zabrzeskiej ziemi jest nieoceniony. Jestem pewny, że wszyscy biorący udział w tym przedstawieniu (bez względu na wiek) do końca życia zapamiętają, kim byli ci niesamowici nauczyciele. W czasach, kiedy Za-



Miała babuleńka...



Łuskanie grochu w domu Wawrzyńca Gałysy



„Drogie dzieci, przedstawiam wam Marię Kownacką...”



„Pobyt w Zabrzeży dał mi okazję zaprzyjaźnić się serdecznie z Hanią i Jasiem Bucykami, którym życzę gorąco, aby podjęta przez nich praca dała wiele radości i zadowolenia jako wychowawcom i społecznikom” (wpis S. Iłowskiego w Kronice SP w Zabrzeży)

brzeź nie była jeszcze zelektryfikowana, w całej Polsce było już głośno o teatryku „Bajdurka”, dzięki transmisjom radiowym i nagraniu, które przeprowadziła Polska Kronika Filmowa.

Może właśnie dzisiaj potrzeba przypominać o tych cichych i skromnych bohaterach, którzy w tak ciężkich czasach chcieli w dzieciach zaszcześcić miłość do teatru, literatury i sztuki? Może właśnie dzisiaj warto ich imieniem nazwać jakąś instytucję pożytku społecznego i tym samym utworzyć im najtrwalszy pomnik? Może właśnie dzisiaj trzeba wskazywać ich jako wzór do naśladowania, wzór samozaparcia, ciężkiej codziennej pracy, która prowadzi do sukcesu?

Dziękuję w tym miejscu rodzinie Bucyków, którzy obdarzyli nas – z wzajemnością – ogromną sympatią i zaufaniem. Dziękuję za pożyczenie reprodukcji obrazu „Madonniny” Roberto Ferruzziego autorstwa Jana Bucyka, za godziny rozmów i niepowtarzalną, ciepłą atmosferę ich domu w Zabrzeży.

Mieliśmy plany wystawić tę sztukę w Zabrzeży 18 kwietnia 2020 roku, w 75 rocznicę objęcia posady kierownika Szkoły przez Jana Bucyka i 1 maja 2020 roku w Łącku, jednak z powodu epidemii koronawirusa plany te musieliśmy przełożyć na bliżej nieokreślone „później”... Szkoda, bo mieszkańcy Zabrzeży powinni przypomnieć sobie o Bucykach, o „Bajdurce” i o ich wkładzie w rozwój całej Sądecczyny. Mamy nadzieję, że gdy epidemia minie, będzie nam dane wystawić tę sztukę i już w następnym numerze Almanachu przeczytamy właśnie o tym!

W sztuce udział wzięli:

Anna Bucyk – Joanna Pyrdoł

Jan Bucyk – Marcin Wnęk

Antek – Andrzej Gawełek

Wawrzyniec Gałysa – Krzysztof Trzepak

Maria Kownacka – Anna Muszyńska

Stanisław Iłowski – Wojciech Zasadni

Starosta – Wojciech Pyrdoł

Dziennikarka – Patrycja Adamczyk

Operator kamery – Krystian Pustułka

Mieszkańcy Zabrzeży:

Jolanta Sopata

Marta Hebda

Małgorzata Zygadło

Gabriela Gromala

Agnieszka Kurzeja

Klaudia Rams

Kacper Myjak

Dawid Kunicki

Dzieci:

Andrzej Gawełek

Karolina Gromala

Tomasz Kulig

Kamil Gromala

Wiktoria Pierzchała

Paweł Korona

Zuzanna Gromala

Emilia Tokarczyk

Gabriela Chrobak

Jadwiga Pawlikowska

Rita Zygałło

Scenariusz i reżyseria: Bernadetta Wąchała – Gawełek

Scenografia – Magdalena i Piotr Leszko

Opracowanie muzyczne – Marcin Wnęk

Zdjęcia – Monika Wnęk, Małgorzata Zygałło, Marek Lipień

Fot. Monika Wnęk

Kiedy pojawił się pomysł stworzenia własnego przedsiębiorstwa – tłoczni soków?

– Pomysł stworzenia własnej ekologicznej tłoczni owoców pojawił się już w szkole średniej. Na studiach rozwijałem swoją wiedzę dotyczącą produkcji owoców. Po studiach przejąłem gospodarstwo, i gdy pojawił się problem ze zbyt dużym urodzajem owoców, postanowiłem spróbować produkcji soków bezpośrednio tłoczonych.



Piknik Poznaj Dobrą Żywność, 2012 r.

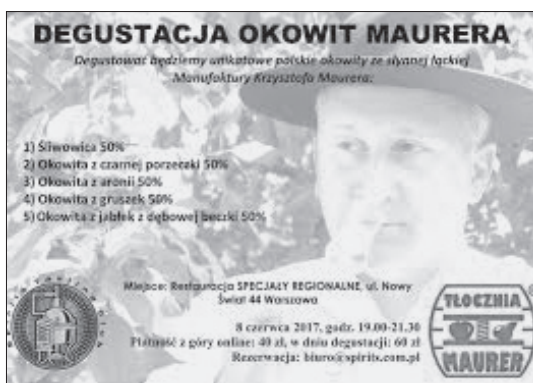
Zachowałem recepturę stosowaną w naszym gospodarstwie od lat, najpierw przez dziadka, a później przez ojca, którzy wyciskali soki na własne potrzeby. Gospodarstwo posiadało odległą tradycję sadowniczą. Sady na stokach nad Dunajcem założył mój dziadek, potem ojciec przejął gospodarstwo i uprawiał soczyste górskie jabłka. Takie rodzinne tradycje nie mogły się zmarnować. W 1996 roku zacząłem prowadzić gospodarstwo na własny rachunek. Wyjazd do Niemiec i Szwajcarii, obserwacja tamtejszych rodzinnych tłoczni, zdecydował o tym, że zacząłem wcielać w życie pomysł stworzenia własnej tłoczni. Poza motywami finansowymi chciałem też możliwie wiernie zachować tradycje sadownicze na naszych terenach.

Pamiętam chyba pierwsze kroki tego przedsięwzięcia, a mianowicie sprzedaż wyciskanego ręczną praską soku na Łąckim Rynku. To było niezwykle, jedyne tego rodzaju wydarzenie. Minęło wiele lat, jak rozwijała się tłocznia?

Tak to się zaczęło. Był rok 2002, kiedy rozpoczęto wytwarzanie soku na ręcznej prasie, były dwa rodzaje – jabłkowy i gruszkowy. Te pierwsze soki wytwarzano na zimno, z własnych owoców, i był to alternatywny sposób na ich zagospodarowanie, trwały bowiem czasy kiedy sprzedaż owoców była trudna i nieopłacalna. Muszę przyznać, że pierwsze lata były niełatwe ze względu na problemy produkcyjne oraz sprzedaż. Najwięcej trudności przysparzało przekonanie klientów do produktu droższego, ale bardziej wartościowego. W 2003 roku na powierzchni 5 ha sadów założyłem wraz z żoną przedsiębiorstwo P.P.U.H Tłocznia „MAURER”. W tym samym roku zastrzeżono logo firmy, tzw. znak towarowy. Aby mogła ruszyć produkcja, musiałem zainwestować ponad 100 tys. zł na zakup potrzebnego wyposażenia i przystosować budynek do produkcji.



Okowita sliwowica Maurera



Degustacja – reklama

W 2005 roku soki Maurera otrzymały certyfikat rolnictwa ekologicznego Cobico.

Proszę zdradzić Czytelnikom „Almanachu Łąckiego”, czy wszystkie receptury – nawet tych najnowszych produktów – są oparte na przekazach tradycji rodzinnej?

– Wszystkie soki dzięki niezmienniej recepturze posiadają wysokie walory zdrowotne, zawierają wiele witamin i mikroelementów. Swoją oryginalny aromat i smak sok Maurera zawdzięcza tradycyjnej metodzie produkcji oraz owocom, z których powstaje.

W jaki sposób i skąd tłocznia pozyskuje owoce i warzywa do swojej produkcji?

– Oprócz własnych owoców wykorzystujemy owoce skupowane w większości od ekologicznych wytwórców z certyfikatem z łąckiej doliny i okolic. Owoce dojrzewają na górskich stokach i cieszą się powszechnym uznaniem. Zaczynaliśmy, jak wspominałem, od soku jabłkowego i gruszkowego. Potem gama smaków została poszerzona o porzeczkę czarną, czerwoną, rabarbar, śliwkę i wiele innych.

Jak produkty Tłoczni Maurer są odbierane przez klientów? Jakie soki poleca Pan szczególnie?

– Tłocznia Maurer to już uznana firma – jesteśmy na rynku 17 lat – ciesząc się dobrą opinią klientów. Nasze soki wyciskane są na zimno, całkowicie naturalnie, są bez żadnych barwników, konserwantów i bez dodatku cukru. Soki nie są rozcieńczane, bezpośrednio po wytłoczeniu pakuje się je w opakowania jednostkowe i dla trwałości – pasteryzuje. Osobiście po-



Soki Maurera

lecam sok selerowy. Seler zawiera dużo potasu, działa uspokajająco w sytuacjach stresowych. Klienci chętnie sięgają po sok malinowy, zwłaszcza w sezonie zimowym, a także aroniowy, który cieszy się dużą popularnością, głównie w Niemczech. Zgłaszają się do nas ludzie po chemioterapii, kupujący sok z buraków, czy też alergicy, w sposób szczególny potrzebujący napojów bez sztucznych dodatków. Wszystkie soki, ponieważ są robione niezmiennie tą samą recepturą, posiadają wysokie walory zdrowotne, zawierają mikroelementy i wiele witamin niezbędnych dla naszych organizmów.



Pijalnia i sklep w Zabrzeży

Jaki asortyment oprócz soków oferuje Tłocznia Maurer?

– W ostatnich latach dodatkowo rozszerzyliśmy naszą produkcję o moszcze, syropy, naturalne wina owocowe bez dodatku siarczynów oraz destylaty owocowe i zbożowe. Aktualnie w Tłoczni Maurer powstają moszcze w szesnastu smakach: jabłkowym, gruszkowym, wiśniowym, malinowym, truskawkowym, z czarnej i czerwonej porzeczki, aroniowym, borówkowym, marchwiowym, buraczkowym, rabarbarowym, śliwkowym, selerowym, żurawinowym oraz z czarnego bzu. Ostatnio zaczęliśmy produkcję soków z kiszonej warzyw i owoców, które cieszą się coraz większą popularnością. Z alkoholi największą popularnością cieszy się oczywiście słynna na cały świat śliwowica z Łącka, której jesteśmy jedynym legalnym producentem. Wszystkie nasze wyroby są w 100 % naturalne, bez dodatku konserwantów ani żadnych chemicznych dodatków – myślę, że to jest ich główny atut, ponieważ konsumenci poszukują teraz naturalnych i zdrowych produktów. Produkty Tłoczni Maurer stały się małopolskim rarytasem oraz wizytówką naszego regionu.

Jakie jest zainteresowanie sokami Maurera?

– Zainteresowanie sokami z Tłoczni Maurer jest z roku na rok coraz większe. Sok Maurera został wielokrotnie wyróżniony w konkursach kulinarnych i ekologicznych. Oto niektóre wyróżnienia: Nasze Kulinarne Dziedzictwo Perła 2004, Specjał Regionalny na XX Targach Zdrowego Życia i Żywności, I miejsce w konkursie Małopolski Smak 2005. Za pomysł na działalność zostałem nagrodzony III miejscem w IV edycji ogólnopolskiego konkursu Sposób na Sukces 2006. Obecność na licznych targach oraz promocja firmy zaowocowały zainteresowaniem wielu kontrahentów, w tym z zagranicy. Tłocznia Maurer od kilku lat regularnie uczestniczy w wystawach Bio-Fach w Norymberdze, Polagra Farm i Polagra Food w Poznaniu, Poznaj Dobrą Żyw-

ność, IFE Poland w Warszawie i Agropromocja w Nawojowej.

Gdzie można kupić produkty Tłoczni Maurer?

– Głównym punktem, gdzie można kupić produkty Tłoczni Maurer oraz zapoznać się z procedurą tworzenia soków jest Pijalnia Firmowa Maurer. Pijalnia znajduje się w miejscowości Zabrzeż, która jest sercem stolicy pięknych sadów; leży między trzema krainami geograficznymi Gorcami, Beskidem Sądeckim i Wyspowym, a wokół niej rozciąga się piękna kraina Dunajca. W tej zachwycającej scenerii górskiego krajobrazu wizyta w naszym sklepie to doskonała okazja, aby poznać jak wygląda produkcja tutejszych produktów regionalnych, między innymi soków owocowo-warzywnych, win, cydru oraz regionalnych okowit, i zasmakować w czasie degustacji. Soki Tłoczni Maurer można kupić w sklepach ze zdrową żywnością oraz supermarketach.



Stoisko z wyrobami

Dziękuję za rozmowę i życzę dalszych sukcesów w rozwijaniu firmy.

Krzysztof Maurer, absolwent Akademii Rolniczej w Krakowie, prowadzi przetwórstwo owocowo-warzywnie w Zarzeczcu, w gminie Łącko.

KLUB SENIORA **– miejsce aktywizacji Seniorów z Gminy Łącko**

Rosnąca liczba osób w wieku senioralnym staje się istotną kwestią dla obecnych rządów i całych społeczeństw. W wielu państwach rozwiniętych i rozwijających się wzrasta odsetek ludzi starych. Ludzie po 60 roku życia stają się stopniowo najliczniejszą grupą, która wymaga podejmowania działań wspierających ze względu na trudności zdrowotne, socjalne, finansowe oraz mieszkaniowe. Istotnym zadaniem polityki społecznej jest rozróżnienie i zdefiniowanie potrzeb seniorów w celu usprawnienia funkcjonowania tej grupy wiekowej. Starość to naturalny i nieodczyny element ludzkiej egzystencji, który czeka każdego z nas. W dzisiejszych czasach starsi ludzie są postrzegani jako bierni, nieelastyczni, niechętni do aktywności oraz zmian. Dlatego istotne jest, by dbać o konstruktywne przeżywanie starości oraz akcentować jej pozytywne wymiary. Poprawa jakości życia seniorów powinna być priorytetem w zmieniającej się rzeczywistości społeczno-demograficznej.

Aktywna starość polega na zajęciu się czymś, na co wcześniej nie było czasu. Do takich zajęć można zaliczyć rozwijanie zainteresowań i hobby, poszerzanie wiedzy lub pogłębianie i nawiązywanie nowych kontaktów. Zgodnie z teorią aktywności, seniorzy, by godnie przeżyć starość, muszą zadbać o swoją aktywność, także na płaszczyźnie edukacyjnej, i co najważniejsze, by sprawiała satysfakcję. Istotne znaczenie mają takie elementy funkcjonowania człowieka, jak: zdrowie, kontakty społeczne i uczestnictwo w życiu, posiadanie bliskich i relacje z rodziną, możliwości realizacji własnego planu, autonomia, możliwości autokreacji i rozwoju.

Kluby Seniora stają się współcześnie niezwykle istotne w budowaniu społeczności lokalnych. Dlatego dzięki Wójtowi Gminy Łącko Panu Janowi Dziedzinnie, oraz Kierownikowi Ośrodka Pomocy Społecznej w Łącku Panu Arturowi Kotas powstał Klub Senior+ w Łącku w ramach Programu Wieloletniego „Senior+” na lata 2015-2020. Klub działa w strukturze Ośrodka Pomocy Społecznej. W 2018 roku przeprowadzono remont pomieszczeń i utworzono Klub, placówka jest usytuowana w miejscu dostępnym dla seniorów z całej Gminy Łącko w centrum miejscowości Łącko, niedaleko od przystanku autobusowego. Lokal dla Klubu Senior + znajduje się w przyziemiu budynku Ośrodka Zdrowia w Łącku, jest przystosowany dla osób z niepełnosprawnościami (do lokalu prowadzi również winda umożliwiająca dotarcie osobom na wózkach i z dysfunkcją ruchu). Klub zajmuje łączną powierzchnię 174,5 m², w tym: kuchnię z jadalnią (27 m²), pomieszczenie klubowe (31,59 m²), sala spotkań (42,50 m²), hall z korytarzem (46 m²), szatnia, magazyn, łazienka z prysznicem oraz wc. Opiekę nad funkcjonowaniem Klubu Seniora sprawuje pracownik socjalny. Uczestnikami Klubu Senior mogą być osoby nieaktywne zawodowo, które ukończyły 60 lat i są mieszkańcami Gminy Łącko. Uczestnictwo w zajęciach Klubu jest dobrowolne i bezpłatne.

Klub seniora to miejsce umożliwiające kontakty interpersonalne, działania wypełniające czas wolny i rozwój kompetencji społecznych. Organizowane są tu różne formy aktywności fizycznej, kulturalnej, twórczej, edukacyjnej, społecznej itp. Klub seniora tworzy warunki do zaspokajania potrzeb kulturalno-oświatowych, rozbudzania nowych zainteresowań i promowania zdrowego stylu życia w starości, a także kształtowania umiejętności bycia aktywnym przez całe życie. Klub Seniora w Łącku jest nastawiony na twórcze i wartościowe spędzanie czasu wolnego poprzez spotkania z interesującymi ludźmi, wspólne zajęcia i działania artystyczne. Pozwalają one nawiązywać i umacniać kontakty w społeczności lokalnej, podtrzymywać kondycję umysłową i fizyczną, wspomagając rozwój w okresie późnej dorosłości. Seniorzy uczestniczą w różnych formach edukacyjnych, kołach hobbystycznych, prelekcjach oraz w amatorskiej działalności artystycznej. Dzięki temu poszerzają własne zainteresowania i pasje. Klub jest miejscem, w którym rozwija się życie towarzyskie i kulturalne, a przynależność do tego typu instytucji daje osobom starszym poczucie akceptacji. Uczestnictwo jest dobrowolne i zależy od chęci i siły osoby starszej. Członkowie mają wpływ na program działalności klubu. Klub Seniora pełni różne funkcje, należą do nich: funkcja psychoterapeutyczna – łagodząca skutki zmiany sytuacji życiowej, następnie funkcja kompensacyjna – uzupełnia braki w kontaktach społecznych. Kolejna to funkcja integracyjna oraz ostatnia adaptacyjna – przystosowuje do zmian w warunkach życia. Bogata i urozmaicona oferta klubu seniora zachęca do uczestnictwa. Metodą pracy w klubie jest metoda pracy terapeutycznej, stosowana jako profilaktyka gerontologiczna. Najpopularniejszą formą jest terapia zajęciowa. W ofercie Klubu Senior+ w 2019 roku znalazły się spotkania edukacyjne z: dietetykiem, kardiologiem, urologiem, psychologiem, z funkcjonariuszem policji (nt. Mapy zagrożeń i bezpieczeństwa Seniorów) masażystą, Kierownikiem Ośrodka Pomocy Społecznej i pracownikiem socjalnym (nt. Oferty wsparcia pomocy społecznej dla Seniorów i przeciwdziałania przemocy w rodzinie, Małopolskiego Tele-Anioła), emerytowanym Dyrektorem Teatru Bagatela w Krakowie (nt. doświadczeń związanych z pracą w teatrze), pracownikiem urzędu gminy (nt. Spalania odpadów i ochrony powietrza), ze specjalistą w zakresie pierwszej pomocy przedmedycznej, z prawnikiem (nt. Praw konsumenta), z hirudoterapeutą (nt. Naturalnych metod leczenia). Ponadto odbywały się zajęcia kulturalno-oświatowe: regularnie spotykała się grupa dyskusyjna „Senior+Książka” prowadzona we współpracy z Gminną Biblioteką w Łącku, grupa szaradzystów. Seniorzy uczestniczyli w Forum III Wieku „Seniorzy w Europie jutra” organizowanym przez Sądecki Uniwersytet Trzeciego Wieku, wyjeżdżali do teatru w Nowym Sączu i Krakowie, muzeum Jana Matejki w Krakowie, na koncert w Nowym Sączu. Dodatkowo seniorzy uczestniczyli w zajęciach sportowo-rekreacyjnych: spacerach po ścieżkach biegowo rowerowych, korzystali z „siłowni pod chmurką”, grillowali, wyjeżdżali na wycieczki do Zakopanego, Oświęcimia, Kalwarii Zebrzydowskiej, Wadowic. Ponadto uczestniczyli w spotkaniach okolicznościowych: Andrzejkach, Wigilii, Dniu Seniora. Rozwijali się ruchowo podczas zajęć obejmujących aerobik, gimnastykę ogólnousprawniającą oraz naukę tańców towarzyskich. W końcu aktywizowali się społecznie podczas zabawy

integracyjnej organizowanej przez Stowarzyszenie „Dolina Dunajca” oraz Warsztaty Terapii Zajęciowej. Warto też wspomnieć o grupie wolontariackiej „Warto czynić dobro”, która działa na rzecz klubu oraz funkcjonuje jako pomoc sąsiedzka. Koniecznie trzeba wspomnieć też o współpracy z przedszkolami z terenu Gminy Łącko – wizyty seniorów w przedszkolu (czytanie bajek) i przedszkolaków w Klubie Seniora. Terapia zajęciowa obejmowała zajęcia plastyczne, artystyczne, florystyczne, zajęcia socjoterapeutyczne, kulinarne, wokalne i ruchowe.

W tym miejscu pragnę serdecznie podziękować osobom, które z ogromnym zaangażowaniem prowadzą zajęcia w Klubie Seniora oraz wszystkim Seniorom aktywnie uczestniczącym w życiu Klubu. Ponadto dziękuję gościom, którzy tak licznie zechcieli odwiedzać nasz Klub i dzielić się swoją wiedzą, doświadczeniem i pasjami. Na końcu dziękuję Panu Janowi Dziedzinie Wójtowi Gminy Łącko oraz Panu Arturowi Kotas Kierownikowi Ośrodka Pomocy Społecznej w Łącku za możliwość stworzenia miejsca przyjaznego Seniorom z Gminy Łącko.



Wycieczka do Zakopanego



Zajęcia plastyczne



Zajęcia kulinarne z w-ce
wójtem Pawłem Dybcem



Zajęcia taneczne



Grupa dyskusyjna „Senior + książka”



Zajęcia kulinarne



Zajęcia plastyczne

Fot. Karolina Gałysa

Wspomnienie
Sto lat Ludwiki Pulit (1920 – 2020)

Ludwika Pulit z domu Tokarczyk urodziła się w Czarnym Potoku 15 stycznia 1920 r., obchodziła swoje setne urodziny. Rodzinne spotkanie z Jubilatką w dniach 5 i 15 stycznia 2020 r. były okazją do złożenia życzeń i podziękowań za obfite owoce miłości jej serca oraz przypomnienia wybranych wydarzeń z drogi życia.

Prof.dr Bolesław Faron w szkicu biograficznym – „Ciotka Ludwika” („Almanach Łącki”, Nr 21, 2014 r. s. 74-80) przytacza ważniejsze epizody z jej życia, w powiązaniu ze współczesną historią wsi Czarny



Ludwika Pulit (1920-2020)

Potok i gminy Łącko. Mgr Stanisława Wojtas spisała wspomnienia swojej mamy Ludwiki Pulit, najstarszej mieszkanki Czarnego Potoku, opublikowane w „Almanachu Łąckim” (Nr 26, 2017 r. s. 74-80) w powiązaniu z obchodami 700-lecia wsi Czarny Potok.

Stuletnią drogę życia Jubilatki porównać można do rwącej górskiej rzeki, gwałtownie wzbierającej, do burz z piorunami i gradobiciem, które niszczą ludzki dobytek. Po burzy pojawia się tęcza na niebie, słońce ogrzewa ziemię, która wydaje obfite plony, rodzi się nowe życie. Jej rodzice Anna i Wojciech Tokarczyk posiadali jedynie 1 ha i 12 arów ziemi, oraz drewniany dom z kuchnią i jedną izbą. Utrzymanie i wyżywienie sześciorga dzieci wymagało dodatkowej pracy rodziców wraz z dziećmi we dworze. Często były głodne dni bez chleba. Mając 16 lat uczyła się szycia u krawcowej Józefy Zygałdo. Usługi krawieckie wydatnie poprawiły jej byt, później szyła swoim dzieciom i znajomym.

Wojna i okupacja hitlerowska to bardzo trudny okres w jej życiu. Na wieść o wybuchu wojny mężczyźni wpadali w panikę. Wozami i pieszo uciekali przed Niemcami na wschód. Niektórzy dotarli do Sanu i dalej. Po kilku tygodniach wracali boso bez wozów i koni. Niemcy brali młodych mężczyzn do pracy przymusowej w Rzeszy. Toteż wielu ukrywało się bądź wstępowało do partyzantki, w większości do Batalionów Chłopskich.

W roku 1941 wyszła za mąż za Władysława Pulita, wdowca, gospodarującego na 8 ha ziemi. We wsi przebywało wielu wysiedleńców z Warszawy i z poznańskiego, których trzeba było żywić i zapewnić im pomoc w chorobie. Niemcy w dzień rekwirowali głównie bydło i egzekwowali kontyngenty. W nocy partyzanci przychodzili na ciepłe jedzenie i spanie, odchodząc zabierali artykuły żywnościowe. Grasowały także bandy złodziejskie, podszywające się pod partyzantów. Za pomoc partyzantom (spanie w stodole) Karol Patocy i jego syn Jan zostali przez Niemców ujęci i rozstrzelani

w lesie koło Tarnowa. Podobny los spotkał wikarego ks. Tomasza Leśniaka, który na Gestapo w Nowym Sączu był torturowany i rzucony psom na pożarcie.

Wiele było zdarzeń w czasie okupacji, sytuacji mrożących krew w żyłach i śmiertelny lęk. Takim było, w lipcu 1944 roku, zrzućenie przez niemiecki samolot, na łąkę za stodołą u Pulitów 5-ciu bomb, które uszkodziły dachy na budynkach a odłamki rozrzucone zostały w obejściu. To był „cud” bo bomby mogły spaść na dom. Swoje ocalenie Jubilatka zawdzięczała Matce Boskiej Bolesnej do której codziennie w modlitwie kierowała swoje prośby i podziękowania.

Po wojnie mieszkańcy wsi z entuzjazmem przyjęli parcelację dworu, bezrolni i małorolni chłopci powiększyli swoje gospodarstwa. Członkowie komisji parcelacyjnej byli napadani i bici przez bandytów, byłych partyzantów, którzy pozostali w lesie i nie złożyli broni. Władysław Pulit był członkiem komisji parcelacyjnej, zagrożone było jego życie, po tym dniu, w którym banderowcy, w biały dzień, rozstrzelali przewodniczącego komisji Antoniego Cyconia.

Lata powojenne upływały na ciężkiej pracy w gospodarstwie rolno – hodowlanym, częściowo sadowniczym, w którym siłą pociągową była para wołów, jedyna we wsi. W dzień praca w polu i zagrodzie, w nocy krawiectwo. Szła głównie dla kobiet i dzieci, mąż Władysław dla mężczyzn. Rolnictwo i usługi krawieckie przynosiły dochody, które umożliwiły budowę nowego domu, przebudowę stodoły i powiększenie sadu. Rodziły się dzieci. Pierwszy syn Marianek zmarł w 1941 r. w siódmym miesiącu życia. W latach 1945 – 1962 urodziły się: Maria, Stanisława, Janina, Władysława, Anna, Kazimiera i syn Jan.

W marcu 1966 r. zmarł nagle jej mąż Władysław Pulit. Została sama z sześciorgiem nieletnich dzieci, najmłodszy Jan miał zaledwie cztery lata. Nie wyszła ponownie za mąż, poświęciła się wychowaniu i wykształceniu dzieci. Siły w pokonywaniu trudności i wychowaniu dzieci czerpała z wiary i modlitwy. Do Kalwarii, Mogiły i Częstochowy pielgrzymowała. W Litwanowej też się modliła, bo życie swoje Bogu zawierzyła.

Prowadząc gospodarstwo, przy pomocy sąsiadów, modernizowała je, przekształcając go z rolno-hodowlanego na specjalistyczne sadownicze. W roku 1980 przekazała cały majątek synowi Janowi, który unowocześniał sad wprowadzając nowe odmiany oraz mechanizację w nawożeniu i opryskiwaniu drzew. Zbudował duże chłodnie do przechowywania owoców.

Zarząd Krajowego Związku Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych przyznał Ludwice Pulit w 1988 roku medal – **Order Serca – Matkom Wsi**. Jest to zaszczytne wyróżnienie dla kobiet wielodzietnych, samotnie wychowujących dzieci za ich trud włożony w ich wychowanie i wykształcenie. Za kształtowanie w rodzinnym domu i środowisku humanistycznych postaw moralnych, za niestrudzoną pracę w przeobrażaniu życia wsi, rodziny wiejskiej w nowoczesną, postępową, zamożną, korzystającą ze zdobyczy współczesnej cywilizacji i za autentyczne zaangażowanie w utrwalaniu kultury ludowej.

Na emeryturze, po roku 1980 poza szyciem, swoje uzdolnienia artystyczne realizowała wyszywając obrazki o tematyce przyrodniczej (martwa natura), folklorystycz-



Jubilatka z córkami Marią, Stanisławą, Janiną, Władysławą, Anną, Kazimierą i Franciszek Pulit

nej, obyczajowej i religijnej. Szyła i wyszywała koralikami gorsety góralskie i lachowskie, haftowała koszule, spódnice i zapaski.

Tymi artystycznymi dziełami obdarowywała córki, krewnych, a przede wszystkim wnuczki i wnuków. Miała 24 – wnucząt, 25 prawnucząt i jednego praprawnuka. Pamiętała imiona wszystkich.

Główne, jubileuszowe, uroczystości setnych urodzin Ludwiki Pulit odbyły się 5 stycznia 2020 r. Na to wyjątkowe, urodzinowe, spotkanie z Jubilatką przybyli krewni i znajomi z kraju i ze świata w liczbie ponad 150. Uczestniczyli oni w uroczystej Mszy św. w kościele parafialnym w Czarnym Potoku, którą celebrował proboszcz ks. Krzysztof Klimczak. Składając Jubilatce życzenia i gratulacje przekazał jej okolicznościowy list Ordynariusza Diecezji ks.bp. Andrzeja Jeża, który m.in. napisał: „**Jako pasterz Kościoła tarnowskiego dziękuję Pani za świadectwo pobożnego, chrześcijańskiego życia, wypełnionego pracą, modlitwą, służbą bliźnim, wychowywaniem dzieci i troską o wnuki, udzielam pasterskiego błogosławieństwa Jubilatce, Dzieciom, Wnukom, Prawnukom i całej Rodzinie**”.

Dalszy ciąg życzeń miał miejsce w czasie urodzinowego bankietu w karczmie w Zabrzeży. Kochająca i kochana, serdeczna i lubiana, przyjmowała życzenia i podziękowania za dary swojej miłości od rodziny, przyjaciół i gości. Były m.in. życzenia śpiewane i grane na popularną melodię:

Wszystkiego dobrego
życzymy, życzymy
i zdrowia i szczęścia
i błogosławieństwa
przez ręce Maryi

Przez ręce Maryi
i za Jej przyczyną
niech strumienie łaski
niech strumienie łaski
na Ciebie popłyną
Na Ciebie popłyną
Ludwisiu Kochana,
bo tutaj na ziemi
jesteś naszą mamą
od Boga posłaną

W dniu setnych urodzin, 15 stycznia 2020 r. oficjalna wizytę złożyła Jubilatce delegacja Urzędu Gminy w Łącku z wice wójtem Pawłem Dybcem, który składając życzenia m.in. powiedział: **„Tak długie życie jest skarbnicą doświadczeń dla kilku pokoleń Polaków”**.

Przekazał Jubilatce listy gratulacyjne od Prezesa Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego w Warszawie dr Aleksandra Hadzika, Wojewody Małopolskiego Piotra Ćwika i od Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego.

Premier Mateusz Morawiecki przekazując pozdrowienia i wyrazy głębokiego szacunku, napisał: **„Należy Pani do pokolenia głęboko doświadczonego w dziejach Polski, które stawalo przed różnymi wyzwaniami. Była świadkiem wielu trudnych i doniosłych wydarzeń, które kształtowały kolejne pokolenia Polaków, ich patriotyzm i miłość Ojczyzny”**.

W godzinach popołudniowych Ludwika Pulit uczestniczyła, wraz z rodziną, w uroczystej Mszy św., która celebrował jej wnuk ks. Janusz Pulit – misjonarz, pracujący na Białorusi, razem z czarnopotoczaninem ks. Adamem Koszutem. Była to ostatnia w życiu Msza św. Ludwiki Pulit.

Rankiem, 21 stycznia 2020 r. odeszła do Pana życia i śmierci po nagrodę Bożej miłości. Bogu życie zawierzyła, i Bogu dusze oddała. Niech spoczywa w pokoju wiecznej szczęśliwości.



Delegacja Urzędu Gminy w Łącku z wice wójtem Pawłem Dybcem

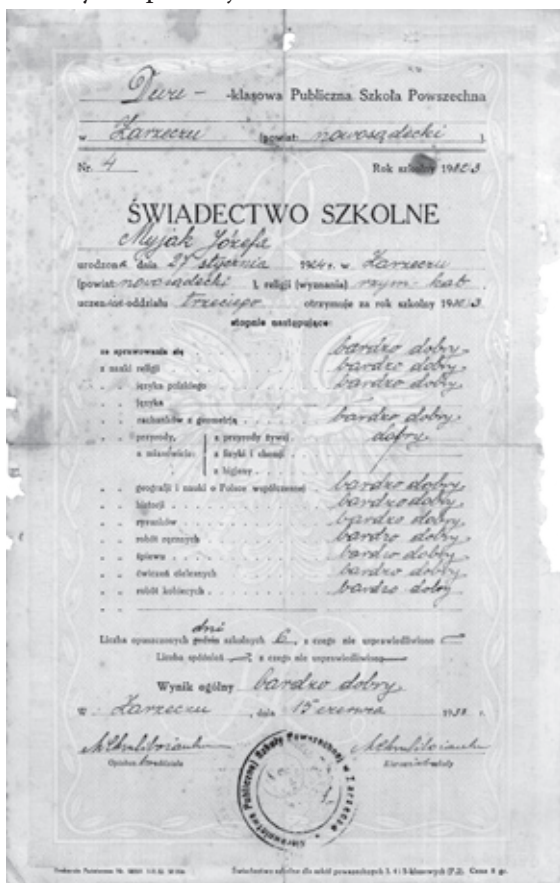
Czas to nie trwanie, to uciekanie

Jalu Kurek

Józefa Baran – nestorka rodu, jedna z najstarszych osób mieszkających w Zabrzeży, opowiada o swoim dzieciństwie, młodości, o życiu skromnym, biednym i nieraz głodnym, gdy wyżywieniem było to, co wyrosło na lichej ziemi, oraz o zmianach zachodzących we wsi na przestrzeni lat

To osoba dość wysokiego wzrostu, o szczupłej wyprostowanej sylwetce, włosach przyprószonych siwizną, pogodnego usposobienia i ciepłym spojrzeniem. Urodziła się 27 stycznia 1924 roku w Zarzeczcu jako najmłodsza spośród dziewięciorga dzieci wiejskiego kowala. Opowiadając o swoich przeżyciach, często się zamyśla, wspomina swoje koleje losu, dziwiąc się że życie tak szybko przemija.

Jej dzieciństwo było naznaczone pracą ponad siły. Od najmłodszych lat miała swoje obowiązki, jak wszystkie dzieci wiejskie w tamtych czasach. Z jednym wyjątkiem, nigdy nie została oddana na służbę. Pozostała przy matce, może dlatego, że była najmłodsza? Prawie nie pamięta ojca, który zmarł bardzo wcześnie. Mając niewiele lat, pilnowała gęsi. Wspomina, że bardzo się ich bała. Potem pasła krowy. W wieku siedmiu lat rozpoczęła naukę w szkole. Szkoła to była izba wynajęta u gospodarza. Przypomina sobie, że uczyli się wszyscy razem, starsze i młodsze dzieci. Pamiętam, że nie było ani zeszytów, ani książek. Pisaliśmy na tabliczkach rysikiem, które nosiłam do domu w torbie ze zgrzebnego płótna. Pani nam opowiadała lub czytała, uczyła na pamięć piosenek, wierszyków i rachunków. Ukończyłam cztery klasy, do III i IV klasy chodziło się wtedy po dwa lata –



Świadeztwo ukończenia klasy III

wspomina. W pamięci zachowała też nazwiska swoich nauczycielek. To Maria Chwalibożanka i Alicja Kasprzykiewiczówna. Dodaje też, że Chwalibożanka (tak wtedy ją nazywali) założyła w Zarzeczcu koło młodzieży. Organizowała dla nich różne kursy, spotkania ze śpiewem, zabawy, potańcówki, jasełka.

Młodość, pytana o młodość, z zakłopotaniem mówi, że chyba jej nie miała. Gdy nieco podrosła, pomagała w polu przy sianie, żniwach czy też przy kopaniu ziemniaków u obcych ludzi, na tzw. obrobek za konia. Kontynuując wątek obrobku, po pewnym namyśle uzupełnia, że cała rodzina zmuszona była „odrabiać” zgodę wójta na wyjazd dwóch starszych siostr „za chlebem”. *Później żeby się jakoś utrzymać, przewoziłyśmy ludzi łodzią przez Dunajec. Dostaliśmy za to kawałek ziemi gminnej w dzierżawę i od każdego numeru domu braliśmy opłatę w naturze, tzn. zboże lub ziemniaki. Gdy zachorował brat przewoźnik, ja zajęłam jego miejsce. To była praca ponad moje siły, bo łódź była bardzo ciężka. Kij, którym się ją przepychało był długi i ciężki. Najgorzej było wtedy, gdy wody w Dunajcu przybyło. Szukałam wówczas pomocników – wspomina.* Gdy wybuchła wojna, miała niespełna piętnaście lat, mieszkała w rodzinnym domu z bratem i niewiele starszą siostrą. Niedługo dołączył do nich drugi brat, zdemobilizowany podoficer zawodowy. Został pisarzem gminnym. Dzięki niemu wieś oddawała mniejszy kontyngent. Wspomina również, że brat działał w nowo utworzonym oddziale partyzanckim.

Na swoim. W wieku osiemnastu lat w 1942 roku wyszła za mąż i dlatego uniknęła wywózki na przymusowe roboty. Zamieszkała w Zabrzeży, w niewielkim domu



Zdjęcie ze zrękowin 1941 r.



Z mężem i bratową Anielą Myjak 1942 r.



Portret ślubny 1942 r.

położonym pod lasem, w przysiółku Dąbrówka. Obok znajdował się mały skrawek ziemi, który umożliwił utrzymanie całej rodziny. Toczyła się wojna. Każde gospodarstwo domowe zobowiązane było oddawać na potrzeby armii niemieckiej kontyngent – zboże, ziemniaki. Często obok domu przechodziły różne oddziały partyzanckie; położoną poniżej drogą przejeżdżały niemieckie auta. Wspomina o towarzyszącej wówczas obawie o bliskich, drżała o los niemowlęcia w kołysce, myślała o siostrze wywiezionej gdzieś na roboty i bracie aresztowanym za działalność partyzancką, po którym ślad zaginął. I ten strach pozostał długo jeszcze po zakończeniu wojny, ponieważ niejednokrotnie obok domu przemieszczały się gromady uzbrojonych ludzi. Zapamiętała też, że po wojnie, jeszcze dość długo obowiązywały dostawy rolne dla państwa. *Nieco łatwiej się zrobiło, gdy mąż poszedł do pracy. Pracował aż do emerytury w różnych miejscach. Gdy został przewodniczącym Gromadzkiej Rady Narodowej w Zabrzeży, do której należało również Zarzecze, wraz z przewodniczącym Powiatowej Rady Narodowej w Nowym Sączu Kazimierzem Węglarskim, doprowadził do budowy mostu na Dunajcu do Zarzecza, a gdy w Łącku utworzono gminę, pozostał radnym przez kilka kadencji. Miał też swój udział w likwidacji analfabetyzmu we wsi – wylicza. Przy okazji zauważa, że w tamtych czasach ciężiej się żyło niż dzisiaj. Dzieci odrabiały lekcje przy lampie naftowej, przy niej czytała im książki. W tym czasie przędła również na kołowrotku wełnę, z której wyrabiała swetry, rękawiczki i skarpetki. Po namyśle dorzuca, że wodę przynosili z niedalekiego potoku w wiadrach, studnię przy domu zrobili dopiero w 1970 roku. Energię elektryczną do ich osiedla doprowadzono w 1968 roku, a za podłączenie prądu sami zapłacili. W latach siedemdziesiątych przystąpili do bu-*



Z najstarszymi dziećmi – Stanisław, Maria, Władysław, 1949 r.



Z mężem i najmłodszą córką Jadwigą, 1964 r.

dowy domu i wtedy dopiero wodę sprowadzili wodociągiem. Odkąd sięga pamięcią, to każde gospodarstwo musiało być samowystarczalne. W polu siali owies, żyto, później pszenżyto, rzadziej pszenicę. Sadzili ziemniaki, kapustę, groch, buraki i karpiele. W stajni bywały owce i cielę oraz dwie krowy, przy pomocy których zwozili plony



1966 r. cała rodzina

z pola; liście z lasu na podściółkę przynosili na plecach w tzw. łoktusach. Tak samo znosili siano i snopki zboża, zwłaszcza z pól położonych w pobliżu domu. Hodowali prawie zawsze dwie świnki, jedną dla siebie, drugą na sprzedaż. Na zimę przygotowywali dużą beczkę kiszonej kapusty, ziemniaki w kopcu i w piwnicy, groch. Zboże na mąkę mielili w żarnach, czasem zawozili do pobliskiego młyna. Przypomina sobie, że gdy zaczynała się wiosna, panowała największa bieda, ponieważ wszelkie zapasy się kończyły – nazywali to przed-



1972 r. z najstarszymi wnukami

nówkiem. Dzieci też miały swoje obowiązki. Starsze pomagały w polu, a młodsze pasły krowy. Jesienią wszyscy zbierali grzyby. *W siedemdziesiątych latach zaczęliśmy uprawiać czarną porzeczkę, potem czerwoną. Dzięki temu mieliśmy pieniądze na zapłacenie internatów dla dzieci, które dorastały i chciały uczyć się dalej* – wspomina. Na podsumowanie swojej historii dorzuca, że przez całe swoje życie pracowała na roli, dbała o dom i dzieci. Doczekała się ich sześciorga. Jest z nich dumna. Są dobrymi i mądrymi ludźmi. Ma też 17 wnuków, 21 prawnuków i jedną praprawnuczkę. Bardzo się nimi cieszy. Dziś mieszka z synem i jego rodziną otoczona najlepszą, pełną troski i miłości opieką. Gdy czuje się lepiej, chętnie bierze motyczkę i idzie do swoich ulubionych kwiatów poruszać ziemię, czy też chociaż popatrzeć jak rosną i nacieszyć oczy. Lubi czytać gazety, śledzi bieżące wydarzenia w telewizji i dzieli



30 lecie małżeństwa, 1972 r. Z najstarszym synem Stanisławem

się z rodziną zasłyszanych ciekawostkami. Jest sprawna umysłowo. Czasem uskarża się na różne dolegliwości. Radują Ją odwiedziny dzieci, wnuków i prawnuków; lubi ich gwar. Mimo swojego wieku zawsze pamięta o ich urodzinach i imieninach. Gdy pozwala Jej na to zdrowie, stara się ich odwiedzać.



Prace polowe 1975 r.

Dostojna Jubilatko! Dobrego zdrowia, jak najdłuższego życia, pogody ducha, miłości i troski najbliższych życzą autorki, które wysłuchały opowieści.

Wykorzystano też fragmenty rozmowy przeprowadzonej w 2018 roku przez p. Bernadettę Wąchałę-Gawełek.



1992 r. 50 lecie małżeństwa – z dziećmi



2014 r. Józefa Baran



95 urodziny ze swoimi dziećmi 2019 r.



95 urodziny z wnukami 2019 r.



95 urodziny (cóрки, synowie, synowe, zięć i chrześcica Rozalia Kulasik z mężem) 2019 r.

Zdjęcia z archiwum rodzinnego Jadwigi Dybiec

Twórcy zakochani w Gorcach. To są dzieła ich rąk i serc

*Album *Z zamięłowania do sztuki i tradycji – pasje i talenty górali gorczańskich* powstał z okazji Kongresu Kultury Gorczańskiej w gminie Ochotnica Dolna i równocześnie z obchodami 100-lecia Związku Podhalan w Polsce. Publikacja – w skrócie „50” – pokazuje sylwetki i twórczość artystyczną pięćdziesięciu mieszkańców gorczańskich wsi – Ochotnicy Górnej i Dolnej oraz Tylmanowej. Barwna opowieść o ich twórczości i różnorodne przykłady tworzą rzadkiej urody wydawnictwo.

Wydawnictwo ukazuje ich prace artystyczne i krótkie opowieści o sobie. Promocja tego albumu była jednym z głównych punktów programu Kongresu. Mieniając się kolorami publikację przedstawił **Tadeusz Królczyk** – wójt Ochotnicy Dolnej. Wójt zaznaczył:

– *Wydawnictwo albumowe jest hołdem dla artystów, którym składam wielkie podziękowania. Naszym dziedzictwem kulturowym jest nasza historia, nasza gwara, architektura, nasi twórcy i nasz krajobraz. Wielu twórców to jego rodacy, sąsiedzi i znajomi. Jednocześnie na kilkudziesięciu stoiskach można było obejrzeć i dotknąć pokazanych w albumie okazów ich prac: obrazów – akwarel, na szkłe, olejnych, oraz rzeźb w drewnie, haftowanych serdaków i sukiennych portek, koronkowych serwetek, ozdób kobiecych strojów, kierpców, toreb, opasek góralskich i dzieł kowalskiej metaloplastyki.*

Kolejnym punktem Kongresu była projekcja filmu *Ostatni górale* oraz spotkanie z jego bohaterami, czyli na ekranie i na żywo posłuchanie opowieści o budowaniu paradnych bryczek, o wypasie owiec, życiu pasterskim na gorczańskich halach i o ciężkiej pracy gorczańskich drwali. Tradycyjnie Kongresowi towarzyszyły orkiestry, zespoły i kapele góralskie **Turnioki, Megitza, Muzyka Mateusza Tarchały, Hajnica, Kapela Spod Gorca i Ochotnickie Belkoty**, orkiestry **dęta Ochotnicy Dolnej** i gościnnie **strażacka z partnerskiej gminy pomorskiej Wejherowo**. Celem kongresu była promocja wartości związanych z tożsamością wielokulturowych korzeni Ochotnicy i Tylmanowej sięgających XVII stulecia. Był okazja do pokazania dorobku artystycznego lokalnych twórców oraz życia codziennego mieszkańców (rękodzielnictwo,



gwara, kulinaria, muzyka, zwyczaje i obyczaje). Kongres poprzedziły warsztaty dla młodzieży o tematyce rękodzieło, gwara, kulinaria regionalne, muzyka.

O twórcach, którzy stali się bohaterami wspomnianego albumu, **Monika Jagieła** –, kierowniczka Wiejskiego Ośrodka Kultury w Ochotnicy Dolnej – napisała we wstępie *Człowiek pracujący rękoma to robotnik, pracujący rękoma i umysłem to rzemieślnik, zaś człowiek pracujący rękoma, umysłem i sercem – to artysta*. Zamiar wydawców spełnił się w jego atrakcyjnej formie i treści, ukazuje umiejętności twórców i tradycje artystyczne kilku gorczańskich wsi. Album dofinansowany ze środków Narodowego Centrum Kultury wydał WOK w Ochotnicy Dolnej jako element programu „Etno-Polska 2019”.

Autorka ponad 450 fotografii w tym albumie (z wyjątkiem czterech) **Lucyna Kozub** z Tylmanowej ma znaczny dorobek twórczy. Była wyróżniana licznymi nagrodami w kilkunastu konkursach fotograficznych. Jest autorką ilustracji do kalendarzy, widokówek, obrazków na magnesach pamiątkowych („na lodówki”), galerii fotograficznych zdobiących zbiory prywatne. Współpracuje z Wiejskim Ośrodkiem Kultury w Tylmanowej, dokumentuje architekturę tylmanowską świecką i sakralną, święta kościelne, strażackie, szkolne, sportowe, uroczystości patriotyczne, rodzinne, piękno przyrody i krajobrazów gorczańskich.

Gmina Ochotnica Dolna u stóp gorczańskich szczytów Lubania (1211 m n.p.m.) i Gorca (1228 m n.p.m.) mieni się od dawna terenem sprzyjającym turystyce górskiej i krajoznawstwu. Służą temu liczne inwestycje, jak np. cztery wieże obserwacyjne na Gorcu, koziarzy, Makowicy i Lubaniu, czyli tzw. *enklawa aktywnego wypoczynku w sercu Gorców – szlaki turystyki rowerowej, pieszej i narciarskiej w Gminie Ochotnica Dolna* zaistniała w 2014 roku. Ma służyć atrakcyjności turystycznej tej części Beskidów Zachodnich i wzbogacić atrakcyjność turystyczną Gminy Ochotnica Dolna. Jednym z istotnych elementów tej atrakcyjności jest twórczość artystów przedstawionych w albumie *Z zamięłowania do sztuki i tradycji...*

Ochotniccy twórcy nie są zrzeszeni w stowarzyszeniu. Są mieszkańcami czterech sołectw – Tylmanowa, Ochotnica Dolna, Ochotnica Dolna Młynne, Ochotnica Górna – tworzących gminę. Kilkoro czują się jej mieszkańcami, choć studiują lub pracują m.in. w Krakowie. W Ochotnicy Dolnej tworzą 24, w Ochotnicy Górnej 9, w Tylmanowej 17 osób. Większość z nich to rolnicy, emeryci, rzemieślnicy z wieloletnim dorobkiem twórczym. Kilkoro chlubi się udziałem w wystawach, byli nagradzani, wielu sprzedaje swoje dzieła na kiermaszach, festynach lokalnych i odpustach.

Cztery wieże widokowe na szczytach Magurki, na Gorcu, Lubaniu oraz Koziażu nad Tylmanową mają zainstalowane kamery internetowe, co pozwala na poznawanie z tych wzniesień odległych okolic, aż po Tatry i Babią Górę. Przy szlakach turystycznych i spacerowych jest kilka altan widokowych. W lipcu i sierpniu powodzeniem cieszą się – z powodu tanich noclegów i swoistej atmosfery – studenckie bazy namiotowe pod szczytami Lubania i Gorca.



Jedna z kilku altan widokowych przy gorczańskim szlaku turystycznym



Wieża widokowa na szczycie Lubania i polana, gdzie latem jest studencka baza namiotowa.

Fot. Lucyna Kozub

Gorczańska Ochotnica i Tylmanowa położona na obydwu brzegach Dunajca to okolice sprzyjające turystom pieszym i amatorom górskich wspinaczek i zjazdów na rowerach. Znane są też jako wsie letniskowe. Zimą oczywiście także na nartach śladowych. Wspomniana „enklawa aktywnego wypoczynku” ma liczne urządzenia sprzyjające turystyce rodzinnej i wycieczkom krajoznawczym. W gminie jest kilkadziesiąt wiekowych domów mieszkalnych, stodół, kapliczek przydrożnych. Stylowe zabytkowe kościoły drewniane są w Ochotnicy Górnej i Tylmanowej. Łącznie wędrówki po okolicy ułatwia prawie 140 km znakowanych

Przez Ochotnicę przebiega część Szlaku Papieskiego łączy pieśnińskie Krościenko nad Dunajcem przez Lubań, Ochotnicę Dolną i Górną, Gorc do Przełęczy Knurowskiej, a dalej do Turbacza jako Gorczański Szlak Papieski łączy się Szlakiem Papieskim w Beskidzie Sądeckim. Tematyka sakralna jest tradycyjnym elementem twórczości w rzeźbie drewnianej, i malarstwie na szkle wspomnianych twórców gorczańskich. Przez Ochotnicę przebiega też pilotażowy fragment Szlaku Kultury Wołoskiej o długości 19,1 km. Pozwala poznać dawne tereny pasterskie, dawnej tradycyjnej gospodarki sięgających do minionych tradycji pradawnego pasterstwa wołoskiego i rolnictwa. Pozostały na polanach gorczańskich nieliczne szałas i gospodarstwa polaniarskie. Godne polecenia krajoznawcom jest prywatny skansen na Polanie Studzionki nad Ochotnicą Górną.



* Album został zgłoszony do VIII edycji Nagrody im.ks.prof. Bolesława Kumora, w kat. Książka o Sądeczyczynie 2019. Gala Nagrody im. ks. prof. Bolesława Kumora odbyła się 29 lutego 2020 roku w Krynicy, w Pijalni Głównej.

Czytelnia „pod chmurką” w Tylmanowej

Czytelnia „pod chmurką” w Tylmanowej przy Wiejskim Ośrodku Kultury zrealizowana została w ramach projektu pt. „Tu mieszkam, tu zmieniam”, który w całości był sfinansowany ze środków otrzymanych z Fundacji Santander Bank Polska S.A. Otwarcie miało miejsce 24 listopada 2019 roku i było symboliczne ze względu na panujące warunki atmosferyczne oraz nadchodzącą zimę. Koncert Orkiestry Dętej OSP z Ochotnicy Dolnej uświetnił całą uroczystość. Otwarcie nie było zależne od organizatorów, bowiem taki termin realizacji tego zadania wymusił projekt. Czytelnia „pod chmurką” zostanie w pełni uruchomiona na wiosnę 2020 roku. Będzie działała na zasadzie „czytelnia lotnej” tzw. bookcrossing. Opracowany został już regulamin, który informuje o zasadach, na jakich można będzie z niej korzystać.

W symbolicznym otwarciu Czytelnia „pod chmurką” wzięli udział: wójt gminy Ochotnica Dolna Tadeusz Królczyk, przewodniczący Rady Gminy Ochotnica Dolna Maciej Mikołajczyk, sołtys sołectwa Tylmanowa Stanisław Mikołajczyk, prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej Jadwiga Jastrzębska, kierownik Wiejskiego Ośrodka Kultury w Ochotnicy Dolnej Monika Jagieła, mieszkańcy Tylmanowej i gminy Ochotnica Dolna.

Wszyscy uczestnicy tego wydarzenia zebrali się na placu przy WOK, aby obejrzeć wyposażenie czytelnia. W ramach omawianego zadania zakupione zostały fotele ogrodowe.



Koncert Orkiestry Dętej OSP z Ochotnicy Dolnej

we, parasole, stoliki, leżaki, mobilny regał na książki, donice na kwiaty, poduszki, koce, parasole, lampiony, gry planszowe oraz komiksy. Czytelnia „pod chmurką” ma służyć i dzieciom, i dorosłym.

Publikacje książkowe oraz albumy do czytelnicy przekazali Gorczański Park Narodowy, Pieniński Park Narodowy i Urząd Marszałkowski Województwa Małopolskiego. Zestaw numerów „Almanachu Łąckiego”, jak również inne wydawnictwa, osobiście przekazała Jadwiga Jastrzębska prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej.



Od prawej: Maciej Mikołajczyk, Tadeusz Królczyk i Jadwiga Jastrzębska



Oficjalne otwarcie Czytelnicy „pod chmurką”, od prawej: Tadeusz Królczyk, Maciej Mikołajczyk i Jadwiga Jastrzębska

*Z jałowej gleby wyrastałeś synu,
trzymałeś się trawy, gdy halny cię rwał,
zamiatałeś izby jodłową cetyną,
jakbyś czyścił dywan haftowany z hal*
Broniek z Obidzy

W poprzednim numerze „Almanachu Łąckiego” zamieściłam wspomnienia osób wywodzących się z tutejszych stron, które wyjechały na Śląsk w poszukiwaniu nauki, pracy i lepszego życia. Teraz dołączam drugą część opowieści o wyjazdach i powrotach. Dzisiaj trudno ocenić ich liczbę. Moi rozmówcy szacują, że pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych z jednej małej miejscowości mogło ich być nawet ponad trzydziestu. Łączy ich pochodzenie – liczne i biedne rodziny, dzieciństwo nacechowane pracą, wczesne opuszczenie domu, silna motywacja do usamodzielnienia się. A potem zetknięcie się z nową rzeczywistością oraz adaptacja w nowym środowisku, które najczęściej okazywało się inne i mało przyjazne. Odróżniali się ubiorem, mową i sposobem życia. Oderwani od rodzinnych domów, bardzo za nimi tęsknili. Życie napisało im różne scenariusze. Ogromna tęsknota za rodzinnym gniazdem, jak przynajmniej nieśmiało, doskwierała zawsze. I za wszelką cenę pragnęli powrotu do korzeni. Nie wszystkim się to jednak udało ...

W tamtych czasach młodzież męska miała większe możliwości nauki. Dziewczętom było nieco trudniej. Szansę dla nich stanowiły szkoły ogólnokształcące i zawodowe w Krościenku, Starym i Nowym Sączu, czy też w Limanowej lub bardziej odległym Tarnowie, co było połączone z pobytem w internacie, i koniecznością jego opłaty. Stypendia rozwiązywały ten problem w pewnym tylko stopniu, ponieważ potrzebujących pomocy było wielu. Rozmówcy wspominają obecnie, że rodzice cieszyli się z podejmowanych przez nich decyzji, nie wzbraniali, pomagali w ich wyborach w miarę swoich możliwości.

STANIA

Swoją podróż do korzeni rozpoczyna od motta, które jak twierdzi, towarzyszy jej przez całe życie:

*Po wielu latach, z twarzą przez zmarszczki zoraną,
Opowiem to z westchnieniem i mglistym morałem:
Zdarzyło mi się niegdyś ujrzeć w lesie rano
Dwie drogi, pojechałem tą mniej uczęszczaną –
Reszta wzięła się z tego, że to ją wybrałem.*

R. Forst, *Droga nie wybrana*

I tą drogą z własnego wyboru podążała. *Ta droga, mniej uczęszczana, trudna i wyboista towarzyszy mi przez całe życie. Sama ją jednak wybrałam – powie po latach.*

Dzieciństwo

Niełatwe było wówczas życie wiejskiego dziecka z licznej i biednej rodziny w trudnych powojennych czasach. *Urodziłam się w piątym roku po zakończeniu wojny. Rodzice ciężko pracowali na swoim kawałku ziemi i u obcych ludzi, aby wyżywić sporą gromadkę dzieci. W domu często brakowało jedzenia. Chleba. Od małego wszyscy*



Szkoła podstawowa

mieliśmy swoje obowiązki – opowiada. Najgorzej wspominam odrabianie konia. A pasienie bydła od rana do wieczora, z przerwą na obiad – makabra! Potem żniwa, kopanie ziemniaków motykami, młocka itp. Wytchnieniem były latem kąpiele w Dunajcu, a zimą zabawy na śniegu – kontynuuje. Wymienia też inne obowiązki zapamiętane z dzieciństwa: noszenie wody z odległej studni czy opieka nad

młodszym rodzeństwem, chociaż to ostatnie, jak zauważa, miało dobre strony, ponieważ w ten sposób powstawały więzi rodzinne, które trwają nadal. *Do tej pory wszyscy trzymamy się razem, pomagamy sobie, często się spotykamy, najczęściej w domu rodzinnym, co sobie bardzo cenimy. I marzymy, aby to trwało jak najdłużej – dorzuca. Od rodziców, jak wspomina, otrzymała w darze dobre zdrowie, dlatego mogła pokonywać piętrzące się trudności dnia codziennego.*

Nauka

Moim marzeniem była profesja nauczycielki przedszkola. Liceum znajdowało się w Tarnowie. W wieku trzynastu lat opuściłam dom rodzinny i zamieszkałam w internacie. Wówczas wydawało mi się, że to bardzo daleko od domu. Tęskniłam, ale brak pieniędzy uniemożliwiał częste odwiedziny – wspomina ze smutkiem. Nadmienia również, że pięcioletni pobyt w tej szkole, poza tęsknotą, był przyjemny, nauka nie sprawiała jej problemów. Tam narodziły się przyjaźnie, które trwają do chwili obecnej. Szkoła pozostawiła miłe wspomnienia. Opowiada jak był zorganizowany dzień: najpierw nauka, a po południu



Świadectwo maturalne 1969 r.

panował gwar, pobrzmiwały rytmy i motywy muzyczne połączone z grą na różnych instrumentach oraz śpiew.

Praca zawodowa

Po maturze, z dyplomem w kieszeni, pracę znalazła na odległej Opolszczyźnie. To również był Jej wybór. Tam ukończyła studia i założyła rodzinę. Silne więzy rodzinne sprawiły, że sprowadziła do siebie młodszą siostrę i pomogła w wyborze drogi życiowej. *Pracę zawodową wspominam z przyjemnością. Staralam się pracować dobrze, solidnie. Pamiętałam o słowach ojca, który nam wszystkim powtarzał, by pracować tak, aby się wybić, żeby nam było lepiej niż jemu. Miałam swoje osiągnięcia. Pozbyłam się wreszcie uczucia biedy, które ciągle mi towarzyszyło. Zostałam doceniona i myślę, że pozostawiłam po sobie dobre wspomnienia u koleżanek. Mam z nimi*



Spotkanie po latach z koleżankami z liceum

dotąd niezłe kontakty – chwali się. Opowiada również, że wiele razy była awansowana i nagradzana za dobrą pracę. Podkreśla, iż mimo że nieraz bywało trudno, jednak dzięki wytrwałości i solidnej pracy dotrwała do emerytury, a pod koniec swojej drogi zawodowej pracowała nawet przez pewien czas w nadzorze pedagogicznym, co stanowiło rodzaj awansu, ale i oznaczało inny zakres obowiązków, a na dodatek wymagało dobrej



Północna Nadrenia Westfalia

znajomości prawa oświatowego. Wnet jednak zrezygnowałam z tej pracy motywując, że „zegara czasu nie da się cofnąć”. Potem żałowałam tej decyzji, ale była to ta droga „mniej uczęszczana” – powie na zakończenie. I z melancholią dodaje, iż gdyby można było cofnąć czas, wiele rzeczy inaczej by zrobiła. Z dumą opowiada natomiast o swoich wykształconych i pracujących dzieciach, które poszły jej śladem. Chwali się też gromadką wnuków, u których docenia artystyczne zamiłowania.

Swoje wspomnienia kończy słowami: *Często wracam myślami do czasu młodości i do Zarzecza, gdzie się urodziłam i gdzie tkwią moje korzenie. To magiczne miejsce. Tęsknię do niego. Myślę, że tam jest mój „heimat” i tam będzie mój kres. To jest moje marzenie. A człowiek żyje dopóty, dopóki ma marzenia. Moje dzieci również tam się widzą, a wnuk Michał marzy nawet o wybudowaniu domu. Oby wytrwał w swym postanowieniu!*

Pasje

Czy starość może być ciekawa, przyjemna i inspirująca? – zastanawia się. I tak odpowiada: Zawsze byłam muzykalna. Uwielbiałam śpiew i muzykę. Trochę muzykowałam, gdy pracowałam zawodowo. Próbowalam także rozbudzać zamięłowanie do muzyki poważnej w wychowankach i własnych dzieciach. W pewnym sensie mi się to udało. Do tej pory często słuchamy w domu nagrań podczas codziennej pracy. Zgromadziłam nawet niewielką płytotekę, zarówno polskich, jak i zagranicznych kompozytorów. Często towarzyszy mi muzyka Wagnera „Walkiria” lub Mozarta „Requiem” oraz arie z opery „Nabucco” Verdiego. Czwórka wnucząt uczy się w szkole muzycznej. Grają na skrzypcach, trąbce, klarnecie i puzonie. Podczas rodzinnych spotkań dzięki temu jest muzycznie i radośnie. Jestem z nich bardzo dumna – dodaje.

Stania jest osobą pełną energii i twardo stąpającą po ziemi. Nie potrafi być beczynna. Czas wolny spędza aktywnie: na spacerach z kijkami, wędrując z rodziną po górach lub na wycieczkach rowerowych. Wiele



Rodzina na wycieczce w Zarzeczcu

podróżuje po świecie. Obecnie są to Niemcy, ponieważ tam mieszka moja najstarsza córka – opowiada. Zwiedziłam Bawarię, Nadrenię Północną-Westfalię oraz Badenię-Wirtembergię. Miałam okazję poznawać te urokliwe i zabytkowe strony, tamtejszą kulturę i zwyczaje. Zaglądałam do kościołów katolickich, protestanckich i ewangelickich. Podziwiałam wielkie, okazałe budowle oraz zabytkowy wystrój. Doszłam do wniosku,



Z siostrami obecnie

że świat jest piękny, jednak wszędzie trzeba pracować. Nigdzie nie dadzą nam nic za darmo. Cieszy mnie, że obecnie możemy swobodnie wybierać miejsca swojego zamieszkania. Jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa – dodaje i nadmienia, że wcześniej zainwestowała w siebie zaliczając intensywny kurs języka niemieckiego, co w znaczący sposób ułatwiło te podróże. Żartuje, że teraz systematycznie przewietrza swój umysł uczęszczając na zajęcia na uniwersytecie trzeciego

wieku. Chodzę m.in. na zajęcia taneczne, gdzie pod okiem profesjonalisty uczymy się różnych tańców. Realizujemy program „Z tańcem przez świat”, np. polonez – polski, polka – czeski, tyrolski, zorba – grecki, tarantela – włoski, salsa – hiszpański, belgijka

– belgijski, *lambeth walk* – angielski. Są to zajęcia wyczerpujące, ale dające radość i satysfakcję. Bardzo je lubię. Występujemy później na lokalnych imprezach i bierzemy udział w przeglądach artystycznych – wylicza. Ma także uspokajające hobby – czytanie książek. Wybiera pozycje wymagające myślenia i wyciągania wniosków. Lubi też książki obyczajowe, literaturę współczesną. Szczególnie interesujące poleca bliskim do przeczytania i późniejszej dyskusji, np. „Samotność w sieci” Janusza Leona Wiśniewskiego.



III wiek



Wnuki muzykują na wigilii

– twierdzi przekonująco. Maszyna do szycia to następne hobby przynoszące spokój i jednocześnie dające satysfakcję oraz radość obdarowywanym. Jest także bardzo przywiązana o rodziny; szczególnie sobie ceni spotkania z rodzeństwem, oczywiście w rodzinnym domu, o który dbają bracia. *Czasu spędzonego z tymi, których kochamy, nigdy nie jest za dużo* – powtarza za Claudią Gray. Na dany sygnał, w miarę możliwości, wszyscy zjeżdżają z bliskich i odległych stron. *Wtedy wspólnie biesiadujemy, cieszymy się sobą, gotujemy. Hitem jest danie regionalne, tj. kapusta z grochem, którym tradycyjnie wita nas najstarszy brat z małżonką. Wspominamy nasze dzieciństwo, młodość, dzielimy się uwagami i radami oraz śpiewamy.* Przynosi i pokazuje przez siebie specjalnie przygotowany śpiewnik pieśni i piosenek biesiadnych. *Wspominamy wtedy naszych Rodziców, odwiedzamy ich na pobliskim cmentarzu i zapalamy lampki wdzięczności za trud włożony w nasze wychowanie* – powiedziała na zakończenie.

ZOFIA

Rodzinne strony opuściłam bardzo dawno. Miałam czternaście lat i za sobą jeden rok nauki w liceum w Krościenku – rozpoczyna swoją sentymentalną opowieść. *Mieszkałam wtedy w internacie i bardzo tęskniłam za domem, do którego rzadko jeździłam, bo brakowało pieniędzy. Niewielkie stypendium nie wystarczało. Okazja do zmiany trafiła się, kiedy spod Kamiennej Góry przyjechał stryj. Osiedlił się tam niedługo po zakończeniu wojny. Powiedział, że u nich są szkoły dla dziewcząt umożliwiające szybkie*

zdobyć zawodu; mogłabym zamieszkać u nich. Spodobała mi się ta propozycja. Rodzicom też, a tato nawet pojechał tam ze mną – wspomina.

Nauka

Opowiada, że zamieszkała u stryjostwa i rozpoczęła naukę w trzyletniej szkole włókienniczej o profilu chemicznym. *Szkoła znajdowała się w Kamiennej Górze, a ja mieszkalam w Witkowie. Dojeżdżałam pociągiem, dlatego zmuszona byłam wstawać o czwartej rano – uzupełnia swoją wypowiedź.* Po powrocie ze szkoły pomagała stryjostwu w gospodarstwie, a wieczorem odrabiała lekcje. W tej szkole, jak stwierdza, zdobyła podstawowe kwalifikacje zawodowe i jasny pomysł na to, co chce dalej robić. Zyskała również grono oddanych przyjaciół, dzięki czemu rozłąka z rodziną była mniej dokuczliwa. Ze wzruszeniem opowiada, że co roku od ukończenia szkoły organizują zjazdy absolwentów w Kamiennej Górze, które stanowią okazję do spotkań, miłych rozmów i wspomnień. Po chwilowym namyśle nadmienia: *Początkowo trudno mi było przyzwyczaić się do nowych i nieznanych warunków oraz ludzi, którzy nawet inaczej mówili niż ja. Upłynęło dość dużo czasu zanim przywykłam – uzupełnia.*

Praca

Po ukończeniu zawodówki, już jako wykwalifikowany pracownik, otrzymała pracę w kamiennogórskich zakładach przemysłu włókienniczego. *Z wielkim zadowoleniem rozpoczęłam pracę. Cieszyłam się z własnych pieniędzy. Powoli uczyłam się gospodarowania nimi i mogłam się wreszcie usamodzielnąć. Ale czegoś mi brakowało. Chyba nauki? Zawsze lubiłam się uczyć. Szkołę zawodową ukończyłam z bardzo dobrym wynikiem. Postanowiłam rozpocząć naukę w trzyletnim technikum dla pracujących. Aby mi było łatwiej połączyć pracę z nauką, wynajęłam mieszkanie w Kamiennej Górze – dodaje.* Z sympatią wspomina polonistkę z technikum i podsunięte przed maturą opracowanie pt. „Autorzy naszych lektur”, co w znacznym ułatwiło dokładniejsze przygotowanie się do egzaminu. W tym czasie dołączyła do niej siostra. Tęsknota stała się mniej dokuczliwa. Niedługo potem wyszła za mąż i zamieszkała u teściów w Gostkowie. Znowu dojeżdżała do Kamiennej Góry. Gdy na świecie pojawiła się córka, teściowa pomagała w jej wychowaniu. Po czterech latach otrzymali upragnione mieszkanie spółdzielcze i zamieszkali w Kamiennej Górze; wtedy urodziła drugą córkę. Wspomina, że lubiła swoją pracę. *Praca zawsze*



Zofia w miejscu pracy



Zofia

*dawała mi satysfakcję, może dlatego, że odziedziczyłam po mamie zamiłowanie do krawiectwa – żartuje i prezentuje dyplomy, nagrody oraz wyróżnienia otrzymywane przez lata. Po ukończeniu mistrzowskiego kursu o kierunku *Obróbka chemiczna tkanin* otrzymała tytuł mistrza i kierowała zespołem liczącym 180 pracowników na jednej zmianie. Po dziesięciu latach pracy została zastępcą kierownika wydziału szwalni. Wtedy też rozpoczęła zaoczne studia na Wydziale Włókienniczym Politechniki Łódzkiej. Z żalem mówi, że zaliczyła tylko dwa semestry. *Cieężko było połączyć pracę zawodową i obowiązki rodzinne z dalekimi dojazdami* – ubolewa. W 1997 roku, kiedy zakład chylił się powoli do upadku, zdecydowała się przejść na wcześniejszą emeryturę. Miała już bowiem odpowiedni staż i wiek.*

Powrót

Tęsknota za miejscem urodzenia doskwierała od zawsze. Chęć powrotu była jej marzeniem. Kiedy w 2002 roku zmarł jej mąż, a córki usamodzielniały się, stwierdziła, że pora wracać. Na dodatek młodsza córka osiedliła się niedaleko jej rodzinnych stron. Dzięki wyrzeczeniom i pracowitości, oszczędnościom życia, jak i pracy za granicą, kupiła działkę w rodzinnej miejscowości. Zbudowała tam przytulny domek z widokiem na Dunajec i pasmo Gorców. *To, o czym marzyłam, spełniło się. Wprawdzie dopiero po czterdziestu trzech latach, ale warto było czekać* – cieszy się i opowiada, jak bardzo ważne są dla niej siostrzane więzi. W bliskiej odległości mieszkają dwie siostry, trzecia nieco dalej, ale często się spotykają. Jedna pozostała na Dolnym Śląsku, dlatego rzadziej się widują. Bardzo sobie cenią rodzinne spotkania. Wspominają wtedy swoje pracowite dzieciństwo i lata szkolne. Opowiadają o trudnych, śnieżnych i mroźnych zimach, o tym że przedzierały się przez zasy do odległej szkoły, jedna drugiej torując niejednokrotnie drogę. Do domu wracały nocą zziębnięte głodne i w przemoczonym



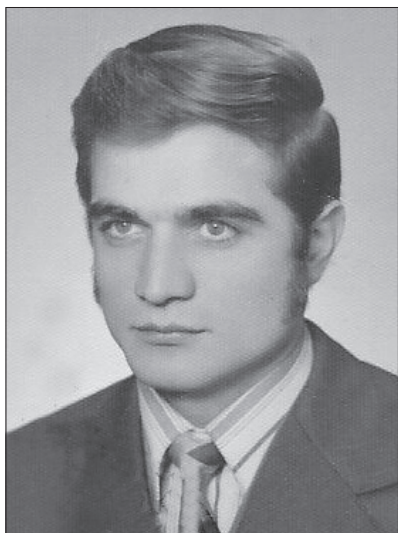
Zofia, szczęśliwa babcia

obuwii. I wszystkie chciały się uczyć. Potwierdzają z dumą, że całej piątce udało się spełnić to marzenie.

Zofia jest obecnie dumną babcią trójki wnucząt. Dorosły wnuk często ją odwiedza pomagając w potrzebie. Chwali się, że zawsze może na niego liczyć. Na pytanie, jak organizuje sobie życie, po krótkim namyśle stwierdza: *Przed wszystkim do tej pory nie mogę uwierzyć, że mieszkam w miejscu, do którego tęskniłam przez całe życie. Wciąż zachwyca mnie tutejsza przyroda. Tu wszystko wydaje mi się najlepsze i najpiękniejsze. Oczywiście, są i trudności, ale niektóre dają się pokonać dzięki otaczającym mnie życzliwym ludziom oraz siostrze. Poza tym czytam dużo książek. Szczególnie interesują mnie pozycje oparte na faktach, historyczne i o wojnie. Moją pasją są krzyżówki, oczywiście te najtrudniejsze. Przy sprzyjającej pogodzie i dobrym samopoczuciu, z kijkami w rękach, wyruszamy z siostrą na długie spacer. Urządzamy również piesze wycieczki w pobliskie góry – dodaje. Szkoda, że to życie tak szybko pędzi – zamyśla się.*

STANISŁAW

To człowiek z ogromnym apetytem na życie i niezmiernie ciekawy otaczającego go świata. I ta ciekawość ciągnie się za nim przez cały czas. Tak o sobie opowiada: Kiedy byłem dzieckiem, zapytałem mojego ojca, co jest za tymi górami? – Tam są następne góry, zresztą sam się kiedyś przekonasz – usłyszałem wówczas. Były to lata pięćdzie-



Stanisław Opyd

siąte ubiegłego wieku. Pamiętam, że lubiłem obserwować otaczający mnie świat, popatrywałem na robotników drogowych tłukących młotkami kamienie, aby utwardzić drogę do Nowego Sącza – dodaje. Po ukończeniu szkoły podstawowej, kiedy już sprawnie, jak twierdzi, posługiwał się siekierą, kosą i pługiem oraz piórem, postanowił zdobyć profesję stolarza w starosądeckiej zawodówce. Pierwszy dzień nauki sprawił jednak, że plany uległy całkowitej zmianie. Ponieważ w szczególny sposób intrygowały go samochody, postanowił jechać do Nowego Sącza. Nie musiał daleko szukać. Naprzeciwko dworca autobusowego zobaczył napis „Zasadnicza Szkoła Samochodowa”. Tam skierował swoje kroki. Wspomina, że w tamtym czasie trochę pomieszkiwał w internacie, a gdy brakowało pieniędzy na opłatę, dojeżdżał. To był mój strzał w dziesiątkę – powie po latach. Szkoła samochodowa pod dyktando inż. Potoczka spełniła moje oczekiwania. Uświadomiłem sobie wówczas, jak wiele jest maszyn, które muszę poznać, jak dużo jest miast, które powinienem zobaczyć, i sporo jeszcze muszę się nauczyć! Jak ja sobie z tym poradzę? Zdałem sobie sprawę, że mogę liczyć tylko na siebie. Wszystkie te emocje zakodowały się w mojej świadomości i rzutowały na dalsze losy – podsumowuje.

Praca

Kontynuując swoją opowieść nadmienia, że w tamtych czasach większość absolwentów jego szkoły widziała swoją przyszłość na Śląsku. Tam czekała praca, szkoły, nowe możliwości i perspektywy. *Podążyłem ich śladami* – dodaje. Pracę znalazł w Przedsiębiorstwie Budowlanym Przemysłu Węglowego i został przydzielony do bazy transportowej w dzielnicy Chorzów Batory. Tam spostrzegł, jak bardzo ważna jest integracja z tamtejszym środowiskiem. *Poradziłem sobie w ten sposób, że zacząłem uczęszczać na zajęcia w Pałacu Młodzieży w Katowicach, gdzie poszukiwano młodych talentów. To stało się dzięki kolegom. Tam spróbowałem swoich sił w śpiewie, tańcu a nawet w sztukach walki* – chwali się, a po chwili zauważa, że pewnie żądał za dużo od losu i ten rzucił mu kłodę pod nogi. – *Jadąc motocyklem, zderzyłem się czołowo z samochodem ciężarowym. Na szczęście zachowałem wszystkie części ciała w oryginalnym stanie* – śmieje się. W tym czasie upomniało się o niego wojsko. Przywdział mundur i przez dwa lata zgłębiał zawiłości taktyki, budowy karabinów i armat, a także ideologii i polityki. Po powrocie z wojska rozpoczął pracę w katowickiej straży pożarnej i miał do dyspozycji samochody pożarnicze oraz jedyną na Śląsku trzydziestometrową drabinę marki Magirus. Opowiada, że pracy było dużo i nie brakowało niebezpiecznych sytuacji zagrażających zdrowiu, a nawet życiu. Zaznacza jednak, że nabył tam wiedzy z zakresu bezpieczeństwa oraz ratownictwa, co zaowocowało w późniejszym czasie. Wcześniej rozpoczął naukę w zaocznym technikum samochodowym w Sosnowcu, którą przerwał po wypadku. Nieodmienna ciekawość otaczającego świata spowodowała, że postanowił zmienić pracę. Przeniósł się do firmy budowlanej i przez kilka lat obsługiwał koparki, spychacze, dźwigi i ogromne betoniarki. *Budowałem zakłady chemiczne w Tarnowskich Górach, Krupskim Młynie, w Mikołowie i Knurowie, w cementowni Strzelce Opolskie, w hucie Florian w Świętochłowicach i Cedler w Sosnowcu wylewałem beton, czasem nawet nocą* – dorzuca. W tym czasie założył rodzinę i po pewnym czasie otrzymał propozycję obsługi autobusów, co go ogromnie uradowało. Znowu zmienił firmę, tym razem na Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w Katowicach. Wspomina, że przez następnych parę lat woził pasażerów po śląskiej aglomeracji autobusami marek Ikarus i Jelcz. Zaczynał wówczas pracę o godz. 4 rano i kończył o 24. Taka sytuacja nie była dobra, zwłaszcza dla rodziny, dlatego po niedługim czasie dokonał kolejnej zmiany. Tym razem przeniósł się do firmy transportowej, gdzie pokonywał nawet do dziesięciu tysięcy kilometrów miesięcznie. *Zdążyłem objechać całą Polskę, łącznie ze stolicą, Niemcy oraz Austrię. Kiedy firma zakończyła swoją działalność, pomyślałem, że nadarza się okazja, aby przyjrzeć się ludziom z bliska. Taksówka będzie dobrym narzędziem. I tak podjąłem nowe wyzwanie* – snuje swoją opowieść. Jakby mimochodem wspomina o tym, iż właśnie wtedy zaczął budować dom w rodzinnym Łącku. Zbyt intensywny tryb życia sprawił, że jego biologiczna maszyna, jak opowiada, wykazała znaczny stopień zużycia; pojawiły się stuki i zgrzyty. To był powód do rozstania się z maszynami, autobusami i taksówkami. – *Należało dokonać kilku napraw i wielu zmian w sposobie życia. Tak też uczyniłem. Ale kiedy już nabrałem sił, pomyślałem, iż przyszła pora na zdobycie nowych umiejętności. Zostałem*

elektrykiem i kontrolerem jakości – ciągnie. Tak dotrwał do emerytury, a ponieważ żona w tym czasie także przeszła na zasłużony odpoczynek, nic nie stało na przeszkodzie w przeprowadzce do Łącka. Po zgiefku miasta przywiodło go tutaj pragnienie ciszy i spokoju.

Na pytanie, czy spełniły się jego marzenia, czy w swoim życiu osiągnął wszystko, o czym niegdyś marzył, odpowiedział: *Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że zrealizowały się wszystkie założenia z młodości. Nawet specjalnie się o to nie starałem. Tak ułożyły się okoliczności. To niesamowite, że gdy byłem dzieckiem nie było tu prądu, radia, dróg, a dożyłem czasów, kiedy samochody jeżdżą bez kierowców, ludzie zamierzają budować bazy na innych planetach, a maszyny produkują dla nich części zamienne. A ja dalej nie przestaję pytać – jak to wszystko działa? Chodzi mi też o moje ciało – zastanawia się. Przyznaje także, że ma satysfakcję z życia. Nie zmarnował talentów podarowanych przez Boga.*

Pasje

Stanisław to człowiek o szerokich zainteresowaniach, żądny wiedzy we wszystkich dziedzinach. Na zasłużonej emeryturze nie chcąc być beczynny, uczestniczy w zajęciach klubu dla seniorów. Dużo czyta. Interesuje go zarówno proza, jak i poezja. Dysponuje fantastyczną pamięcią i szeroką wiedzą. I, co ciekawe, potrafi ją przekazywać w interesujący sposób. Aktualnie w kręgu jego zainteresowań znalazło się ziołolecznictwo. Zgromadził pokaźną literaturę, wygłasza nawet pogadanki na ten temat dla klubowych słuchaczy; jest koleżeński i uczynny, zawsze służy pomocą. Swoją opowieść o życiu kończy przemyśleniami: *Nie można trwać w smutku, samotności i odosobnieniu. Nie wolno rozpamiętywać doznanych krzywd i niepowodzeń. Trzeba wyzbyć się żądzy zemsty i rewanżu. Poszukiwać piękna, dobra i radości. Otaczać się życzliwymi ludźmi!*

„Nie robimy z siebie bohaterów [...], dochowujemy żołnierskiej przysięgi i spełniamy nasz obowiązek. I to każdy uznać musi.

Major Henryk Dobrzański ps. „Hubał”,

„Dziennik Hubala”, marzec 1940 r

Dziennik Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego majora Henryka Dobrzańskiego ps. Hubał i 80-ta rocznica jego śmierci

Pojawienie się tematyki II wojny światowej na łamach „Almanachu Łąckiego”, nie jest niczym nowym. Jednak wspomnienie majora Henryka Dobrzańskiego może nieco dziwić, choć przywołany on został w niniejszym periodyku jako twórca konspiracji w okręgu radomskim przy okazji artykułu Andrzeja Huzy o Michale Wojciechowskim rotmistrzu szwoleżerów związanym z 1 Pułkiem Strzelców Podhalańskich AK. Tu jednak chciałbym przypomnieć, a w pewien sposób zaprezentować tę tematykę w kontekście wydawnictwa *Dziennik Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego mjr. Henryka Dobrzańskiego ps. Hubał*, opracowanego przez dwóch autorów Pawła Skoruta i mnie Piotra Wierzbickiego, i wydanego w roku 2019 w Krakowie. Wydawcą było Stowarzyszenie NŻS 1980 przy wsparciu Marszałka Województwa Małopolskiego Witolda Kozłowskiego, a partnerami Województwo Małopolskie, Muzeum Armii Krajowej w Krakowie Muzeum Wojska Polskiego, Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu oraz Zakłady Mechaniczne Tarnów. Inauguracja wydawnictwa i pierwsza promocja miała miejsce właśnie w Nowym Sączu, w Gmachu Głównym Muzeum Okręgowego w Nowym Sączu 14 listopada 2019 roku, a potem była kolejna w Krakowie w Krakowskim Klubie Wtorkowym 10 grudnia 2019 r., aż wreszcie w Radiu Kraków 18 grudnia 2019 roku. W zamyśle opracowanie miało uczcić powstanie oddziału oraz 80 rocznicę śmierci „Hubala”, która przypada w tym roku, a miała miejsce 30 kwietnia 1940 roku pod Anielinem.

„Mundur do śmierci nie zdejmę” taką obietnicę złożył major Henryk Dobrzański ps. Hubał, dowódca ostatniego Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego, walczącego z Niemcami przed swymi żołnierzami. I obietnicy tej dotrzymał, — ginąc pod Anielinem — niedaleko Opoczna — 30 kwietnia 1940 roku. Epopeja Hubalczyków zaczęła się jeszcze we wrześniu 1939 roku i trwała nawet po śmierci założyciela do czerwca 1940 roku. Dowodzony przez mjr. Dobrzańskiego oddział, liczący w szczytowym okresie nawet ponad 320 żołnierzy, przeprowadził ponad trzydzieści akcji zbrojnych przeciwko Niemcom. Hubalczyki odnieśli pierwsze zwycięstwo w potyczce z Niemcami pod Cisownikiem w listopadzie 1939 r. Henryk Dobrzański nie podporządkował się rozkazom kierownictwa Związku Walki Zbrojnej i Delegatury Rządu na Kraj — o rozwiązaniu oddziałów. 30 marca 1940 roku odniósł wielkie zwycięstwo w potyczce pod Huciskiem, — w której został zniszczony niemal całkowicie batalion piechoty Wehrmachtu. Podobny los spotkał dwa dni później

w kwietniu kolejny oddział niemiecki pod Szałasami. Ostatecznie Niemcy rozproszyli oddział hubalczyków pod Anielinem w kwietniu 1940 roku, a sam Hubal jak wiadomo poległ. Jego ciało zostało pochowane przez Niemców nieznanym miejscu do dziś trwają poszukiwania. Resztki jego żołnierzy walczyło do 25 czerwca 1940 roku. Legenda jednak pozostała opisywał ją m.in. Melchior Wańkowicz czy niedawno Jacek Komuda w powieści „Hubal”. Jednak mimo tego nie wydano prze lata jednego z najważniejszych dokumentów do dziejów oddziału Hubala, którym był dziennik sztabowy pisany na gorąco. Dziennik obecnie znajduje się w Muzeum Armii Krajowej w Krakowie, a jego część prezentowana jest na ekspozycji stałej pt. *Polskie Państwo Podziemne i jego siły zbrojne*” w części dotyczącej funkcjonowania Polskiego Państwa Podziemnego w tzw. podprzestrzeni „Hubal i inni”, która została otwarta 27 września 2012 roku. Trafił do Muzeum w 2007 roku dzięki prof. Tadeuszowi Wyrwie synowi kpt. Józefa Furgalskiego „Wyrwy”. Ten ostatni otrzymał niniejszy dokument od samego majora „Hubala”, którego był podkomendnym. Najpierw został schowany we wsi Greszczyn, skąd w 1965 roku siostra kapitana Wyrwy” Kazimiera przewiozła go do Francji, gdzie mieszkał sam Józef Furgalski. Chcąc zachować dokument Furgalski go zalaminował, co okazało się fatalne dla dokumentu. Nie wiadomo ile stron zawierał dziennik, do dziś ocalały 24 karty tj. (48 stron) mających poważne ubytki. Jego karty zostały fotografowane w podczerwieni w Centralnym Laboratorium Kryminalistyki Komendy Głównej Policji. Pozwoliło to na częściowe odczytanie zapisów zawartych na kartach dziennika. „Dziennik Hubala”. Jest to kronika Oddziału, a zapis sporządził podchorąży Henryk Ossowski „Dołęga” i obejmuje okres od 13 marca do 8 kwietnia 1940 roku. Karty archiwaliów mają wymiary długość 20,5 cm i szerokość 15 cm. Do tej pory nie został w pełni opublikowany a fragmenty opublikowano w 2011 roku w „Gazecie Wyborczej”. Jednak na pełną prezentację musiał czekać do 2019 roku kiedy to opracowano jego pełną wersję wraz z przypisami rzeczowymi oraz tekstowymi. Do tego dołączone faksymile dziennika wraz ikonografią. Dzięki temu udało się zachować dla przyszłych pokoleń świadectwo odwagi oraz poświęcenia Hubalczyków i ich dowódcy, które jest słusznym powodem dumy dla każdego Polaka w tym także jak sądzę Sądectzanina a zarazem mieszkańca ziemi łąckiej, o której sam pisuję. Mam świadomość jak istotny w tradycji tego regionu jest patriotyzm oraz walka o zachowanie tożsamości, czego dowiedli jej przedstawiciele także podczas II wojny światowej. Liczę więc, że ten krótki tekst zamieszczony dzięki uprzejmości Pani redaktor Jadwigi Jastrzębskiej zachęci obywateli ziemi łąckiej i Sądectzyny do zapoznania się nim.

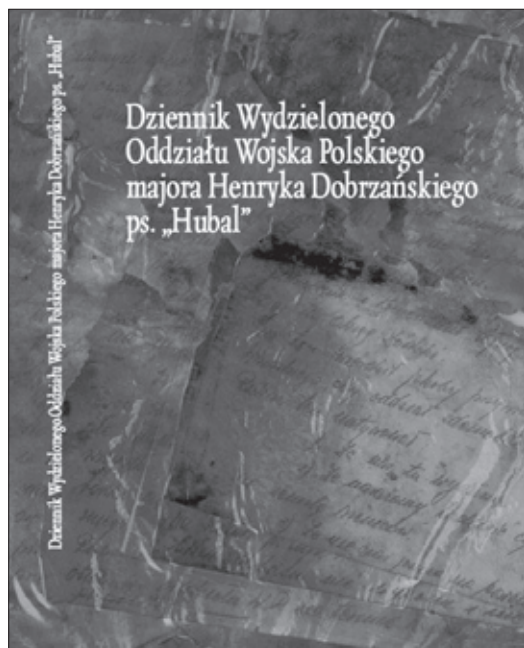
Techniczne dane wydawnictwa:

- obejmuje 168 stron
- Wstęp 24 stronicowy
- Zasadniczą część stanowi 48 stron faksymile oryginału Dziennik Bojowego oraz mniej więcej tyle samo stron tekstu opracowania i edycji opatrzonej przypisami od str. 29 do 130
- Ikonografia obejmuje 16 zdjęć w tym oddziału Hubala, jego samego, medaliku otrzymanego przez Wyrwę od matki Hubala oraz opaski Hubalczyka
- Ponadto jest mapka działań zbrojnych OWWP

- Wprowadzono też listę skrótów, indeks osobowy i geograficzny oraz skrót angielski i notki autorów oraz fragment recenzji wydawniczej.
- Materiały pochodzą głównie z Muzeum AK w Krakowie i Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.



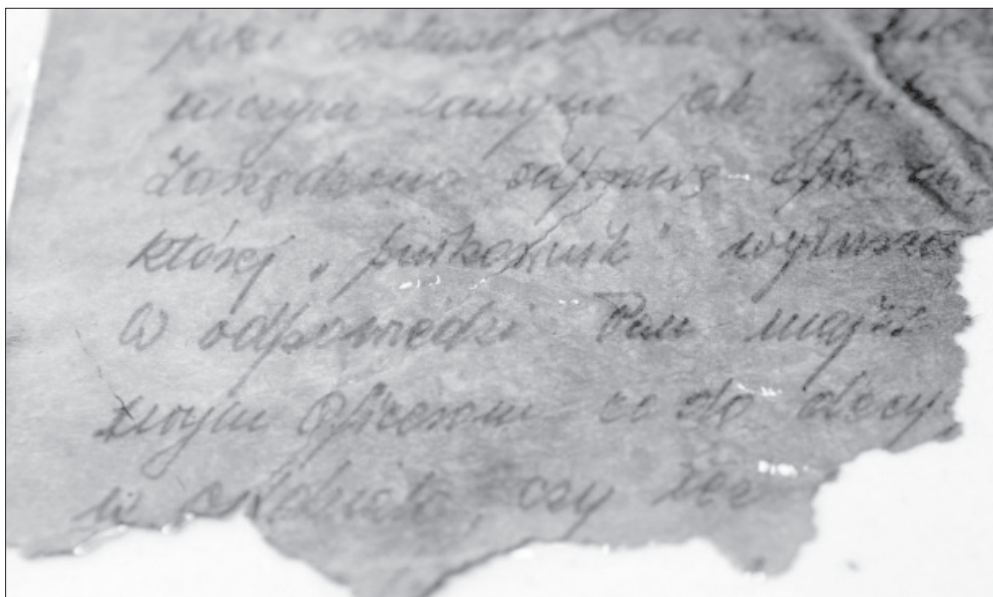
Plakat z promocji „Dziennika Hubala



Okładka książki: Dziennik Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego majora Henryka Dobrzańskiego ps. „Hubal”, opracowali Paweł Skorut, Piotr Wierzbicki, Kraków 2019



Zalaminowane karty „Dziennika Bojowego Hubala” Muzeum AK w Krakowie



Jedna z kart „Dziennika Bojowego Hubala”

W opłotkach, lasach, na halach. Zapis udręki 1968 okupacyjnych dni

Gminy – odwieczne małopolskie sąsiadki i kumy, Łącka i Ochotnicka – od 80 lat do dziś dzielą niewidoczne granice wiedzy o ich przeszłości. Ciężą jedna do Podhala, druga do Sądecczyzny. Obydwie górskie – gorczańska i beskidzko-sądecka, mają i swoich dziejach przebogate w wydarzenia zapisane w polskiej historii dawnej i całkiem współczesnej. Mają też karty zapisane tysiącami tragedii i paskudnych losów lat okupacji 1939-1945. Coraz częściej ukazują się poświęcone im publikacje pełne wydobywanych z niepamięci faktów z historii Łachów Sądeckich i Górali Gorczańskich.*

Szczegółowe opracowanie historyczne **Dawida Golika** zwykły czytelnik przebrnie z trudem z powody ogromnej szczegółowości i gęstwin treści przekazu historycznego. To typowe lektura o bogactwie wydarzeń militarnych, Ta druga to opracowanie **Tadeusza Morawy, juniora** – nie mniej dokładna literatura historyczna bliska pamiętnikowi i dziejom zbiorowym jednej gorczańskiej wsi i osiedli. Powstała jako dokument historyczny i zarazem pamiątka rodzinna bo jej autorzy to **Eugeniusz Giełdczyński i Tadeusz Morawa** – to dowódczy oddziałów partyzanckich. Na karty tej drugiej pozycji wprowadza czytelnika **Tadeusz Królczyk** – ze starego rodu, ochotnickiego górali gorczańskich, obecnie wójt Ochotnicy Dolnej. W osobliwych okolicznościach – jej treść jawi się po 75 latach od pamiętnikarskiego zapisu uczestników wydarzeń: – *Książka ta jako jedyna n opisuje całościowo bohaterska i tragiczną historię Ochotnicy i Tylmanowej podczas drugiej wojny światowej. Okres ten odbił się ogromnym piętnem na losach mieszkańców naszych wsi, zostawiając blizny do dziś, a nierzadko też ogromną pustkę. Autorzy dokładnie wyliczają, że udręka mieszkańców naszych miejscowości trwała aż 1968 dni* – promuje książkę, ochotnickiego rodu, wójt starodawnej wsi.

To prawda, że o historii wojny i okupacji Ochotnicy napisano już mnóstwo książek i artykułów. Jednak wiele z nich to opracowania, a ta publikacja to wspomnienia uczestników setek zdarzeń. Autorzy opisów to dawni jedni z najważniejszych dowódców partyzanckich oddziałów gorczańskich, a po wojnie prześladowanych przez władze ludowa. Treść książki wypełniają też liczne cenne dokumenty z lat okupacji i mnóstwo portretów uczestników zdarzeń wojennych.



Opis zaczyna się od pierwszych dni września 1939, inwazji armii hitlerowskiej i słowackiej szosą od Pienin przez Krościenko nad Dunajcem, Tylmanową i ochotnickiego osiedla Rzeka i kilkudniowego skutecznego oporu. Kolejne fragmenty to opisy wywózek i deportacji do obozów pracy koncentracyjnych i do robot przymusowych. Dalej następują opisy zagłady ochotnickich i tylmanowskich Żydów. Autorzy dokumentują walkę i ruch oparu, powstanie krótkotrwałej Wolnej Republiki Ochotnickiej. Dla wielu czytelników będą zapewne ważne opisy osób i roli w tych wydarzenia mieszkańców Ochotnicy i Tylmanowej, zarówno te sławetne jak i godny potępienia służalczy, kolaboranckie udział w Goralenvolku. Do dziś żywa jest, otoczona kultową pamięcią, zbrodnia w dniu Krwawej wigilii 23 grudnia 1944 roku w Ochotnicy Dolnej. Jednym z ważnych wydarzeń był upadek amerykańskiego samolotu bombowego w ochotnickim osiedlu Małe Jaszczce i uratowanie przez górali gorczańskich jego 9-osobowej załogi. Miejsce upadku samolotu jest trawle upamiętnione i znane jako element lokalnej tożsamości.

* Dwie najnowsze to: Eugeniusz Giełdczyński, Tadeusz Morawa junior – *Ochotnica w walce z okupantem niemieckim w latach 1939-1945*, wydała gmina Ochotnica Dolna 2019, i Dawid Golik – *Wrzesień 1939 w Dolinie Dunajca*, Wydawnictwo Attyka, Kraków 2018

Wybory do Rady Gminy Zarzecze 100 lat temu

Uzyskanie autonomii Galicji i Lodomerii na podstawie Dyplomu Październikowego w 1860 roku i Patentu Ludowego w 1861 roku, wyrażało się w pojawieniu samorządu terytorialnego i ustanowieniu Sejmu Krajowego. Nastąpiło także oddzielenie władz rządowych od samorządowych. Władza rządowa to: **minister** do spraw Galicji, **namiestnik**, który reprezentował cesarza, **starosta**, którego zadaniem był nadzór nad samorządem gminy. Samorząd terytorialny to powiat i gminy (miejskie i wiejskie). Ustawa Gminna z dnia 12 sierpnia 1866 r. uporządkowała ich zadania, sposób zarządzania i określiła ordynację wyborczą. Ustawa ta z różnymi zmianami obowiązywała do 1934 r.

Gminą zarządzał naczelnik wraz z wybraną przez mieszkańców radą gminy. Wybory na radnych i naczelnika przeprowadzano co trzy lata. Naczelnika wybierano w wyborach pośrednich. Radni wybierali go ze swojego grona na pierwszym posiedzeniu rady. Wybrany naczelnik nie mógł odmówić przyjęcia powierzonego mu stanowiska. Z tego obowiązku mógł być zwolniony tylko ze względu na stan zdrowia. W innym przypadku musiał zapłacić wysoką karę. Taki przypadek zdarzył się w Zarzeczu w 1924 r. Na wybranego ówczesnie naczelnika nałożono karę pieniężną w wysokości 100 koron austriackich, tj. 100 franków na rzecz ubogich z terenu gminy.

Radych mogli wybierać tylko mężczyźni, po ukończeniu 21 roku życia, i tylko ci, którzy płacili w gminie podatek. Efekt tego przepisu był taki, że w Gminie Zarzecze na około 550 mieszkańców prawo wyborcze posiadało trochę więcej niż 50 osób. Liczba wybieranych radnych związana była z liczbą uprawnionych do głosowania. Wyborcy i radni byli przypisani do trzech kół. Przynależność do koła określała wysokość płaconego podatku. I. koło płaciło najwięcej, II. mniej, a III. najmniej. Przed wyborami sporządzano listy wyborców i kandydatów na radnych. W dniu wyborów każde koło musiało głosować oddzielnie. W przypadku Zarzecza każde koło wybierało dwóch radnych i dwóch zastępców. Po zakończeniu głosowania każdego koła, komisja wyborcza obliczała kogo wybrano na radnych i na ich zastępców. Osoby te skreślano z listy kandydatów. Następne koło nie mogło na nich głosować. Taka ordynacja wyborcza do gmin obowiązywała do odzyskania niepodległości w 1918 r.

Już 28 XI 1918 r. Naczelnik Państwa – Józef Piłsudski wydał dekret, którym nadał prawo wyborcze wszystkim obywatelom (po raz pierwszy kobietom). Zaś 26 X 1919 r. Urząd Powiatowy zarządził wybory IV. Koła, tj. dla tych, którzy nie płacą podatków. Te wybory odbyły się w ciągu dwudziestu dni, jak było w zarządzeniu. Załączone ogłoszenie z 1920r. stanowi dowód na przeprowadzenie pierwszych pełnych wyborów do Gminnej Rady w Zarzeczu w wolnej Polsce. Głosowanie odbywało się zgodnie z wytycznymi Ogłoszenia, natomiast liczenie głosów przebiegało według przepisów sprzed 1918 r. Wyniki wyborów pokazały, że najbiedniejsi mieszkańcy nie posiadali swoich przedstawicieli w radzie gminy jako, że głosowali w pierwszej kolejności

L. 3.)

Ogłoszenie !

Podaje się do publicznej wiadomości w gminie Łarrecze
że Wybory do Rady gminnej w Łarreczu, odbędą się dnia 22.
Stycznia 1920. roku w Kancelaryi gminnej w Łarreczu we
Otwartej - w następującym porządku.

II. Koło wyborcze !

Do wszystkich obywateli gm. Łarrecze co ukończyli lat 21. życia,
nie opłacając żadnego podatku, tak mężczyźni jak i kobiety.
Głosowanie zaczyna się 22. Stycznia 1920. roku o godzinie
9^{ej} rano, trwać będzie do godziny 9.rano, które ma wy-
brać 4. radnych i 2. zastępców radnych -

III. Koło wyborcze !

Do wszystkich obywateli gm. Łarrecze co ukończyli lat 21. życia,
tak kobiety jak i mężczyźni, a opłacając podatek, są w listach pow.
Głosowanie zaczyna się 22. Stycznia 1920. r. o godzinie 9^{ej}
rano, trwać będzie do 11. godziny rano, które ma wybrać
4. radnych i 2. zastępców radnych -

II. Koło wyborcze .

Głosowanie zaczyna się 22. Stycznia 1920. r. o godzinie
11.5 przed południem trwać będzie do 1. ^{ej} po południu,
które wybierze 4. radnych i 2. zastępców radnych

I. Koło wyborcze !

Głosowanie zaczyna się 22. Stycznia 1920. r. o godzinie
1. ^{ej} po południu trwać będzie do godziny 3^{ej} po południu
które ma wybrać 4. radnych i 2. zastępców radnych.

Azym się pamiędować całą publiczność i interesowanych
w gminie Łarrecze, oraz Starostwo w Łarreczu

Przewodniczący gminy gminy Łarrecze

Łarrecze dnia 18. Stycznia 1920.

radjeto ogłoszenie

Kancelnik gminy

i wybierali bogatszych mieszkańców. Często byli to gospodarze, u których można było zarobić parę groszy albo wydzierżawić kilka lub kilkanaście arów gruntu pod uprawę roślin na swoje potrzeby. Bogaci zaś nie wybierali biedniejszych, bo traktowali ich z pogardą i często nazywali ich „dziadami”. Dopiero pod koniec lat 20 XX wieku, ludzie biedni zrozumieli, że wpływ na pracę rady gminy mogą mieć tylko przez wybór radnych spośród siebie. Wtedy to w radzie pojawili się również radni niepłacący podatku. Takie wybory odbywały się do 1934 r.

Materiały źródłowe:

1. Ustawa Gminna z 12 sierpnia 1866 r.
2. Dekret o ordynacji wyborczej z dnia 28 listopada 1918 r.
3. Zarządzenie Urzędu Powiatowego z dnia 26 października 1919 r.
4. Ogłoszenie Naczelnika Gminy Zarzecze z dnia 10 stycznia 1920 r.
5. Dziennik podawczy Gminy Zarzecze
6. Księga Uchwał Gminy Zarzecze
7. Wspomnienia mieszkańców pamiętających ten okres.

Sprawozdanie Zarządu Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej za 2018 rok

Zgodnie ze Statutem Towarzystwa, Zarząd przedstawia sprawozdanie za 2018 rok, na Walnym Zgromadzeniu Członków, które odbywa się podczas Święta Kwitnącej Jabłoni, roku następnego. Komisja Rewizyjna przedstawia sprawozdanie z przeprowadzonej kontroli finansów TMZŁ, za każdy rok działalności, a więc także za rok 2018 zostanie przedstawione sprawozdanie Komisji Rewizyjnej. Sprawozdanie finansowe za rok 2018, tj. bilans i rachunek zysków i strat, zostało przygotowane przez skarbnika Towarzystwa Krystynę Faron przy współpracy prezesa Zarządu, Jadwigi Jastrzębskiej.

Zeznanie podatkowe CIT 8 i CIT 8-0, za 2018 rok, do Urzędu Skarbowego w Nowym Sączu, zostało złożone w terminie, tj. do 30 marca 2019 roku, elektronicznie, program e-PUAP, zgodnie z obowiązującym prawem.

W 2018 roku rozpoczęliśmy 31 rok działalności naszego Stowarzyszenia i 14 rok wydawania Almanachu Łąckiego.

W roku 2018 Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej prowadziło działalność zgodnie ze Statutem i celami wyznaczonymi przez Walne Zgromadzenie Członków w roku 2017.

Zgodnie więc z wyznaczonymi celami, prowadziło działalność charytatywną, organizowało konkursy, prowadziło działalność wydawniczą, promocyjną, informacyjną oraz dokumentację fotograficzną Ziemi Łąckiej i jej mieszkańców.

Dokumentację fotograficzną prowadzimy przez cały czas, i pozyskane w ostatnim roku fotografie i dokumenty wykorzystaliśmy w *Almanachu Łąckim* nr. 28 i 29/2018. Spotkania Zarządu odbywały się wtedy, gdy zaistniała taka potrzeba, mniej więcej raz na kwartał.

Członkowie i sympatycy Towarzystwa spotykali się w roku 2018 na comiesięcznych spotkaniach, na których omawiano bieżące wydarzenia i sprawy dotyczące działalności naszego stowarzyszenia.

Zgodnie z wieloletnią tradycją, Towarzystwo wspiera najbiedniejszych uczniów Szkół Podstawowych w gminie Łącko, zakupując wycieczki edukacyjno – wychowawcze. W roku 2018 z naszej pomocy skorzystali uczniowie ze szkół w Szczereżu, Zabrzeży, Kiczni i Łącku.

Z własnych środków finansowych, składek i darowizn, kupowane są nagrody w konkursach organizowanych przez Szkoły Podstawowe w naszej Gminie np. Gminnym Konkursie Plastycznym w Zabrzeży, ortograficznym w Szczereżu dla kl. 1-3, i ortograficznym w Kadczy dla klas IV-VI, matematycznym w Kiczni, w konkursie plastycznym w Gminnym Przedszkolu w Łącku. O tym, że nasze działania są potrzebne świadczą dyplomy i podziękowania. Wspieramy także inne organizacje, które działają na rzecz naszych mieszkańców.

Od kilku lat wspieramy Świętojańskie Dni Młodych, które w 2018 roku zostało zastąpione przez Świętojańskie Dni Rodzin. Wspieramy także Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, która, od 26 lat gra w gminie Łącko, i której sztab mieści się w GOK, w Łącku. W 2018 roku Orkiestra grała 14 stycznia i zebrała 23.653,06 zł i pobiła rekord z roku 2017.

W skrócie, chronologicznie, przedstawię nasze działania w 2018 roku. Rok 2018 był szczególnym ze względu na 100 lecie odzyskania przez Polskę Niepodległości. Odkonano się w naszej Gminie wiele imprez z tej okazji, Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej, było inicjatorem, a także uczestniczyło w wielu z nich.

6 stycznia 2018 roku członkowie Towarzystwa wzięli udział w II Koncercie Noworocznym, w wykonaniu Orkiestry Reprezentacyjnej Straży Granicznej. Koncert miał miejsce w Hali Widowiskowo-Sportowej w Łącku.

25 stycznia 2018 roku członkowie i sympatycy Towarzystwa spotkali się na „opłatku”. W spotkaniu wzięło udział 37 osób. Po złożeniu życzeń, poczęstunku, zaśpiewano najpiękniejsze kolędy. Spotkanie przebiegło w miłej i serdecznej atmosferze.

11 lutego 2018 roku w Łącku, odbyło się pierwsze z wielu wydarzeń z okazji 100 lecia odzyskania przez Polskę Niepodległości, była to inscenizacja historyczna ataku na niemiecki posterunek w 1944 w Ochotnicy.

23.02.2018 roku w Jazowsku miał miejsce wieczór autorski Bronisława Kozieńskiego, poety członka nie tylko TMZŁ ale także Stowarzyszenia Literatów Polskich. Na spotkanie przybyli miłośnicy poezji „niepokornego” poety.

6 marca 2018 roku, W Zespole Szkół im. św. Kingi w Łącku, odbyła się XVIII edycja konkursu pn. „ŁĄCKO – MOJA MAŁA OJCZYŻNA” 2018. Konkurs od 2001 roku jest organizowany przez TMZŁ. Pytania, przygotowane przez Zarząd Towarzystwa opiniuje prof. Julian Dybiec. Niestety był to ostatni konkurs. W związku z reformą oświaty, likwidacją gimnazjów i utworzeniem 8 klasowej szkoły podstawowej, młodzież była tak obciążona nauką, że nie było możliwości skompletowania chętnych do konkursu w 2019 roku, tym bardziej, że każda szkoła ma jeszcze swoje wewnętrzne konkursy.

16 kwietnia 2018 roku rozpoczął się projekt „Małopolski Senior+”, Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej w ramach współpracy przekazuje swoje wydawnictwa.

3 maja 2018 roku w gminnych obchodach Konstytucji 3 Maja, uczestniczyła delegacja Towarzystwa, która pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego złożyła kwiaty.

9 maja 2018 roku ukazał się kolejny, 28 numer *Almanachu Łąckiego*.

12 maja 2018 roku odbyło się Walne Zgromadzenie Członków TMZŁ, które podsumowało działalność Towarzystwa w 2017 roku. Obradom towarzyszyła promocja numeru 28 *Almanachu Łąckiego* i wystawa fotograficzna akwareli pt. „Łącko w oczach Zbyszka Chwaliboga”.

30 czerwca 2018 roku, członkowie Towarzystwa wzięli udział w Gminnym Dniu Działacza Kultury. Remiza OSP w Łącku zgromadziła twórców, poetów, przedstawicieli stowarzyszeń, zespołów regionalnych, chóru, orkiestry i wszystkich tych, którym bliska i droga jest kultura nie tylko regionalna. O tym wydarzeniu można przeczytać w *Almanachu Łąckim* nr. 29/2018 str. 164-167.

6 lipca 2018 roku w Nowym Sączu, w Ratuszu, miały miejsce trzy ważne wydarzenia w których uczestniczyła prezes TMZŁ, Jadwiga Jastrzębska. Pierwsze wydarzenie to promocja XLVI/46/ tomu *Rocznika Sądeckiego*. Drugim niezwykle podniosłym wydarzeniem było pośmiertne przyznanie Jerzemu Leśniakowi tytułu Honorowego Obywatela Nowego Sącza, który odebrała żona Lucyna Bednarska. Jerzy Leśniak był przyjacielem Towarzystwa, autorem wielu artykułów i recenzji, które ukazywały się w *Almanachu Łąckim* na przestrzeni wielu ostatnich lat. Trzecim wydarzeniem była promocja książki o Jerzym Leśniaku autorstwa prof. Bogusława Kołcza, wieloletniego przyjaciela Jerzego Leśniaka, dyrektora Zespołu Szkół Akademickich w Nowym Sączu.

8 lipca 2018 roku w kościele parafialnym p. w. św. Jana Chrzciciela, w Łącku, odbył koncert się na zamknięcie 4. Małopolskiej Akademii Talentów. Po zakończonym koncercie Jadwiga Jastrzębska w imieniu TMZŁ i dyrektora Szkoły Muzycznej I st. w Łącku, dr hab. Stanisława Strączka podziękowała wszystkim uczestnikom, wykonawcom i profesorom, wspaniałych doznań artystycznych i wręczyła kosz kwiatów. O tym wydarzeniu można przeczytać w *Almanachu Łąckim* nr.29/2018 str.192-194

14 lipca 2018 roku miały miejsce obchody 100 lecia śmierci dr. Henryka Chwaliboga, zorganizowane przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Łąckiej /relacja z obchodów w *Almanachu Łąckim* nr.29 str.67-70./Nadmienię tylko, że dzięki pomocy GOK w Łącku, Urzędu Gminy w Łącku i ZGK w Łącku, oraz darczyńcom, którzy pragną pozostać anonimowi, obchody miały charakter podniosły i patriotyczny. Obchody zakończyła sesja poświęcona życiu i pracy dr. Henryka Chwaliboga. To był wkład TMZŁ w gminne i jednocześnie ogólnopolskie obchody 100 lecia odzyskania Niepodległości przez Polskę.

1 sierpnia 2018 roku przedstawiciele Towarzystwa o godzinie 17.00 złożyli kwiaty i zapalili znicze, na tablicy upamiętniającej poległych partyzantów AK, w 74 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego.

1 września 2018 roku członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej wzięli udział w obchodach 79 rocznicy wybuchu II wojny światowej, złożyli kwiaty i zapalili znicze pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego i tablicy pamiątkowej poświęconej poległym partyzantom AK.

23 września 2018 roku na zaproszenie organizatorów Parafialnego Święta Niepodległości, Szkoły Podstawowej w Zarzeczcu i Zabrzeży, z okazji 100 lecia odzyskania przez Polskę Niepodległości, udział wzięła Jadwiga Jastrzębska, która wygłosiła odczyt o działalności kurierów na Ziemi Łąckiej, w latach okupacji 1939-1945. Sprawozdanie z tych obchodów ukazało się w *Almanachu Łąckim* nr. 29/2018 str. 71-78.

16 -19 października 2018 roku p. Rozalia Kulasik, członkini Towarzystwa, wzięła udział, jako przedstawicielka Towarzystwa, w IV Kongresie Kultury w Nowym Sączu. Sprawozdanie z tego wydarzenia ukazało się w 29 numerze *Almanachu Łąckiego* str. 198-200

21 października 2018 roku odbyły się wybory samorządowe w Polsce. Na 5 letnią kadencję, na wójta gminy Łącko został wybrany Jan Dziedzina, na którego oddano 4532 głosy, co stanowi 60,77 % oddanych głosów. O wynikach wyborów można przeczytać w *Almanachu Łąckim* nr.29/2018 str.215-216

7 listopada 2018 roku w łąckim kościele parafialnym odbyła się msza święta za zmarłych członków Towarzystwa.

10 listopada 2018 roku, w Wieczorze Patriotycznym, który odbył się w remizie OSP w Łącku, na zaproszenie wójta gminy Jana Dziedziny i dyrektora GOK, Józefa Strączka, udział wzięli m. in. przedstawiciele TMZŁ

11 listopada 2018 roku uroczyste obchody 100 lecia odzyskania przez Polskę Niepodległości rozpoczęła uroczysta msza święta w intencji Ojczyzny. Po mszy delegacja Towarzystwa, wraz z innymi stowarzyszeniami, władzami samorządowymi i księżmi przeszła pod pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego, gdzie złożono kwiaty i obejrzano montaż słowno-muzyczny w wykonaniu Grupy Teatralnej Berecik, działającej przy GOK w Łącku, i Orkiestry Dętej im. Tadeusza Moryto z Łącka. Następnie uczestnicy wzięli udział w inscenizacji zorganizowanej przez Związek Podhalan o/ Łącko i odsłonięcia tablicy na rocznicowym głazie, w łąckim parku.

29 listopada 2018 roku miało miejsce ostatnie spotkanie członków i sympatyków Towarzystwa w 2018 roku.

30 listopada 2018 roku Towarzystwo wraz z Gminą Łącko wydało album fotograficzny pt. „Cztery Pory Roku Dawnej Wsi”, w ramach projektu grantowego współfinansowanego ze środków EFRROW, na który pozyskało fundusze w kwocie 16.780 zł, co stanowi 90% wszystkich kosztów, w ramach Poddziałania „Wsparcie na wdrażanie operacji w ramach strategii rozwoju lokalnego, kierowanego przez społeczność”, objętego programem Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020.

Całość projektu wyniosła 18.645,00 zł. Wkład Towarzystwa to 1865,00 zł, czyli 10%. Urząd Gminy Łącko w szerokim zakresie pomagał przy wykonaniu tego projektu.

1 grudnia 2018 roku ukazał się 29 numer *Almanachu Łąckiego*.

Od 2006 roku wspierana była przez Towarzystwo, Katarzyna Kudłacz z Zarzecza, były przymusowy robotnik III Rzeszy. Przed świętami Bożego Narodzenia i Wielkanocą zawoziliśmy paczkę, w której oprócz żywności były środki czystości i pościel. Kontakt telefoniczny z p. Katarzyną pozwalał na szybką pomoc w razie konieczności.

Pani Katarzyna Kudłacz zmarła w wieku 94 lat.

W 2018 roku ukazały się dwa numery *Almanachu Łąckiego*: 28 i 29, w nakładzie 750 egzemplarzy każdy numer.

Z nakładu 750 egzemplarzy, oprócz egzemplarzy obowiązkowych / 30 /, około 400 wysyłamy bibliotekom, uczelniom z terenu Małopolski, autorom artykułów, darczyńcom, zaprzyjaźnionym stowarzyszeniom i redakcjom wydawnictw. *Almanach Łącki* otrzymują także zamiejscowi członkowie Towarzystwa, w tym także ci z Australii, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Austrii.

Pieniądze na wydanie *Almanachu Łąckiego* w 2018 roku, pochodzą od prywatnych darczyńców, dotacji Urzędu Gminy Łącko, w wysokości 9.600,00zł, Starostwa Nowosądeckiego, w wysokości 1500,00 zł, oraz środków własnych Towarzystwa. W 2018 roku, za druk obu numerów zapłaciliśmy 16.277,63 zł. Darczyńcy i środki własne 5.177.63 zł, dotacje 11.100,00zł. W tym miejscu chciałabym serdecznie podziękować wszystkim darczyńcom, oraz władzom samorządowym Łącka i Starostwa Powiatowego w Nowym Sączu. Szczególnie wsparcie finansowe, jakie w ostatnich latach, otrzymujemy z Urzędu Gminy, pozwala na w miarę spokojne prace przy *Almanachu Łąckim*.

Towarzystwo posiada stronę internetową www.tnml.elacko.pl, jest na nowo opracowana przez ADK SYSTEM w Łącku, jest aktywna i na bieżąco są zamieszczane informacje, fotografie, proza i poezja. Towarzystwo można też znaleźć na facebooku. Prowadzimy też korespondencję drogą elektroniczną, na adres naszej skrzynki mailowej przychodzi bardzo różnorodna korespondencja. Bardzo często na naszą skrzynkę przychodzą zapytania od ludzi poszukujących swoich korzeni na Ziemi Łąckiej. Większość materiałów i artykułów do *Almanachu Łąckiego* przychodzi także drogą elektroniczną.

Członkowie Zarządu uczestniczą w szkoleniach organizowanych dla organizacji pozarządowych organizowanych przez Urząd Gminy w Łącku, Starostwo Powiatowe w Nowym Sączu, Powiatowe Centrum Organizacji Pozarządowej. W 2018 r. 2 razy uczestniczyła w szkoleniach prezes Zarządu. Szkolenia były z zakresu pozyskiwania środków oraz zmian w ustawie o finansach i podatkach, wdrożenie systemu elektronicznego składania zeznań podatkowych tzw. e-PUAP. Zarówno prezes Jadwiga Jastrzębska jak i skarbnik Krystyna Faron, musiały założyć Profil Zaufany, by można było wysłać sprawozdanie finansowe, bilans i CIT 8 i 8/0 drogą elektroniczną, dodatkowo prezes Jadwiga Jastrzębska musiała założyć podpis elektroniczny.

Na bieżąco Towarzystwo prowadzi dokumentację historyczną, fotograficzną i pozyskuje eksponaty do przyszłego Muzeum Regionalnego. Zbiorów jest coraz więcej i coraz trudniej przechowywać je w naszej małej siedzibie.

Towarzystwo udostępnia swoje zbiory wszystkim, którzy tego potrzebują do swojej pracy i projektów, zarówno uczniom, maturzystom, studentom jak i wszystkim innym osobom i organizacjom, które w tej sprawie się do nas zwracają. Cieszy nas zaufanie jakim jesteśmy obdarzani i pozytywne opinie o naszej działalności na terenie gminy. Cieszą nas i zobowiązują do dalszej wytrwałej pracy podziękowania różnych instytucji z całej Polski, wymienię tylko niektóre: Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu (wydział edukacji) Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Centralna Biblioteka Górska, Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Krakowie.

Członkowie Towarzystwa biorą udział w obchodach świąt narodowych, pamiętają o bohaterach walk narodowych pochowanych na łąckim cmentarzu.

Pamiętamy także i oddajemy należny hołd, pod pomnikiem Józefa Piłsudskiego w Łącku bohaterom Bitwy Warszawskiej, Powstańcom Warszawskim, partyzantom z AK i BCh, pielęgnujemy pamięć o naszym dziedzictwie kulturowym i narodowym. Współpracujemy z organizacjami pozarządowymi, administracją samorządową, szkołami, instytucjami samorządu terytorialnego Małopolski, mieszkańcami i przedsiębiorcami, którzy coraz chętniej wspierają finansowo nasze wydawnictwa i naszą działalność.

Przybyło, w 2018 roku, kilku nowych członków: Maria i Andrzej Mrówka, Franciszek Opyd, Władysława Chronowska, Jerzy Trzajna, Rafał Skąpski, Bogusław Setlak. Członkowie Towarzystwa rozrzucony są po całej Polsce, Europie i świecie. Na koniec 2018 roku Towarzystwo liczyło 103 członków.

Msza święta za zmarłych członków Towarzystwa została odprawiona w dniu 7 listopada 2018.

Składka członkowska wynosi 15 zł rocznie, opłata za legitymację członkowską – 5 zł.



Sprawozdanie Zarządu przedstawia Jadwiga Jastrzębska



Wystąpienie prof. dr. hab. Bolesława Farona

Fot. Marcin Brzózka

Burmistrz Łącka

Redakcja Almanachu Łąckiego
P.T. Stanisław Gromala

W nawiązaniu do listu: „Myślę, że to było tak...”, Almanach Łącki nr 29, 2018, s.228-230, pragnę wyrazić swe uwagi na temat poruszonego zagadnienia, a przede wszystkim chcę przedstawić bardzo ważny apel w sprawie zachowania dawnych dokumentów. Jest oczywistą prawdą to wszystko co w tym liście napisano. Łącko nigdy miastem nie było i nie miało burmistrzów. W dobie staropolskiej, a potem i w okresie zaborów, do pewnego czasu miało wójtów (m.in. w Metryce Józefińskiej), potem naczelników. Po II wojnie światowej przez pewien czas miało przewodniczących Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej. Lista władz łąckich, w ostatniej chwili włączona do książki „Łącko i Gmina Łącka” nie jest precyzyjna, przedstawia jedynie włodarzy, a nie właściwie ich tytuły formalne. Tytuł burmistrz nigdy nie występuje w urzędowych aktach łąckich, bo nie mógł występować. Napisy epitafijne na nagrobkach były zawsze umieszczane przez rodziny zmarłych i często były dowolne. Nie można przywiązywać do nich nadmiernej wagi. Władza – cenzura – ingerowała w nie tylko w pewnych okresach zaboru. Tytułowanie Lenartowicza burmistrzem było w moim odczuciu i wiedzy źródłowej wyrazem uznania jego zasług dla Łącka, kompetencji umysłowych, pozycji społecznej. Jak wskazuje Metryka Franciszkańska z 1820 r. należeli Lenartowiczowie do paru najbogatszych rodzin w Łącku, największy majątek mieli Wadowscy. W prasie galicyjskiej lekarza Chwaliboga również tytułuje się czasami burmistrzem. Jest to jednak nieformalna i nieurzędowa tytułatura, uzasadniona szacunkiem dla wiedzy i zasług. Określenie obywatel aż do czasu II wojny światowej ma dwa znaczenia. Jedno, prawnicze, o którym napisał Autor Listu, oznacza człowieka należącego do miasta, także mającego „prawo swojszczyzny”. W takim sensie, spotykamy na cmentarzach, np. krakowskim – Rakowicach, występujące informacje np., że spoczywa tu „obywatel miasta Krakowa”. Drugie znaczenie jest zawarte w formule potocznej, występującej często w literaturze pięknej. Mówiło się i pisało, że jakaś pani, była z „domu obywatelskiego”, czyli szlacheckiego. Obywatel znaczył szlachcic. Lenartowiczowie byli uważani w Łącku za rodzinę szlachecką i taką chyba byli. Odwiedziłem kaplicę grobową Lenartowiczów w Ustrzykach Dolnych i poznałem korespondencyjnie rodzinę lubelską. Przedstawicielkę rodziny warszawskiej poznałem osobiście, podczas pobytów służbowych w stolicy w ubiegłym roku. Za pośrednictwem Almanachu kieruję prośbę do łąckich szkół, instytucji, Gminnego Ośrodka Kultury, TMZŁ i indywidualnych miłośników miejscowej tradycji, o troskę nad tym grobem. Bardzo rzadko przyjeżdżam do Łącka z powodu trudności komunikacyjnych. W 2019 r. po Wszystkich Świętych byłem na cmentarzu i wrywałem trawę i metrowe chwasty z grobu śp. Lenartowicza. Dobrze byłoby, aby to miejsce było otoczone opieką.

Zasadniczy apel kieruję do Autora listu i do Gminnego Ośrodka Kultury, który z natury winien dbać o ochronę naszej lokalnej spuścizny kulturowej. W „Liście” jest informacja o rękopiśmiennej „Księdze Uchwał Gminy Zarzecze”. Bardzo prosiłbym, by postarać się o to, żeby ta Księga była przekazana do Archiwum w Nowym Sączu i służyła w tej instytucji publiczności. By nie była w Łacku, bo skazana będzie na zatarcie. Piszę o tym dlatego, że do okresu II wojny światowej, nie ma żadnych materiałów gminny Łackiej w Archiwum Krakowa i Nowego Sącza. Powojenne rzeczy uległy zniszczeniu w piwnicy gminy w czasie powodzi. Staropolską księgę sądową Łacka sprzedał nieprawnie jej posiadacz Bibliotece Sądeckiej. Dobrze, że w ten sposób ocalała. Za moich czasów oryginalna osiemnastowieczna mapa Wiesendorfu – Łączek została zaprzepaszczona przez człowieka, który wywiózł ją za granicę. We wspomnianej historii Łacka chciałem umieścić zdjęcie prehistorycznego miecza znalezione w czasie pracy koparki. Na nic zdały się prośby. Nie znam jego dalszego losu. Podobnie z zabytkami architektury, burzyło się je bez sporządzenia nieformalnej dokumentacji, fotografii... Świadom jestem naturalnego biegu życia i jego potrzeb, pracy, zarobków, budowy ulic, imprez kulturalnych itd. Czy jednak mamy dopuszczać do tego, aby świadectwa naszej przeszłości ginęły, były niszczone? Tożsamość ludzka, lokalna nie opiera się tylko o chwilę naszej indywidualnej egzystencji, jest czymś ponadczasowym i ciągłym. Nie polega tylko na kultywowaniu czegoś ulotnego, taniec, śpiew, „imprezy”. Świadectwa i dokumenty przeszłości mają nas chronić od tego o czym kiedyś mówił nasz wielki autorytet, św. Jan Paweł II. o podcinaniu gałęzi naszej tożsamości i dziedzictwa, które było z premedytacją niszczone przez Rosjan i Niemców.

Julian Dybiec

Temat: Re: Słownik gwary ludowej...

Nadawca: sbialas@agh.edu.pl

Data: 2019-06-14, 22:56

Adresat: Towarzystwo Miłośników Ziemi Łackiej <tmzl@elacko.pl>

W dniu 2019-06-14 14:55, Towarzystwo Miłośników Ziemi Łackiej napisał(a):

Dzień dobry

Przesyłam wersję elektroniczną . Wersję papierową też mogę przesłać, ale niestety bez płytki z nagraniem przyśpiewek. Drukarnia wysłała nam część "wybrakowaną" bez płytki, i te kilkanaście egzemplarzy zostało. Nakład 1000 egzemplarzy wydanego słownika rozszedł się bardzo szybko i obecnie nie planujemy wznowienia ze względu na ograniczenia finansowe.

z wyrazami szacunku

Jadwiga Jastrzębska/ prezes Towarzystwa i redaktor Almanachu Łackiego/

W dniu 2019-06-13 o 17:26, sbialas@agh.edu.pl pisać:

Redakcja Almanachu ŁACKIEGO

33-390 Łącko 512

Trochu przypadkowo przeczytałem w Waszym czasopiśmie wspomnienia Prof. J. Myjaka- mojego kolegi i przyjaciela z lat studenckich, a później z czasu pracy na AGH.

Przy okazji dowiedziałem się , że Towarzystwo Miłośników Ziemi Łackiej wydało " Słownik gwary ludowej z okolic Łącka ". Jestem matematykiem, ale gwary ludzi z Dolin Dunajca, Białej, Wiśłoki - moich stron rodzinnych bardzo mnie interesują.

Bardzo proszę o przysłanie mi, jeśli jest to możliwe, wersję elektroniczną w/w Słownika lub sprzedanie mi wersję "papierkową" lub ksero wersji "papierkowej". Oczywiście, pokryję koszty z tym związane.

Łączę wyrazy szacunku i z góry dziękuję.

Prof. dr hab. Stanisław Białas

Mój adres:

Stanisław Białas

I jak mam dziękować za przesłany mi prezent - elektroniczny Słownik...?

Bardzo serdecznie dziękuję, dziękuję bardzo serdecznie za życzliwość, za szybkość reakcji na moją prośbę. Wielka szkoda, że J. Myjak nie żyje, opowiedziałbym mu o moim miłym zaskoczeniu, o życzliwości Jego rodaków z Łącka

Jeszcze raz bardzo dziękuję, nie spodziewałem się tak szybkiej reakcji.

Z wyrazami szacunku

Prof S. Białas

Temat: Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Krakowie
Nadawca: Elżbieta Romanowska <elzbieta.romanowska@rajska.info>
Data: 2020-01-21, 09:17
Adresat: Tmzl <tmzl@elacko.pl>

Szanowni Państwo,

W imieniu Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Krakowie potwierdzam odbiór i serdecznie dziękuję za przekazanie do zasobów Czytelni Zbiorów o Krakowie i Małopolsce nr 31 za 2019 rok "Almanachu Łąckiego", serdecznie pozdrawiam Elżbieta Romanowska

--

Elżbieta Romanowska
koordynator Zespołu Czytelni Zbiorów o Krakowie i Małopolsce
Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Krakowie
31-124 Kraków, ul. Rajska 1
tel. 12 37-52-224
e-mail: elzbieta.romanowska@rajska.info

Chrobak i Gromala

Temat: Chrobak i Gromala
Nadawca: "kinga.postawa@wp.pl" <kinga.postawa@wp.pl>
Data: 2020-03-03, 16:26
Adresat: tmzl@elacko.pl

Szanowni Państwo,

Szukam informacji na temat nazwisk Chrobak i Gromala z Zabrzeży koło Łącka. Moja prababcia nazywała się Agnieszka Kurzeja, z domu Chrobak (1908-1947). Jej rodzice to Wojciech Chrobak i Maria Gromala. Oprócz Agnieszki mieli jeszcze dzieci: Franciszek (1897), Jan (1899), Rozalia (1901), Piotr (1902), Tomasz (1903), Franciszek (1905) i Zofia (1910) - info na podstawie familysearch. Nie posiadam żadnych więcej informacji na temat praprababki Marii Gromala, a co do Wojciecha Chrobaka to najprawdopodobniej żył w latach 1867-1942 i miał drugą żonę Katarzynę, z domu Janczura.

Z zacięciem od dawna śledzę wydawany przez Was Almanach Łącki - niestety nie wszystkie numery są dostępne online. Będę wdzięczna za wszelkie informacje i wskazówki.

Pozdrawiam serdecznie!
Z poważaniem
Kinga Postawa

Wysłano z telefonu komórkowego Huawei

Temat: Podziękowanie z Ossolineum - Almanach Łącki

Nadawca: Czasopisma ZNiO <czasopisma@ossolineum.pl>

Data: 2019-12-19, 11:40

Adresat: tmzl@elacko.pl

Szanowni Państwo,

serdecznie dziękujemy za przesyłanie nam kolejnych, wydanych w 2019 roku egzemplarzy wydawnictwa "Almanach Łącki".

Otrzymaliśmy numery 30-31, z prawdziwą przyjemnością włączamy je do zbiorów Ossolineum.

Będziemy niezmiennie wdzięczni za egzemplarze, które ukażą się w roku 2020.

Z poważaniem

Elżbieta Hajduk

Dział Nowych Druków Ciągłych

Zakład Narodowy im. Ossolińskich

ul. Sołtysowicka 24

51-168 Wrocław

tel. +48 71 326 21 27 wew. 411



FUNDACJA SĄDECKA



Sądeczanin

Nowy Sącz, 10 marca 2020 r.

Szanowna Pani
Jadwiga Jastrzębska

Szanowna Pani,

Osiem lat temu Społeczno-Kulturalne Towarzystwo „Sądeczanin” zainicjowało największy i unikalny na skalę Małopolski przegląd twórczości ludzi pióra, którzy swą działalnością dbają o zachowanie dziedzictwa kulturowego i spuścizny historycznej Ziemi Sądeckiej. Po raz drugi odzwierciedleniem tych starań były **Sądeckie Targi Książki** podczas których mieszkańcy Sądeckiej oraz goście z Polski mogli zapoznać się z nowościami literackimi, a także spotkać z autorami.

Organizacja VIII edycji konkursu o Nagrodę ks. prof. B. Kumora jak również 2. Sądeckich Targów Książki niewątpliwie zakończyła się sukcesem. Świadczyć o tym dane statystyczne, a także opinie osób odwiedzających. Targi z udziałem ponad 43 wystawców regionalnych i ogólnopolskich – odwiedziło ponad 4 000 osób, a wydarzenie wspierała szeroko zakrojona kampania medialna.

To dzieło zostało zbudowane przede wszystkim na współpracy z tak znakomitymi osobami jak Pani, za co **pragniemy złożyć serdeczne słowa podziękowania.** To dzięki takim osobom – Państwa obecności i zaangażowaniu - możemy z dumą promować pozytywny wizerunek Ziemi Sądeckiej - miejsca przyjaznego literaturze i jej czytelnikom.

Żywiąc nadzieję na kontynuację współpracy,
Z poważaniem

Mariola Berdychowska

Przewodnicząca Kapituły Nagrody im. ks. prof. B. Kumora

Nasz znak: MCK SOKOŁ-II/D-0610/340/2/2020

Nowy Sącz, 18 marca 2020 r.

Szanowna Pani
Jadwiga Jastrzębska
Prezes
Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej

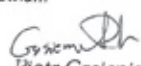
Szanowna Pani,

Małopolskie Centrum Kultury SOKOŁ w Nowym Sączu jest beneficjentem REGIONALNEGO PROGRAMU OPERACYJNEGO WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO NA LATA 2014-2020, w ramach którego realizuje projekt pod nazwą MAŁOPOLSKA ŹRÓDŁEM TRADYCJI. Jego idea są szeroko zakrojone działania badawczo-dokumentacyjne w zakresie ochrony, zachowania i udostępniania dziedzictwa kultury tradycyjnej Małopolski.

W ramach projektu zaplanowane zostały dwa ważne wydawnictwa albumowe o charakterze edukacyjnym. Jednym z nich jest 10-tomowy album strojów regionalnych, który ukaże urodę, bogactwo i różnorodność ubiorów dawnej wsi małopolskiej w odniesieniu do różnych grup wiekowych, stanów oraz sytuacji życia wiejskiego – codziennego oraz świątecznego. Album będzie miał ogromną wartość edukacyjną i dokumentacyjną ze względu na przekrojowość i szczegółowość prezentowanych treści. Jego celem jest dokumentacja i promocja różnorodności regionalnej kilkunastu grup etnograficznych województwa, z których każda jest niepowtarzalna i wyjątkowa.

Mając na uwadze bogate zbiory fotograficzne Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej zwracam się z uprzejmą prośbą o udostępnienie archiwaliów autorce artykułu o stroju Górali Sądeckich i redaktorze serii Pani Marii Brylak-Załuskiej. Zależy nam, aby obraz prezentowanych w albumie strojów górali od Łącka, Jazowska i Kamienicy poparty był rzetelnym i bogatym materiałem źródłowym, którym dysponują Państwo w swoich zbiorach. Osobą odpowiedzialną za koordynację wydawnictwa jest Monika Kurzeja, e-mail: m.kurzeja@mcksokol.pl, tel. 692 003 002.

Ze względu na edukacyjny charakter wydawnictwa bardzo proszę o bezpłatne udostępnienie materiałów archiwalnych. Deklaruję także przekazanie Państwu kompletu 10 tomów wydawnictwa. Jestem przekonany, że Państwa przychylność i nasze wspólne zaangażowanie przyczyni się do zachowania i popularyzacji rodzimej kultury regionalnej.

Z góry serdecznie dziękuję i pozdrawiam

Piotr Gąsienica
Zastępca Dyrektora
Małopolskiego Centrum Kultury
SOKOŁ
w Nowym Sączu

KALENDARIUM

- 05.12.2019 Podpisanie umowy przez Wójta Gminy Jana Dziędzinę oraz Skarbnika Gminy Ewę Marczyk z firmą INSTALBUD na budowę oczyszczalni ścieków dla miejscowości Kadcza
- 07.12.2019 Międzynarodowe Pokazy Sztuk Walki BUDO BUSHI 2019 w Hali Widowiskowo-Sportowej w Łącku
- 17.02.2020 Konkurs na kartkę bożonarodzeniową w Szkole Podstawowej w Zabrzeży dla klas I-III, w jury Prezes TMZŁ Pani Jadwiga Jastrzębska
- 17.12.2020 Uroczyste przekazanie samochodu ratowniczo-gaśniczego dla jednostki OSP w Łącku
- 05.01.2020 Koncert Noworoczny w wykonaniu Orkiestry Reprezentacyjnej Straży Granicznej pod dykcją ppłk. SG Leszka Mieczkowskiego na Hali Widowiskowo-Sportowej w Łącku „Światowe Przeboje Musicalowe i Muzyki Filmowej”
- 03.01.2020 Przekazanie wyposażenia i sprzętu strażackiego dla 12 jednostek OSP z terenu Gminy Łącko w remizie OSP w Czerńcu
- 06.01.2020 Łącki Orszak Trzech Króli zorganizowany przez Parafię Łącko oraz Gminny Ośrodek Kultury w Łącku
- 08.01.2020 Spotkanie Poetyckie Bronka z Obidzy w Sądeckiej Bibliotece Publicznej w Nowym Sączu promujące jego nowy tomik poezji „Pielgrzym”; prowadzenie prof. Bolesław Faron, recytacja Małgorzata Bieniek, Joanna Liwerska, Agnieszka Szlęk, Marzena Setlak
- 15.01.2020 Jubileusz setnych urodzin pani Ludwiki Pulit w Czarnym Potoku
- 19.01.2020 Loteria fantowa oraz licytacja koszulek piłkarzy ekstraklasy dla Łukasza Derblich – byłego zawodnika Sandecji Nowy Sącz na Hali Widiwiskowo-Sportowej w Łącku
- 23.01.2020 W Urzędzie Gminy w Łącku podpisanie umowy na budowę toru rowerowego typu Pumptrack z infrastrukturą towarzyszącą w Łącku
- 23.01.2020 Koncert Kolęd i Pastorałek w wykonaniu uczniów Ogniska Muzycznego w Łącku w Remizie OSP w Łącku.
- 24.01.2020 Przekazanie pakietów gier i materiałów plastycznych na zajęcia pozalekcyjne organizowane w Gminnym Ośrodku Kultury w Łącku przez kierownika oddziału Powiatowego Agencji Restrukturyzacji i Moder-

nizacji Rolnictwa Romana Potońca. Z wnioskiem wystąpiło stowarzyszenie Amatorski Ruch Artystyczny Ziemi Łąckiej. Pakiety edukacyjne zostały przekazane w ramach akcji „ARiMR wspiera dzieci”.

- 27.01-07.02.2020 Ferie z GOK-iem, a w czasie nich m. in. wyjazdy do kina na filmy „DOKTOR DOLITTLE”, „ŚNIEŻKA I FANTASTYCZNA SIÓDEMKA”, turniej gier planszowych, warsztaty plastyczne, wycieczka do „Naskiej zagrody” w Kadczy, warsztaty wykonywania szmacianych lalek, spotkanie z leśnikiem, warsztaty regionalne.
- 28.01.2020 Łącka Orkiestra im. T. Moryto wraz z Promyczkami Dobra z koncertem we francuskim Strasburgu
- 30.01.2020 Spotkanie Opłatkowe i Noworoczne członków i sympatyków TMZŁ; wspólne kolędowanie z Renatą Widerowską i jej zespołem oraz Jerzym Trzajną
- 02.02.2020 Koncert „Z kolędą Jana Pawła II” w kościele parafialnym w Łącku; zakończył on wspólną kolędową trasę zespołu Promyczki Dobra i Orkiestry Dętej im. Tadeusza Moryto z Łącka
- 09.02.2020 Zmarł śp. Franciszek Dudek, zasłużony lekarz pracujący wiele lat w Łącku.
- 10.02.2020 Prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej Pani Jadwiga Jastrzębska nominowana do tytułu Sądcezanina Roku 2019
- 10.02.2020 Zespół Regionalny Górale Łąccy otrzymał wyróżnienie w konkursie tańca zbójnickiego na Karnawale Góralskim w Bukowinie Tatrzańskiej
- 11.02.2020 Spotkanie czytelnicze z twórczością M. Kownackiej prowadzone przez Prezesa TMZŁ Panią Jadwigę Jastrzębską w Samorządowym Przedszkolu w Łącku;
- 14-16.02.2020 PARTYZANCKI PRZYSŁÓP, 76 rocznica wydarzeń na Przłęczy
- 17.02.2020 ALMANACH ŁĄCKI nr 30 i 31 nominowany do Nagrody im. prof. B. Kumora w kategorii „Książka o Sądecku”
- 17.02.2020 Członek TMZŁ Bronek z Obidzy nominowany do Nagrody im. prof. B. Kumora w kategorii „Sądecki Autor”
- 28.02.2020 Spotkanie autorskie: „Dziwne jest serce kobiece”. Wspomnienia galicyjskie Zofii z Odrowąż Pieniążków Skąpskiej w opracowaniu Rafała Skąpskiego; prowadzenie prof. Bolesław Faron.
- 29.02.2020 Wyróżnienie dla ALMANACHU ŁĄCKIEGO w trakcie rozdania nagród im. prof. B. Kumora w Krynicy

- 29.02.2020 „Poznaj Górala spoza Podhala – jak promować górali z Beskidu Sądeckiego”. Seminarium realizowane w ramach projektu „Odkrywanie skarbów dziedzictwa południowej Małopolski” połączone z promocją dwóch publikacji wydanych w ramach projektu. Pierwsza z nich pt. „Skarby Górali. Poznaj Górala spoza Podhala”, zawiera nagrodzone prace wolontariuszy młodzieżowych, którzy starali się pokazać swoje regiony z jak najciekawszej strony. Zaś druga pt. „Góralszczyzna mniej znana. W poszukiwaniu lokalnych tradycji” to efekt prac profesjonalnych badaczy etnologów, jak również studentów oraz ich spostrzeżenia
- 01.03.2020 „Gala Sądeczan 2019” z nominowaną do tytułu Sądeczanina Roku Prezes TMZŁ Panią Jadwigą Jastrzębską
- 04.03.2020 Spotkanie autorskie z prof. Aleksandrem Skotnickim w Sądeckiej Bibliotece Publicznej
- 22.02.2020 Powiatowy Turniej Samorządowców w piłę nożną na Hali Widowiskowo-Sportowej w Łącku
- 02.03.2020 Rozdanie nagród w Gminnym Konkursie Plastycznym „Ekologiczny Plakat” na Hali Widowiskowo-Sportowej w Łącku
- 07.03.2020 Grupa Teatralna „Berecik” wzięła udział w Posiadach Teatralnych na Orawie prezentując autorską sztukę wg scenariusza Bernadetty Wąchały-Gawełek pt. „Życie jak teatr – Anna i Jan Bucykowie”. Na widowni zasiedli członkowie najbliższej rodziny pp. Bucyków, a także wójt Jan Dziedzina z Małżonką
- 12.03.2020 Zawieszenie w całej Polsce zajęć w szkołach, przedszkolach i innych placówkach oświatowych z powodu zagrożenia epidemiologicznego
- 03.2020 Powstanie prężnej grupa wolontariuszy „Szyjemy maseczki, okolice Łącka”, przekazującej maseczki jednostkom publicznym oraz osobom indywidualnym w całym województwie małopolskim
- 13.03.2020 „Babciu, Dziadku Nie Wychodź z Domu!” – pierwsza w gminie Łącko akcja pomocy osobom starszym związana z pandemią coronawirusa zorganizowana przez wolontariuszy Jakuba Mrówkę oraz Łukasza Setlaka
- 16.03.2020 Ze względu na zagrożenie epidemiologiczne Urząd Gminy w Łącku ogranicza obsługę interesantów do formy telefonicznej i elektronicznej
- 31.03.2020 Początek odkażania miejsc publicznych w gminie Łącko; przekazanie maseczek ochronnych dla Ośrodków Zdrowia z terenu gminy Łącko

- 02.04.2020 Na rynku w Łącku stanęła piękna palma wielkanocna wykonana
prze państwa Marię i Tomasza Pogwizdów z Obidzy
- 05.04.2020 Internetowy Gminny Konkurs Palm Wielkanocnych zorganizowany
przez Gminny Ośrodek Kultury w Łącku oraz Forum Mieszkańców
Gminy Łącko
- 10.05.2020 Wydanie 32 numeru Almanachu Łąckiego

Opr. Marzena Setlak

1. Bogusław Kołcz – „Almanach Łącki” doceniony!	4
2. Piotr Wierzbicki – 450 lat Unii Lubelskiej – Łącko..., cz. III	17
3. Barbara Faron – Strachy naszego dzieciństwa, czyli o czarownicach i urokach	26
4. Zbigniew Czepelak – Łąckie dzwony. Czyli co dzwoni na wieży naszego kościoła	32
5. Jarosław Czaja – Nie tylko Góra Zyndrama. Archeologiczne odkrycie na górze Łyżka koło Przyszowej	38
6. Bernadetta Wąchała-Gawełek – „Folkowy marketing, czyli promocja południowej Małopolski przez twórczość ludową i produkt regionalny” – seminarium w Łącku	46
7. Jadwiga Jastrzębska – Aleksander B. Skotnicki – profesor medycyny, społecznik, badacz losów, i wielki przyjaciel Żydów uratowanych z Holocaustu	53
8. Bożenna Turant-Chwalibóg – Trzy dyplomy	63
9. Rozalia Kulasik – Konkurs pt. „Porozmawiaj z babcią, zapytaj dziadka”	69
10. Michał Turek – Szli na Zachód osadnicy...	72
11. Bronisław Koziński – Bajka o człowieku	75
12. Joanna Klimczak – Wiersze	96
13. Jerzy Trzajna – Wiersze	99
14. Kazimierz Burnat – Wiersze	103
15. Wiktoria Arendarczyk – Przykazanie ósme	108
16. Elżbieta Szudek – Recenzja tomiku Bronka z Obidzy „To ja, złodziej”	109
17. Barbara Faron – Człowieczy los w wierszach Marzeny Setlak. Recenzja tomiku poetyckiego „Przemaalowani”	114
18. Zatrzymane w kadrze	117
19. Piękno naszej ziemi	121
20. Jadwiga Jastrzębska – Z domowego archiwum	122
21. Bernadetta Wąchała-Gawełek – Od kulis ... Historia Grupy Teatralnej „Berecik” z Łącka	124
22. Marcin Wnęk – Wyróżnienie dla Grupy Teatralnej „Berecik” z Łącka na VIII Małopolskich Spotkaniach Teatrów Amatorskich „Posiady Teatralne na Orawie” w Jabłonce	133
23. Jadwiga Jastrzębska – Wywiad z Krzysztofem Maurerem	144
24. Karolina Gałyśa – KLUB SENIORA – miejsce aktywizacji Seniorów z Gminy Łącko	148
25. Franciszek Pulit – Wspomnienie. Sto lat Ludwiki Pulit (1920 – 2020)	153
26. Rozalia Kulasik, Jadwiga Dybiec – Historia jednego życia	157
27. Tomasz Kowalik – Twórcy zakochani w Górcach	165
28. Jadwiga Jastrzębska – Czytelnia „pod chmurką” w Tylmanowej	169
29. Rozalia Kulasik – Jesteśmy stąd cz. II	171
30. Piotr Wierzbicki – Dziennik Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego majora Henryka Dobrzańskiego ps. Hubal i 80-ta rocznica jego śmierci	181
31. Tomasz Kowalik – W opłotkach, lasach, na halach	185
32. Stanisław Gromala – Wybory do Rady Gminy Zarzecze 100 lat temu	187
33. Jadwiga Jastrzębska – Sprawozdanie Zarządu Towarzystwa Miłośników Ziemi Łąckiej za 2018 rok	190
34. Listy, polemiki, sprostowania	196
35. Kalendarium – opr. Marzena Setlak	203
36. Spis treści	207
